

Opole – demaskujemy
festiwal hipokryzji



Zychowicz kontra
Duda i Macierewicz

Łysiak lustruje
Woltera



TYGODNIK LISICKIEGO



CENA 6,90 zł (w tym 8% VAT)
NR 22/224 29 MAJA–4 CZERWCA 2017

DO RZECZY



Nocna zmiana 25 lat później

Sensacyjne kulisy w rozmowie Piotra Semki z premierem Janem Olszewskim

DODATEK SPECJALNY



VIKO GROUP



VIKO 20, VIKO S 21, VIKO S 22, VIKO 23, VIKO 25, VIKO S 26, VIKO 27DS, VIKO S 30, VIKO 40

VIKO GROUP

www.vikoyachts.com
e-mail: info@vikoyachts.com,
tel. + 48 61 670 96 05, + 48 61 306 71 71
Poznań - Zakrzewo, ul.Przemysłowa 24-37



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Po co aż takie ryzyko

W środę, 24 maja, prezydent Andrzej Duda, w czasie wieczornego wystąpienia z okazji drugiej rocznicy objęcia urzędu, ponownie wezwał do przeprowadzenia referendum w sprawie konstytucji. Stwierdził, że powinno się ono odbyć 11 listopada 2018 r., bo „święto stulecia odzyskania niepodległości to najlepszy dzień na określenie niezbędnych kierunków zmian ustrojowych w naszym państwie”. Prezydent dodał, że „te kierunki po raz pierwszy w historii nakreślił nasze społeczeństwo”. Brzmi to rzeczywiście pięknie – sto lat od odzyskania niepodległości po zaborach wolni Polacy sami określają, jaką konstytucję chcieliby mieć. Tyle że w przeciwieństwie do prezydenta nie potrafię się zdobyć na tak wielką wiarę.

Prezydent ma rację, że obecna konstytucja wymaga zmian i że pierwsza oraz najważniejsza powinna dotyczyć kwestii ustrojowych. Autorzy obecnej ustawy zasadniczej stworzyli bowiem, o czym wielokrotnie pisałem i mówiłem, hybrydę. Ni to pies, ni wydra – chciałoby się powiedzieć.

Niby mamy system prezydencki, bo wybieramy głowę państwa w wyborach powszechnych. Niby mamy ustrój parlamentarno-gabinetowy, z silną pozycją szefa rządu, bo to on obsadza ministrów i decyduje o projektach ustaw. Obie władze jednak łatwo mogą się blokować, co najlepiej widać w sytuacji, w której prezydent i większość rządowa pochodzą z różnych obozów politycznych. Dlaczego zatem Andrzej Duda nie zaproponował swojego projektu zmian konstytucji ani nie ogłosił, jak miał do tego prawo, referendum w sprawie konstytucji z prawdziwego zdarzenia?

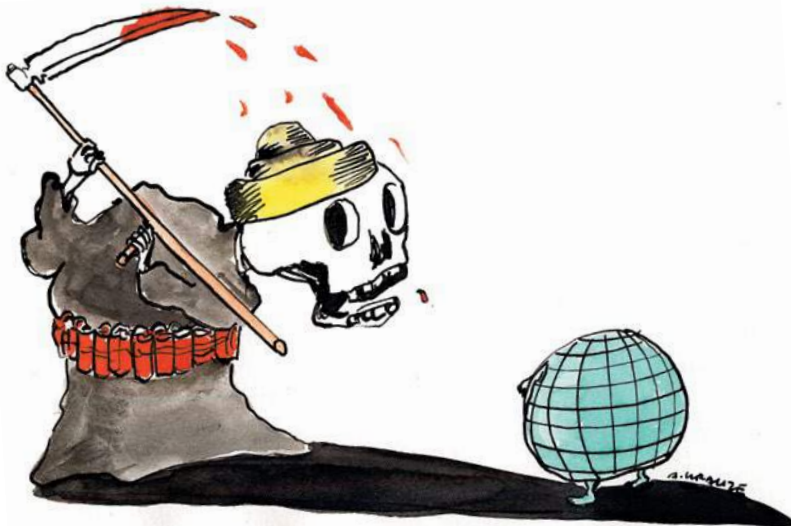
Zamiast tego wiadomo jedynie, jaką datę głosowania proponuje prezydent. Co to bowiem znaczy, że Polacy będą określać „niezbędne kierunki ustrojowe” i że „zrobi to całe społeczeństwo”? W ten sposób nigdy nie powstawały ustawy zasadnicze. Referendum ma sens tylko, jeśli dotyczy sprawy konkretnej, łatwo dla wszystkich zrozumiałej, na której skupiają się emocje społeczne. Jak można sobie wyobrazić, że nagle Polacy, znani ze swego – powiedzmy to eufemistycznie – niezbyt wielkiego zaangażowania w sprawy publiczne, masowo

będą debatować o ustroju? Kto będzie ostatecznym autorem pytań referendalnych? No, chyba musi to być jednak prezydent, bo inaczej lista pytań w ogóle nie powstanie. Jednak jeśli będą miały one ogólny charakter, to idę o zakład, że całe referendum zakończy się porażką. Może głos odda 20, może 30 proc. uprawnionych.

Problemem jest jednak nie tylko niejasność pytań, lecz także brak jakichkolwiek gwarancji, że wola społeczeństwa zostanie uszanowana. Założmy przez moment, że nie mam racji, że za rok zmobilizowane społeczeństwo w liczbie przekraczającej 50 proc. obywateli ruszy hurmem do urn i powie, że jest za – zgaduję – poszerzeniem kompetencji prezydenta. I co dalej? Przecież w formule, o jakiej mówi Andrzej Duda, i tak ostatecznie Sejm będzie musiał wprowadzić owe „kierunki” w życie. Albo i nie, jeśli będzie to wymagało zmiany konstytucji. Zwykle referendum odpowiadające na ogólne pytania, nawet jeśli będzie ważne, nie może bowiem zmienić zapisów ustawy zasadniczej.

Jedynym zyskiem politycznym tej inicjatywy jest to, że pokazuje ona Andrzeja Dudę jako samodzielny podmiot polityczny. To nie jest bez znaczenia. Ryzyko z tym związane też jest jednak znaczne. Przy każdej frekwencji niższej niż 50 proc. będzie można ogłosić, a opozycja to na pewno zrobi, że jest to wotum nieufności dla głowy państwa. Nie ma chyba wątpliwości, że prezydent jako autor nieważnego referendum, a tak się o nim będzie mówiło, jeśli spełni się negatywny scenariusz, będzie miał mniejsze, a nie większe szanse na reelekcję.

Być może to uwagi pesymistów przyznaje rację. Dlatego proste pytanie brzmi: Po co aż tyle ryzykować? ©





TEMAT TYGODNIA

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KONTRREWOLUCJA KAST
Przeciw władzy w obronie
sitw i układów

23 PIOTR GOCIEK
FESTIWAL HIPOKRYZJI

FOT. MICHAŁ SZALAST/PAP

KRAJ

26 KAMILA BARANOWSKA
STRATEGICZNE PLANY PIS

28 MACIEJ PIECZYŃSKI
PUTIN PRĘŻY MUSKUŁY

30 ROZMOWA Z PROF. WOJCIECHEM FAŁKOWSKIM
ETOS JEST NAJWAŻNIEJSZY

32 WOJCIECH WYBRANOWSKI
TAK SPRZĄTA CBA

34 ŁUKASZ WARZECHA
JAK FORMOWAĆ DOBRE GLINY

36 FILIP MEMCHES
WIECZNY ANTYFASZYZM

40 ROZMOWA Z KARINĄ WALINOWICZ
UDERZANIE W KATOLIKÓW

42 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
DETEKTYW NA SZKLE

KULTURA

44 KRZYSZTOF MASŁOŃ
**NIENAGANNY SMOKING
ROGERA MOORE'A**
Odszedł idol kilku pokoleń

46 GRZEGORZ BRZOSZOWICZ
URODZINY SIERŻANTA PIEPRZA

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

CYWILIZACJA

74 WALDEMAR ŁYSIAK
ZNIKAJĄCE POPIERSIE WOLTERA
Niepolitpoprawność frontmana oświecenia

OPINIE

82 OLIVIER BAULT
LIST OTWARTY DO PREZYDENTA FRANCJI
Francuski dziennikarz w Polsce pisze
do Emmanuela Macrona



HISTORIA

88 PIOTR ZYCHOWICZ
„NIE” DLA GLORYFIKACJI LWP
O co walczyli komuniści nad Odrą

ŚWIAT

92 JACEK PRZYBYLSKI
DZIECI NA CELOWNIKU DŻIHADU
Po zamachu w Manchesterze

96 GABRIEL MICHALIK
DZIEŃ ZWYCIĘSTWA NAD RESZTĄ ŚWIATA

100 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
TRANSHUMANISTYCZNE ZŁUDZENIA

EKONOMIA

102 AGNIESZKA ŁAKOMA
BEZKARNY ROSYJSKI MONOPOLISTA
Komisja Europejska udaje, że ukarze Gazprom

ŻYCIE I NAUKA

108 ROZMOWA Z VYTENISEM ANDRIUKAITISEM
UNIJNE ŚRODKI NA POLSKIE ZDROWIE
Komisarz ds. zdrowia i bezpieczeństwa
żywności Komisji Europejskiej o wyzwaniach
służby zdrowia

PODRÓŻE

110 PIOTR GOCIEK
KRETA, CZYLI WSZYSTKO
„Kreta subiektywnie” – fragment książki
autora „Do Rzeczy”

FELIETONY: SEMKA (10), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (12), WARZECHA (13), GMYZ, GOCIEK (16), POSPIESZAŁSKI (72), ZALEWSKI, WOLSKI (86), ZYCHOWICZ, KOPER (91), GABRYEL, RYBIŃSKI (106), KOMUDA (112), TYRMAND (116), KATARYNA (118), ŁYSIAK (119)



Ikona mobilności

W bankowości korporacyjnej i inwestycyjnej

liczą się efekty

■ **94% zadowolonych klientów korporacyjnych**

Dotyczy klientów biorących udział w badaniu własnym satysfakcji Klientów za rok 2016.

■ **30 lat doświadczenia** w bankowości dla przedsiębiorstw

■ **druga najmocniejsza marka finansowa** według Rzeczypospolitej

Ranking najmocniejszych polskich marek opublikowany w Rzeczypospolitej 26.01.2017.

mBank.pl



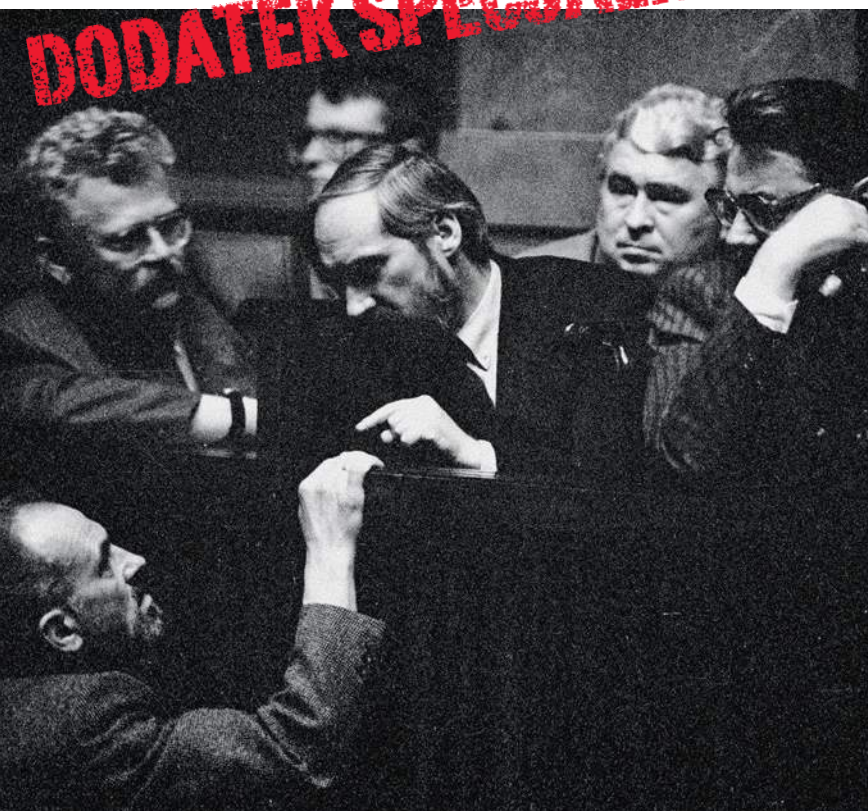
O KWARTAŁ ZA WCZEŚNIE

JAN OLSZEWSKI W ROZMOWIE Z PIOTREM SEMKĄ:
Na zdrowy rozum powinniśmy odmówić wykonania tej uchwały sejmowej. Odmowa wykonania uchwały musiałaby być jednak traktowana jako zgłoszenie gotowości dymisji rządu. Zdecydowaliśmy się odpowiedzieć pozytywnie, jednak zachować całkowitą tajność listy.



Obalenie rządu Olszewskiego





ADAM CHMIELECKI

Z SZAFY LESIAKA

Po obaleniu rządu Jana Olszewskiego w walkę polityczną zaangażowano także Urząd Ochrony Państwa i prokuraturę. Przy gabinecie szefa MSW Andrzeja Milczanowskiego istniał wówczas specjalny zespół kierowany przez byłego oficera SB płk. Jana Lesiaka. Inwigilował on ugrupowania prawicowe.



SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

OBALIĆ TEN RZĄD!

W kuluarach prezydent spotkał się z liderami ugrupowań politycznych. Wałęsa: „Wy nie wiecie, jak daleko oni zaszli, dlatego trzeba ich błyskawicznie. Natychmiast, dzisiaj!”. Pawlak: „Tylko że to jest trochę gangsterski chwyt”.

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu tylko jeden list, poświęcony kwestii cyfryzacji. Zapraszamy oczywiście na nasz portal www.dorzeczy.pl.

„Cyfryzacja to proces”

Zbulwersował mnie wywiad Łukasza Warzechy z minister cyfryzacji Anną Streżyńską („Do Rzeczy” 21/2017). Państwa dziennikarz, znany ze swoich wolnościowych przekonań, cierpliwie słuchając pociesznych anegdotek pani minister o tym, jak to jej mąż nie mógł czegoś zrozumieć, a ona sama źle coś mailnęła, przemilczał sprawę zasadniczą dla procesu cyfryzacji, a mianowicie znaczenie tego procesu w tworzeniu cyfrowego totalitarnego molocha.

Wiem, że cyfryzacja to proces ogólnoswiatowy, ale Polska, będąc w niektórych dziedzinach liderem czy też rarogiem (laicyzacja vs. religijność, sprzeciw wobec przyjmowania imigrantów, nieakceptowa-

nie homoślubów etc.), powinna niezależnie od zachodnich trendów przemyśleć skutki cyfryzacji dla wolności jednostki.

Jest oczywiste, że cyfryzacja informacji o każdym obywatelu prowadzić będzie do stworzenia bazy danych skutecznie niwelującej wolność jednostki. Państwo stanie się wszechwiedzące, a więc wszechwładne. Za jednym kliknięciem uzyska skumulowane informacje o stanie naszego zdrowia, tak fizycznego, jak psychicznego, o receptach, lekach, o naszych zakupach, stanie finansów, relacjach z władzą, każdym najmniejszym nawet wykroczeniu. Takie nagromadzenie wiedzy spowoduje, że jednostka będzie bezbronna wobec państwa-molocha. Nie mówię już o braku szczelności takiego systemu: obsługiwani informatycznie przez różnych zagranicznych partnerów nie będziemy w stanie uchronić naszych danych przed wyciekiem. [Już teraz wiadomo, że dostarczyciele złożonych technologii (sieci komórkowe, Internet) kolekcjonują dane o zachowaniach i komunikacji swoich klientów].

Następnym etapem będzie oczywiście chipowanie ludzi. Obsmiewane protesty, które wiążą ten projekt z Apokalipsą i liczbą Bestii, wynikają przecież z proroczego przejrzenia, do czego te wszystkie procesy prowadzą. Dla wygody swojej i wygody państwa, korporacji, człowiek jest w stanie wyzbyć się wolności, ulegając euforii postępu.

Szkoda, że w rozmowie z panią minister cyfryzacji nie padły takie pytania. A przecież prawo do intymności, do konfidențialności naszego życia jest jednym z głównych filarów wolności osobistej.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Od autora

Niebezpieczeństwa, o których Pan pisze i które są realne, wynikają z politycznych decyzji, których nie podejmuje minister cyfryzacji. Cyfryzacja administracji zaś niesie korzyści dla obywateli. Temat wszechwiedzy państwa o obywatelu jest wart podjęcia, ale niekoniecznie w rozmowie z szefową MC.

Łukasz Warzecha

Pani

Maryli Rodowicz

wyrazy głębokiego współczucia
w trudnych chwilach po śmierci

Mamy

składają
Zarząd i pracownicy Polskiego Radia S.A.

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci



Zbigniewa Wodeckiego

Wielkiego przyjaciela Polskiego Radia
Artysty, którego talent rozbrzmiewał
na naszych antenach przez pięć dekad,
muzyka wielkiego serca, wokalisty, kompozytora,
skrzypka i trębacza

Rodzinie i Najbliższym
składamy wyrazy głębokiego współczucia
Zarząd i pracownicy Polskiego Radia S.A.



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała**,
Piotr Zychowicz

Z ZESPOŁEM:

Sekretariat redakcji: **Jackie Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**,
Radosław Wojtas

Kolegium komentatorów: **Cezary Gmyz**, **Piotr Gociel**,
Waldemar Łysiak, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści: **Kamila Baranowska**,
Oliver Bault, **Joanna Bojanicz**, **Grzegorz Brzozowicz**,
Ślawomir Cendiewicz, **Wiesław Chelminiak**,
Dominiak Cioś (*Bruksela*), **Krzysztof Czaubański**,
Roman Graczyk, **Piotr Gursztyn**, **Edyta Hołdyńska**,
Jarosław Kałucki, **Katarzyna**, **Jackie Komuda**,
Ślawomir Koper, **Piotr Kowalczyk** (*Rzym*), **Jakub Kowalski**,
Tomasz Lenczewski, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Makowski, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**,
Agnieszka Niewińska, **Maciej Pieczyński**, **Katarzyna Pinkosz**,
Anna Piotrowska, **Jan Pospieszalski**, **Witold Repetowicz**,
Agnieszka Rybak, **Krzysztof Rybiński**, **Stefan Sękowski**,
Artur Szeremeta, **Tomasz P. Terlikowski**, **Błażej Torzański**,
Matthew Tyrmand, **Paweł Wawrzynski**, **Szewach Weiss**,
Piotr Wierzbicki, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wolski**,
Tomasz Wróblewski, **Wojciech Wybranowski**, **Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz
Telewizji Polskiej) z zespołem:
Zofia Magdziak (zastępca), **Anna M. Piotrowska**,
Małgorzata Puzry, **Damian Cygan**, **Karol Gac**
Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia),
Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),
Jackie Nadratowski, **Anna Sobieska-Wojtowicz**,
Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredykcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**,
Marzena Dobosz

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztopa**,
Miroslaw Owczarek
Okładka: **Wojciech Korkuć KOREKSTUDIO**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY:

Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS:

Anna Pawłowska-Pojawa (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);
Karolina Olchowik (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 109 tys. egzemplarzy

Druk: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie
innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest
zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na
e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując
się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami:
22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze
w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca
materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do
skrótowania i adustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na
podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca
wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione
są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Dalsze rozpowszechnianie artykułów tylko za zgodą
wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



KARTA OTWARTA NA ŚWIAT

Nowa karta wielowalutowa do kont w ramach oferty Bankowości Osobistej pozwala wypłacać gotówkę oraz płacić w kraju i za granicą, także przez internet, bez prowizji za przewalutowanie.

- jedna karta do 4 kont, w tym PLN i 3 walutowych: EUR, USD i GBP
- brak opłat za kartę



Bank Polski



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Kicz ochłodzenia

Wizyta Franka-Waltera Steinmeiera w Warszawie 19 maja miała charakter nudnego rytuału. Nowego prezydenta RFN zaprzysiężono 22 marca, ale przybył on do Polski dopiero prawie dwa miesiące po objęciu urzędu. Wcześniej ważniejszymi celami wizyt były dla niego: dwukrotnie Francja oraz Grecja, Włochy i Izrael.

Niemiecka prasa z emfazą podkreśla, że to wyrazista demonstracja ochłodzenia relacji ze strony Berlina, i porównuje daty wizyt nad Wisłą poprzednich prezydentów RFN: Horsta Köhlera, Christiana Wulffa i Joachima Gaucka. Wulff był w Polsce już 10 dni po zaprzysiężeniu, a Gauck wybrał nasz kraj na cel swojej pierwszej zagranicznej wizyty. Pytanie tylko, co ma z tej demonstracji wynikać?

Demonstracje chłodu – czy to wcześniej szefa dyplomacji Sigmara Gabriela, czy teraz prezydenta Steinmeiera – na nikim już w PiS nie robią specjalnego wrażenia.

Niechętną postawę Berlina uznano już w obozie PiS za ciężar, który należy nauczyć się dźwigać, jednocześnie rozwijając na tyle, ile się da, jak najlepsze relacje

gospodarcze. Po stronie niemieckiej rządy partii Jarosława Kaczyńskiego wciąż uznaje się za nieszczęście i polityczny wybrzyk natury, który trzeba cierpliwie przeczekać.

Prezydent RFN Frank-Walter Steinmeier powiedział w Warszawie, że Polska to część rdzenia Europy i jest potrzebna do przezwyciężenia kryzysu. Zabrzmiąło to jak wyświechtany slogan. Realne uznanie rządu PiS za partnera wymagałoby bowiem ze strony Berlina takich gestów jak porzucenie idei reelekcji Donalda Tuska na szefa Rady Europejskiej.

Jedyne, czego doczekał się prezydent Duda od swego niemieckiego kolegi, to opowiadka Steinmeiera w trakcie wspólnej wizyty na Warszawskich Targach Książki o konflikcie z kart „Czarodziejskiej góry” – sporu wolnościowca Settembriniego z zamordystą Naphtą. Różnica opinii Berlina i Warszawy na temat polskich sporów o Trybunał Konstytucyjny czy reformę sądownictwa jest jasna. Co wniesie aluzyjna, ale arogancka opowiadka?

Równie nudne i przewidywalne były komentarze na temat wizyty w prasie niemieckiej. „Polska ma

prawo do tego, by została wysłuchana, ale uparta antypostawa i użalanie się nad sobą prowadzą tylko do izolacji” – ogłosiła „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Nie zabrakło sarkau na „antyniemiecką retorykę konserwatywnego rządu w Warszawie”.

W spektaklu „Niemcy wobec Polski pod rządami PiS” odegrano już wszystkie możliwe warianty dramaturgii. Była faza gromkiego zagrożenia sankcjami za naruszanie „wartości europejskich”, była faza zejścia na drugi plan sporu, gdy Berlin wypchnął do dyscyplinowania Polski Holendra Timmermansa i Luksemburczyka Junckera, była nadzieja na bezpośredni dialog Merkel oraz Kaczyńskiego i był wreszcie niszczący kruchy dialog upór Berlina w popieraniu reelekcji Donalda Tuska na szefa RE. Wąty płomyczek dialogu zgasał.

Ato, że prezydentem RFN został socjaldemokrata, jeszcze bardziej utrudnia dialog. Kiedyś, w latach 90., sarkano na kicz pojednania Berlina z Warszawą. Teraz weszliśmy w fazę kiczu udawania, że relacje są wciąż żywe mimo ich ochłodzenia. Obie strony nie mają pomysłu co dalej. ©©

ZBIGNIEW WODECKI (1950–2017)

Wybitny kompozytor, jeden z najpopularniejszych polskich piosenkarzy, instrumentalista oraz aranżer zmarł 22 maja w jednym z warszawskich szpitali. W pierwszej połowie maja Zbigniew Wodecki niespodziewanie doznał rozległego udaru mózgu po operacji bypassów. Artysta znany m.in. z takich przebojów jak: „Zaczynij od Bacha”, „Pszczółka Maja”, „Chałupy” i „Opowiadaj mi tak” ma zostać pochowany w swoim ukochanym Krakowie na cmentarzu Rakowickim 30 maja. Miał 67 lat. (jap) ©©



FOT. FORUM

Gdy lekarze zobaczyli, w jak ciężkim stanie jest Michaś, powiedzieli jego mamie, by modliła się o cud. Pani Natalia klęczała nad łóżeczkiem synka podłączonego do respiratora i prosiła Boga o pomoc. Wysłuchał. Chłopiec po tygodniach wybudził się ze śpiączki. Dzisiaj rośnie i robi postępy w rozwoju. Jego rehabilitację finansuje firma ubezpieczeniowa LINK4.

Michaś miał tylko pół roku, gdy w końcu 2014 r. auto, którym jechał razem z mamą i babcią, roztrzaskało się o drzewo. Gdy nadeszła pomoc, nawet nie oddychał...

POTWORYNY WYPADEK

To w ogóle był zły dzień. Babcia Michasia dowiedziała się, że ma nowotwór. Razem z córką Natalią i półrocznym wnukiem wracała ze szpitala w Bydgoszczy. Droga była wąska, wzdłuż niej rosły drzewa. Nagle jadący z naprzeciwka TIR przejechał na drugą stronę szosy i pędził wprost na auto prowadzone przez panią Natalię.

– Miałam do niego jakieś 20 metrów. W głowie kołatała mi myśl: albo zderzymy się czołowo, albo odbiję w bok. Skręciłam kierownicę. Straciłam panowanie nad samochodem. Wpadliśmy w poślizg. Miałam jeszcze nadzieję, że uda mi się skierować auto na pole, ale uderzyłam w drzewo... – od wypadku minęły ponad dwa lata, a pani Natalia ma łzy w oczach, gdy o nim opowiada.

Pierwsza przy rozbitym aucie zatrzymała się położna. Ta sama, która pół roku wcześniej pomagała Michasiowi przyjść na świat. Dała mu życie jeszcze raz. Rozpoczęła reanimację i chłopcu wrócił oddech. To był początek jego ciężkiej walki o życie.

MICHAŚ NIE WIDZI

Chłopiec, podłączony do respiratora, aż dwa tygodnie był w śpiączce. – Nie było wiadomo, czy się wybudzi, czy będzie w stanie sam oddychać. Modliłam się żarliwie – opowiada mama chłopca.

Pierwsza próba wybudzenia się nie udała. Dopiero kolejna się powiodła. Jednak na pomyślnym wybudzeniu radość się skończyła. Dziecko, które przed wypadkiem raczkowało, straciło władzę w rączkach i nóżkach. Okazało się też, że w wyniku obrażeń głowy chłopiec prawie nie widzi. Konieczna była rehabilitacja ruchowa i ćwiczenia wzroku, który można było jeszcze ratować. Narodowy Fundusz Zdrowia zaoferował... kwadrans rehabilitacji w miesiącu. Za mało i za rzadko. Mama Michasia była bliska załamania.

Półroczny chłopiec miał straszny wypadek samochodowy. Jechał w aucie, które roztrzaskało się o drzewo



Michaś z mamą Natalią. Dzisiaj mają już powody do radości

Michaś wygrał drugie życie

WRACA NADZIEJA

Pomoc nadeszła od ubezpieczyciela, u którego pani Natalia miała wykupioną polisę na auto. – Z końcem kwietnia 2015 r. synek został zakwalifikowany do rehabilitacji finansowej przez LINK4 – mówi mama Michasia. Dla pani Natalii i jej synka to było jak błogosławieństwo. Jak wysłuchanie jej modlitw. – Zamiast kwadransu w miesiącu, które fundował NFZ, Michaś dostał trzy spotkania z rehabilitantem w ciągu tygodnia. Każde trwające godzinę – opowiada.

Jednak trzeba było jeszcze zadbać o oczka. – Dzięki LINK4 pojechaliśmy na dwa turnusy rehabilitacyjne do Krakowa, każdy trwał trzy tygodnie – mówi mama chłopczyka. – A w styczniu zeszłego roku LINK4 znalazł nam zajęcia z rehabilitacji wzroku w Bydgoszczy, czyli bliżej naszego domu w Chełmży, bo niespełna 50 km od nas. Jeździliśmy tam trzy razy w tygodniu, a od września jesteśmy cztery razy na tydzień – cieszy się mama chłopca. I od razu opowiada o postępach w walce o zdrowie Michasia. – Na początku ćwiczeń źrenice synka nie reagowały w ogóle, a teraz reagują jak u zdrowego dziecka – mówi.

NARESZCIE SĄ POSTĘPY

Michaś odzyskuje też sprawność w rączkach i nóżkach. Pani Natalia chwali synka, że samodzielnie je, coraz lepiej chodzi i rozumie, co się do niego mówi. Małe rzeczy? Dla Michasia wielkie.

– Tylko potrzeba ćwiczeń. Jego zdrowie zależy od intensywnej rehabilitacji i wyczerpanej pracy, przede wszystkim jego samego – opowiada z dumą pani Natalia.

Michaś dzielnie walczy o zdrowie. W ramach programu rehabilitacyjnego LINK4 jest pod stałą opieką neurologopedy, rehabilitanta ruchu i wzroku, psychologa oraz tyflop pedagoga, który uczy go orientacji w przestrzeni. Ci wszyscy specjaliści zajmują się chłopcem w tygodniu. W weekendy rehabilituje go mama.

– Nie ma co tracić sobót i niedziel. Wierzę, że dzięki LINK4 Michaś będzie mógł chodzić samodzielnie. To stymuluje nerwy wzrokowe do działania. Niby proste, a naprawdę działa – przekonuje pani Natalia.

LATA REHABILITACJI DZIĘKI LINK4

Pani Natalia ma wsparcie rodziców i rodzeństwa. – Firma LINK4 przydzieliła mi też specjalnego opiekuna. Jego pomoc jest bezcenna. Umawia wizyty Michasia u specjalistów, robi plan jego rehabilitacji. Dzięki temu ja już nie tracę czasu, a mogę go poświęcić Michasiowi na wspólne ćwiczenia – cieszy się pani Natalia.

Przed Michasiem jeszcze trzy lata systematycznej rehabilitacji finansowanej przez ubezpieczyciela. Program LINK4 dla chłopca jest bowiem rozpisany na pięć lat. – Lekarze mówią, że trzeba jeszcze szczęścia. Na razie los nam sprzyja. Wierzę, że mój synek wyzdrowieje – mówi pewnym głosem pani Natalia.



Marek Baran, LINK4

Robimy, co w naszej mocy. Nie można być obojętnym wobec tragedii, która spotkała małego Michasia. LINK4 zapewniła mu rehabilitację. To bardzo dzielny chłopiec. Kibicujemy jego powrotowi do zdrowia.

Materiał powstał we współpracy z Grupą PZU.



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Nerwy na wodzy

Zawsze czerpałem zadowolenie z negatywnych reakcji na mnie, jeśli pojawiały się w obozach skrajnych. Jeśli Żydzi nazywają mnie antysemitą, a antysemita Żydem, to znaczy, że wszystko ze mną OK – powtarzałem sobie. Trudno, żebym z takim podejściem nie lubił Pawła Kukiza, skoro przez PO nieustannie dyskredytowany jest jako „przystawka Kaczyńskiego”, a przez PiS jako „koleś Schetyny”. Trudno o lepszy dowód niezależności.

Zresztą, nie ukrywam, że swoje nadzieje na lepszą Polskę, taką z moich „Myśli nowoczesnego endeka” (nowe wydanie właśnie dociera do księgarń), w coraz mniejszym stopniu pokładam w PiS – brnącym w etatyzm, sanacyjną politykę kadrową „ważne, żeby był lojalny, kwalifikacji nabierze na stanowisku” oraz coraz bardziej

bezwstydnie ulegający lobbingsowi. Tym bardziej niczego dobrego nie spodziewam się po PO ani jej przystawkach, które z własnego wyboru stały się narzędziem zdegenerowanych elit marzących o powrocie do utraconych latyfundiów i zemście na „chamach”, które je z nich wyгнаły. W takiej sytuacji pozostaje mi w obecnej sytuacji politycznej pokładać te nadzieje tylko w Kukizie.

Co nie znaczy, że nie widzę popełnianych czasem przez Kukiza błędów. Jednym z nich było głosowanie za zgłoszonym przez PO wotum nieufności dla Antoniego Macierewicza. Przy czym, żeby było jasne, za błąd nie uważam samej w sobie negatywnej oceny Macierewicza – po sławnym liście, który minister wystosował niedawno do Kukiza, wręcz trudno się jej dziwić. Błędem było danie pretekstu do łączenia swego klubu

z oczywistą hucpą, jaką była próba odwołania ministra obrony pod bardzo słabymi, zgoła wydumanyymi zarzutami tuż przed ważnym szczytem NATO.

Obie strony wojny polsko-polskiej w jednym są zgodne: nie powinno pozostać nic, co nie jest albo PiS-owskie (w mowie własnej: patriotyczne), albo PO-wskie (analogicznie: europejskie). Nic, nawet festiwal piosenki – docelowo nawet szalety mają być podzielone na „europejskie” i takie, które elity będą bojkotować, choćby kosztem własnych spodni. W takiej histerii „ten trzeci” nie może sobie po prostu być. Musi albo zniknąć, albo wygrać. A żeby wygrać, musi zacząć być Kukiz dużo bardziej przebiegły i powinien dużo mniej ulegać emocjom, niż to widać w tej chwili. Musi po prostu, choćby nie wiem jak nie chciał, zacząć wreszcie być politykiem. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O sztuce żałosnej

Pan Tim Youd, artysta z Los Angeles, przepisuje książki na mechanicznej maszynie do pisania. Jednak tylko na dwóch kartkach, więc już po kilku godzinach pozostają z nich strzępy. Czasem, w chwili szczególnego natchnienia, przerywa stukanie i tworzy rzeźby z zużytych taśm maszynowych. Na koniec skleja obie kartki w dyptyk, pokazuje publiczności i idzie do kasy, by za trwający kilka dni spektakl pobrać ogromne pieniądze.

Youd umyślił sobie przepisać w ten sposób 100 książek. Przepisał już 49 w galeriach i muzeach sztuki, m.in. w Nowym Orleanie, San Diego, Monterey i Londynie. Teraz pośród zachwyconych, do cna zesnobowa-

nych luminarzy i cmokierów stuka w Rzymie (Grand Finale 2 czerwca) w muzeum cudownie rzeźbionego Ołtarza Pokoju boskiego Augusta. Przepisuje poświęconą cesarzowi powieść epistolarną Johna Williamsa „Augustus”.

Co niepomierne dziwi, nikt jeszcze podczas tych ponurych chałtur nie zawołał: „Nie róbcie ze mnie wariata!”. Przeciwnie. Stukacz i jego aberracja są rozrywani. Z Rzymu Youd pojedzie do Stresy i będzie przepisywał „Pożegnanie z bronią” w hotelu, w którym kiedyś stanął Hemingway. Zgoda, lepiej, że Youd przepisuje książki, niżby miał pisać własne. Trudniej pojąć, dlaczego robi to za moje podatki, bo za żalosną imprezę słono płacą

władze Rzymu. A najtrudniej pojąć, jak można taki humbug pokazywać i promować w mieście, w którym tworzyli Michał Anioł, Rafael i Caravaggio.

Karłujemy. Przepisywanie książek opłaca się bardziej niż pisanie. Ostatnia nadzieja w prostym ludzie, który wreszcie się ocknie i hoch- sztaplerów rozpędzi na cztery wiatry. W Rzymie precdens już był. Postępowy burmistrz zaprosił nowojorskiego „writera”, by umalował jeden z mostów przez Tybr. W niedzielę nad bazgrołami zachwycali się koneserzy, ale w poniedziałek służby oczyszczania miasta nie poznały się na sztuce i wymyły most aż miło. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wszystkie problemy prezydenta

Pamiętam dobrze wieczór 24 maja 2015 r. W tłumie przed Redutą Banku Polskiego jeszcze przed zamknięciem lokali wyborczych krążyły optymistyczne informacje. We wnętrzu – o wiele za małym jak na liczbę zebranych – było nieznośnie gorąco. Gdy w końcu ogłoszono wyniki exit poll, zapanował entuzjazm. Andrzej Duda z trudem przebił się w stronę sceny.

Minęły dwa lata i bilans jest... mieszanym. Funkcję reprezentacyjną Andrzej Duda pełni dobrze, może nawet bardzo dobrze. Z innymi kwestiami jest już gorzej. Jako głowa państwa z najmocniejszym mandatem, pochodzącym z powszechnych wyborów, Duda jest wciąż rozpięty między próbami sięgania

ani razu nie zaznaczył wyrażnie swojego odrębnego zdania. Wielu liczyło na prezydenckie weto w sprawie ustawy o aptekach, ale Duda potulnie podpisał fatalną regulację. Ustawę o zgromadzeniach, zawierającą kontrowersyjne zapisy, skierował do Trybunału Konstytucyjnego, wiedząc świetnie, że ten ją zaakceptuje. Nie ma też raczej co liczyć na stanowcze postawienie sprawy w przypadku ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa, choć prezydent zgłaszał zastrzeżenia wobec wygaszenia mandatu członków KRS.

Ma też Duda problem z niedotrzymanymi obietnicami. Cięży na nim złamanie słowa w sprawie frankowiczów, a także – o czym mało kto pamięta – w sprawie nowelizacji ustawy o policji. Zapoznawszy się z argumentami organizacji broniących prywatności, Duda obiecywał, że ustawie się przyjrzy i wniesie własny projekt. To było ponad rok temu. I nic.

Teraz prezydent ma nowy kłopot w postaci własnej zapowiedzi referendum w sprawie ustroju państwa, wygląda bowiem na to, że pomysł jest kompletnie nieprzemyślany.

Za parę miesięcy minie połowa kadencji. Kurczy się czas Dudy na zbudowanie własnej niezależnej pozycji i zaczerpnięcie głosów z centrum – a bez tego trudno wygrać wybory prezydenckie. Czasami można odnieść wrażenie, że prezydent o tym całkiem zapomniał. ©©

Kurczy się czas Dudy na zbudowanie własnej niezależnej pozycji

do centrum i jednoczenia dramatycznie podzielonych Polaków a lojalnością wobec własnego obozu politycznego, z jego hunweibińską częścią włącznie. A przyznać trzeba, że ten obóz, z jego naczelnikami na czele, zadania prezydentowi nie ułatwia.

Dwa lata od wyboru to mnóstwo czasu, a mimo wielu okazji prezydent do tej pory

Skarb Antoniny

26 maja miała miejsce premiera płyty Antoniny Krzysztoń pt. „Skarb”, na której artystka składa hołd mistrzom swojej młodości.

Usłyszymy więc w jej interpretacji zestaw mniej popularnych piosenek Czesława Niemena, a także pieśni Bułata Okudźawy („Balonik”, „Modlitwa. François Villon”) i Karela Kryla (nasycone głęboką mądrością „Dziękuję” ze wstrząsającą frazą: „Baranku, dziękuję, umierasz nie na darmo”). Na płycie znajdziemy też „Piosenkę o nielegalnym posiadaniu broni” Jana Krzysztofa Kelusa oraz utwór z repertuaru Ewy Demarczyk „Imię twe” do słów Maryny Cwietajewej (muzyka: Andrzej Zarycki).

Fani oryginalnej twórczości Antoniny dostają trzy premierowe nastrojowe nagrania, a na koniec jej wokalizę do standardu „Killing Me Softly”.

Świetnym pomysłem okazało się zaproszenie do

nagrań Andrzeja Jagodzińskiego, którego fortepianowe partie wzbogacają brzmienie zespołu.

Płytę artystka dedykuje swej mamie Barbarze, a także wujostwu – Halinie Mikołajskiej i Marianowi Brandysowi – niezwykłym ludziom, którzy towarzyszyli jej młodości.

Tytułowym skarbem są – jak pisze Antonina – „artyści, których piosenki nuciłam, będąc nastolatką – moi nieświadomi nauczyciele śpiewu. Szczególnie miejsce w moim sercu zajmuje Czesław Niemen, który, nic o tym, oczywiście, nie wiedząc, pomógł mi przetrwać trudny czas dorastania. Drugą taką osobą jest Ewa Demarczyk. Skarbem są muzycy, z którymi dane mi było grać.

[...] Ta płyta jest podziękowaniem wszystkim, którzy towarzyszyli mi, uczyli wrażliwości, poszukiwania piękna i prawdy”. ©© (a)



ANTONINA
KRYSZTOŃ
„SKARB”
EDYCJA
ŚW. PAWEŁ, 2017

21. EDYCJA KONFERENCJI WALL STREET

Przez trzy dni, od 2 do 4 czerwca, uczestnicy rynku kapitałowego będą w Karpaczu debatować o wyzwaniach oraz zagrożeniach, jakie stoją przed giełdowymi graczami.

21. edycja konferencji Wall Street organizowana jest przez Stowarzyszenie Inwestorów Indywidualnych. W planach: trzy dni intensywnych debat, wystąpień, prelekcji oraz dyskusji panelowych.

– Nadzrędnym celem tego wydarzenia jest umożliwienie bezpośredniego kontaktu wszystkim grupom interesariuszy, które wspólnie tworzą rynek kapitałowy w Polsce – mówi Jarosław Dominiak, prezes Stowarzy-

szenia Inwestorów Indywidualnych. W trakcie dyskusji paneliści, wśród nich m.in. Jarosław Grzywiński, prezes Zarządu Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie, Sławomir Panasiuk, wiceprezes Zarządu Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych, i Marcin Pachucki, zastępca przewodniczącego Komisji Nadzoru Finansowego, będą starali się odpowiedzieć na wiele pytań dotyczących np. tego, jak rewolucja technologiczna wpłynie na funkcjonowanie giełdy, czy nadchodzi wieloletnia hossa albo jak kształtuje się przyszłość giełdy w Polsce i w którą stronę zmierza krajowa gospodarka. ©© (ww)

JANDA I PODATKI

Aktorka Krystyna Janda oznajmiła, że nie zamierza płacić abonamentu radiowo-telewizyjnego. Nie lubi mediów publicznych, bo nie lubi obecnej władzy, a więc płacić nie będzie. „Media publiczne niczym nie różnią się obecnie w swym przekazie od siermiężnej, propartyjnej propagandy z czasów Gomułki, w niczym też nie przypominają mediów niezależnych, obiektywnych i pluralistycznych. Jednocześnie trwają prace nad zmuszeniem wszystkich obywateli do finansowania tej haniebnej działalności, co jest wyrazem wyjątkowej bezczelności i cynizmu obecnej władzy. Nie ma na to naszej zgody!” – napisała na swoim Facebooku. Po czym zaapelowała, by wyłączyć jej wszystkie kanały telewizji publicznej i publicznego radia, bo nie zamierza ich słuchać ani oglądać. Czekamy, aż idąc za ciosem, Janda oznajmi, że nie zamierza płacić także innych podatków. Jako szanująca się antykapcyśka nie będzie przecież korzystać z PIS-owskich szpitali ani PIS-owskich dróg, prawda? O PIS-owskich teatrach, muzeach i galeriach nawet nie wspominając!

ISTNIENIE PESTKI

Radek Pestka, który zaistniał w show-biznesie jako model, wygrywając piątą edycję programu „Top Model”, nawrzucał serwisowi plotkarskiemu Pudelek, że ten manipuluje jego wypowiedziami. Poszło o wpis Pestki po zamachu w Manchesterze. Pestka się zmarcił, że mogą teraz być odwoływane wszystkie koncerty, a on tak bardzo chciał pojechać na występ Ariany Grande. Pestka zarzucił Pudelkowi manipulację, choć portal w sumie zacytował jego słowa. Model postanowił więc wytłumaczyć, co miał tak naprawdę na myśli. – Jeśli już się odbędą koncerty, to dużo rodziców zabroni dzieciom tam jechać ze względu na to, co się stało, i ja w sumie się nie dziwię, sam nie wiem, czybym pojechał, bo może coś takiego się zdarzyć ponownie. I to wszystko przez ISIS, czyli Państwo Islamskie, i uważam, że nie powinno się krzywdzić tylu ludzi bez żadnego znaczącego powodu, a oczywiście Pudelek wymyślił sobie, że ja się w ogóle nie przejmuję żadnym istnieniem – wyjaśniał. Co za niesprawiedliwa ocena, że Pestka Radek nie przejmuje się żadnym istnieniem! Patrząc na jego facebooki, snapchaty i instagramy, a teraz jeszcze na jego walkę z Pudelkiem, na pewno przejmuje się przynajmniej jednym! Swoim.

URODA NAJWAŻNIEJSZA

Aktor Paweł Deląg parę lat temu przeprowadził się do Rosji, że tam dostaje większość ról, i postanowił się skupić na tamtejszym rynku



FOT. PAWEŁ GRIMADA

filmowym. Jest tam ponoć uważany za wielką gwiazdę. Mimo że pracuje głównie za granicą (także w Czechach i we Francji), w wywiadach podkreśla, że czuje się przede wszystkim polskim aktorem i najważniejsze są dla niego rodzime produkcje, w których występuje.

– Jestem aktorem polskim i najbardziej liczą się dla mnie polskie produkcje. To, że pracuję we Francji, w Czechach, Rosji czy na Ukrainie, nie zmienia faktu, że jestem aktorem polskim – stwierdził niedawno. Postanowił też zdementować plotki, że powodem, dla którego nie dostaje wielu ról w Polsce, jest jego uroda. – Nie wiem, czy uroda przeszkadza mi w aktorstwie. O urodę pytają mnie tylko w Polsce – wyznał. Nikt tak krótko i dosadnie nie podsumował ogólnego stanu polskiego dziennikarstwa.



FOT. JACEK DOMAGALA/REPORTER

SAMA NATURA

Zapomniana nieco gwiazdeczka Marcela Leszczak, która wzięła kiedyś udział w programie „Top Model”, a potem próbowała swoich sił w modelingu i żenujących reality show, została oficjalną dziewczyną Miśka Koterskiego. Tym samym wróciła na ścianki i bankiety. Ostatnio pochwaliła się, że miłość działa na nią tak odmładzająco, iż postanowiła zrezygnować z wszelkiej sztuczności. Zdjęła więc sztuczne paznokcie i sztuczne rzęsy. „Zdjęłam rzęsy, paznokcie u stóp i u rąk, miałam hybrydy, zdjęłam nawet aparat z zębów – napisała na portalu społecznościowym. – Już nikt mi nie powie, że jestem sztuczna!” – dodała. W sumie ma rację. Wszak botoks i kwas hialuronowy, którymi ma wypełnioną całą twarz, to jak najbardziej naturalne substancje.

MARGARET. WYPISZ SIĘ Z INTERNETU?

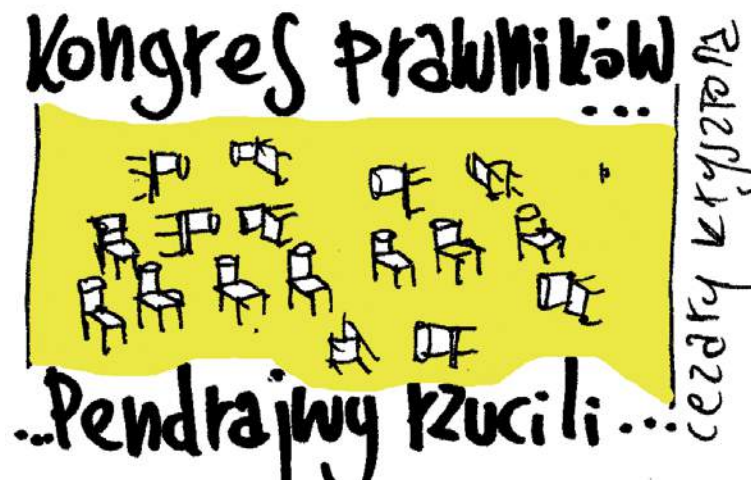
Piosenkarka Margaret ma już całkiem dość Internetu i mediów społecznościowych. Mówi, że ją to męczy i ogłupia. – Internet dość mocno nami steruje, co mi się nie do końca podoba. To oznaka czasów, powoli się z tych czasów wypisuję. Trochę chciałabym się z Internetu wypisać, z bycia on-line non stop. To nas trochę ogłupia, czasami lepiej wyłączyć telefon i coś poczytać – wyznała ostatnio. Zgadza się z Margaret. Niech wyłączy telefon, wypisze się z Facebooka i coś poczyta. Dzięki temu Internet na pewno będzie odrobinę mniej ogłupiający! ☺

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, na wstępie z przykrością informujemy, iż zdecydowaliśmy się zrezygnować z udziału w tegorocznym festiwalu w Opolu. Dając się ponieść emocjom, rezygnujemy też z udziału w finale Ligi Mistrzów, obecności w kapitule Orderu Orła Białego i udziału w młodzieżowych mistrzostwach Europy w piłce nożnej. Nasza decyzja jest nieodwracalna i prosimy, izby ją uszanować.

Zastanawiamy się, czy przetrwałście festiwal dyskryminacji środowisk LGBTQWERTY znany jako Dzień Matki? Zastanawiamy się, ile jeszcze krajów w Europie oprócz tego kraju celebruje to średniowieczne wydarzenie. W oczywisty sposób jest to bowiem dzień, który mocno akcentuje fakt, iż osoby nieheteronormatywne nie mogą w tym kraju posiadać naturalnego potomstwa, a nawet jeśli dwóch osobogejów wychowuje wspólnie dziecko jednego z nich (of kors szczęśliwsze niż w tradycyjnej rodzinie!), to obaj za jednym zamachem są wykluczeni z obchodów 26 maja. I oczywiście nikt nie myśli o krzywdzie tych osobodzieci, które nie mogą zaprosić do przedszkola ani Opiekuna nr 1, ani Opiekuna nr 2. Dlatego w nowym, cywilizowanym świecie powinni-



śmy właśnie zamiast wstecznych Dni Ojca i Matki, które to określenia są fashystoffskie i wsteczne, celebrować Dni Opiekuna – najlepiej świeckiego, izby nikomu jeszcze jakieś katofashystoffskie skojarzenia nie przychodziły go głowy.

Odnaleźliśmy nowy przykład dyskryminacji osób wegepozytywnych. Otóż do tej pory nikogo nie obchodziło, izby wprowadzić w 100 proc. wegański probiotyk, dzięki któremu moglibyśmy uniknąć pożerania milionów osobobakterii. Wyobraźcie sobie bowiem, iż byliśmy u lekarza, który nie dość, iż dał nam antybioty-

to jeszcze nakazał stosowanie probiotyku. Zapytaliśmy więc, czy możemy dostać probiotyk z jarimużu, najchętniej z nasionami chia i czarnuszki, zamiast tych biednych osobobakterii. Mamy więc teraz dylemat: czy się leczyć, czy jednak nie zażywać antybiotyku (iż zabija bakterie) i nie stosować probiotyku (iż zjadamy bakterie). Ewentualnie są jeszcze probiotyki drożdżowe, ale wiecie – drożdże to grzyby, czyli nie wiadomo do końca, czy rośliny, czy zwierzęta, czy co :/ ©©

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

REKLAMA

**„Notariusz dobrej zmiany
nie jest określeniem,
które mnie obraża”**

(Andrzej Duda, Prezydent RP)

Najistotniejsze tematy poruszamy o 8:02 w RMF FM.

To już się robi nudne. Znowu rekonstrukcja. Tym razem plotka z miasta brzmi: Kaczor-Dyktator zostanie premierem w lipcu i będzie kierował rządem do listopada 2018 r. Wtedy odda fotel jakiemuś nowemu zderzakowi, żeby przed wyborami w 2019 r. być znowu schowanym, bo to robi lepiej wynikiom PiS. Nie chce nam się wierzyć. Przecież jesienią 2018 r. też są wybory – samorządowe. Czyżby tych Kaczor-Dyktator nie chciał wygrać?

Teoria spiskowa mówi, że powyższą plotkę kolportują źli ludzie z Eine Totalopposition. Po to, żeby zaszczyć taki pomysł w głowie Kaczora-Dyktatora. Owi źli ludzie doszli bowiem do wniosku, że nie są w stanie niczego przykleić do premier Bełaty. Po której wszystko spływa jak woda po, hm... jak by tu powiedzieć... No przecież nie napiszemy „po kacze”.

Tymczasem z Nowogrodzkiej słyhać plotki, że w grę wchodzi rekonstrukcja, ale być może bez Kaczora-Dyktatora. A premier Bełata, jak to porządna córka górnika, negocjuje już warunki beatxitu. Wiewiórki mówią, że chciałyby przejść do strefy euro.

Na razie zrekonstruował się resort Srebrnego Lisa Dyplomacji. Były rzecznik prezydenta Andrzeja Sebastiana został bowiem wickiem u Waszcza. Na miejscu Waszcza mielibyśmy lekkie kompleksy. Marek Magierowski zna bowiem sześć języków, a nawet siedem – wliczając język dyplomacji.

Biorąc pod uwagę, że zastępcy Waszcza to teraz trio Kondzio Szymański, Janek Dziedziczak i Marek Magierowski, sam Srebrny Lis Dyplomacji nie musi już zbyt wiele robić. Czyli tak jak do tej pory.



FOT. ROBERT CAROZINSKI

dwaj
panowie **g**

Wracając do kancelarii Andrzeja Sebastiana. Pełno w gazetach informacji o ludziach chcących ogrzać się w sławie i we wpływach Kaczafiego. A co z innymi? Tymi, którzy wolą grzać się w sławie prezydenta? Są i tacy. Na przykład Gośka Sadurska bardzo chciała wystąpić w telewizji po orędziu Andrzeja Sebastiana. Z nieznanых powodów telewizja tego nie chciała.

Pamiętacie, jak informowaliśmy o kasie z Fundacji PZU dla Instytutu Lecha Wałęsy? Piękna decyzja z czasów Bronka Komorowskiego. Pół melona na digitalizację zbiorów. Niestety, ani kasy, ani digitalizacji. Magister Jerzy Stępień, ksywa Profesor, pielgrzymuje więc do fundacji, żeby sprawę załatwić. Magister szefuje bowiem teraz instytutowi. Naszym zdaniem dopóki nie przyprowadzi Rzeplińskiego, dopóty szanse są marne.

Bad news dla Kazka Sowy, ksywa „Ksiądz”. Nowy metropolita krakowski porządkuje archidiecezję i jego oko spoczęło na tym niedawnym członku Rady Nadzorczej Krakchemii, osobistym przyjacielu Tuska i Arabskiego. Kazek formalnie jest inkardowany (przypisany) archidiecezji, a konkretnie parafii Wszystkich Świętych. Jednak nawet najstarsze krakusy nie pamiętają, kiedy go tam ostatnio widziano. Nasze wiewiórki utrzymują, że Kazek chwycił się klamki przy Miodowej w Warszawie, by kard. Nycz wziął go do siebie. Problem polega jednak na tym, że ten nie bardzo chce wchodzić w spór z kolegą abp. Markiem Jędraszewskim. Również kardynałem niebawem.

Stare, lecz warte przypomnienia. Kazek swego czasu był jurorem. I to nie byle jakim jurorem, bo w konkursie miss mokrego podkoszulka w Kryspinowie. Było to jakieś 15 lat temu, ale wciąż nas to bawi.

Jest źle. Frans Timmermans, Człowiek Roku „Gazety Wyborczej”, czyli taki zagraniczny herszt i zarazem patron Eine Totalopposition, płakał w mankiet

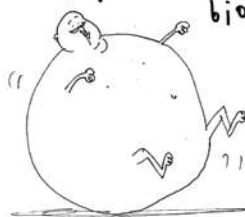
ludzi Michnika, że problem Niemców vel Europejczyków jest taki, iż kończą im się i kasa, i cierpliwość do imigrantów. Więc albo „polskie obozy”, albo kasa z Polski na niemieckie obozowiska. Tertium non datur.

Apropos Europy. Spotkanie króla Europy ze swoim amerykańskim imiennikiem Donaldem Trumpem nie należało do udanych. Jak nam relacjonują eurowiewiórki, Trump poświęcił Tuskowi tyle uwagi, co ONZ dzieciom w Afryce. Jeden z naszych informatorów użył nawet sformułowania, że król został potraktowany „like a piece of shit”. Widać, Trump też uznał, że „one Donald is more than enough”.

Z gazet. „W obecności przedstawicieli polskich i ukraińskich władz, redaktora naczelnego »Gazety Polskiej« i »Codziennej« Tomasza Sakiewicza oraz licznie zgromadzonych mieszkańców odbyło się odsłonięcie w centrum Żytomierza tablicy poświęconej śp. Lechowi Kaczyńskiemu” – czytamy w „Gazecie Polskiej Codziennie”. Czego brakuje w tym leadzie? Tablicę odsłaniali wicemarszałek Sejmu Ryszard „Pies” Terlecki, Beata Mazurek – rzecznik Prawa i Sprawiedliwości oraz poseł Pięta Stanisław na dodatek.

Ciekawa sprawa z tym Opolem. Maciejowi Wąsikowi, posłowi ziemi mazowieckiej i jednocześnie sekretarzowi stanu u Bełaty, marzy się, by przenieść festiwal do swojego

Po nabraniu doświadczenia, w obalaniu Orbana i Kaczyńskiego, europejskie elity intelektualne, bił się za obalanie Trumpa...



ce zary krj20p2 b69poblib2.com

okregu wyborczego. Fakt – Płock ma rewelacyjnie położony amfiteatr u stóp wisłanej skarpy. Jednak inni baronowie PiS chcieliby widzieć festiwal u siebie. Wcale nas to nie dziwi. W końcu to festiwal obciachu.

Z dobrych źródeł wiemy, że w tzw. międzyczasie do Jacka Kurskiego dzwonił Elvis Presley. Powiedział, że nie żyje, ale gdyby żył, to wycofałby się z udziału w festiwalu. Podobno Kura przyjął tę deklarację ze zrozumieniem.

Tymczasem w Nowoczesnej. Mało kto wie, jak ekspresowym przedsięwzięciem była konwencja programowa Ryśków. Od chwili podjęcia decyzji „robimy nowe otwarcie” do samej konwencji upłynęło dokładnie 10 dni. Co omal nie zabiło głównego organizatora, Pawła Rabieja. Skoro już się sprawdził, to może on zorganizowałby Opole?

Jeszcze o Nowoczesnej. Ryśiek i Joasia dają czadu. Ostatnio widziano ich razem na gali Nagród Polskiej Rady Biznesu im. Jana Wejcherta. Z tego, co mówią świadkowie, zachowywali się bardzo nowocześnie.

Nowe otwarcie dotyczy też lokalnych kół Nowoczesnej. Na przykład na Śląsku Ryśki zorganizowały konferencję „Kiedy umrze śląsko godka”. Żałujemy, że nie było tam samego Ryszarda i że nie próbował przemawiać lokalną gwarą. Zobaczenie, jak kaleczy dwa języki naraz, to byłoby dopiero coś!

W konferencji Nowoczesnej wziął za to udział prof. Kadłubek, w roku 2015 lider wspólnej listy sejmowej mniejszości niemieckiej i ślązakowców. Biorąc pod uwagę olbrzymie poparcie, jakie wtedy zdobył, domyślamy się, że flirt z Kadłubkiem oznacza, iż Nowoczesna chce opuścić Sejm i przejść do opozycji pozaparlamentarnej.

Z życia kukistów. Potwierdzają się informacje o prezydenckich ambicjach Piotra vel Scyzoryka vel Liroya vel Marca. Marzy mu się Warszawa. Ma jednak ciekawego konkurenta. Żli ludzie opowiadają, że podobne marzenie ma Marek Jakubiak, kukista piwno-narodowy. Marzenie jest równie wielkie jak pasja, z jaką Jakubiak zaprzecza, jakoby je posiadał.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



Parlamentarny zespół ds. regulacji rynku farmaceutycznego opracowuje projekt zmian w prawie dotyczących wprowadzania suplementów na rynek, nadzoru nad nimi i reklamy. Trzeba jednak uważać, by nie wylać dziecka z kąpielą, bo niektóre suplementy są dla zdrowia niezbędne

Suplementy pod lupą

Profesor Małgorzata Kozłowska-Wojciechowska, kierująca Zakładem Farmacji Klinicznej i Opieki Farmaceutycznej Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, wspomina, jak jedna z jej pacjentek przyjmowała ponad 20 suplementów diety, skarżąc się na osłabienie, bóle głowy, brzucha, nudności. Suplementy warto przyjmować, jednak pod warunkiem, że wiemy, jakiego składnika mamy niedobory – mówi prof. Kozłowska-Wojciechowska.

Zgodnie z nazwą „suplement diety” powinien być jej uzupełnieniem, dodatkiem. Powinniśmy więc najpierw sprawdzić, czego naprawdę nam brakuje, a potem spróbować zmienić sposób odżywiania. Żadna tabletką nie może zastępować zdrowej diety. Żaden suplement nie zniweluje też szkód, jakie są spowodowane paleniem papierosów, brakiem ruchu, byle jaką dietą.

NIELEKI, CHOĆ Z APTEKI

Suplementy występują w postaci tabletek, kapsułek, saszetek, często są też sprzedawane w aptekach, dlatego przywykliśmy traktować je jak leki.

W przeciwieństwie jednak do leku suplement nie ma zadania leczyć, a być uzupełnieniem naszej (niedoborowej) diety. Po to, by został zarejestrowany, nie musi więc przejść badań takich, jakie przechodzą leki, pokazujących skuteczność czy działania niepożądane. Po to, by znalazł się w sprzedaży, producent ma obowiązek powiadomić Główny Inspektorat Sanitarny o wprowadzeniu produktu na rynek. GIS może później kontrolować suplementy, jednak w praktyce nie jest możliwe sprawdzenie wszystkich. Faktem jest jednak, że wiele preparatów jest produkowanych w identycznych warunkach jak leki, zwykle przez firmy farmaceutyczne. I często mają badania kliniczne.



FOT. FOTOLIA

Parlamentarny zespół ds. regulacji rynku farmaceutycznego opracowuje projekt zmian w prawie dotyczących wprowadzania suplementów na rynek, nadzoru nad nimi i reklamy. Dobłą wiadomością jest jednak również to, że cztery polskie organizacje zrzeszające producentów suplementów wspólnie opracowały Kodeks dobrych praktyk reklamy suplementów diety. Producenci zobowiązali się do obowiązkowego umieszczania nazwy „suplement diety” w reklamie, niewykorzystywania wizerunków lekarzy i przedstawicieli innych

zawodów medycznych oraz nieodnoszenia się w reklamie do chorób, co mogłoby sugerować właściwości lecznicze suplementów.

KIEDY POTRZEBNE

Regulacje prawne i Kodeks dobrych praktyk to kroki w dobrą stronę, ważne jest jednak też to, żebyśmy sami mieli większą wiedzę dotyczącą tego, kiedy naprawdę warto przyjmować suplementy. Bywają sytuacje, kiedy nawet najlepiej skomponowana dieta nie jest w stanie zapewnić wszystkich niezbędnych skład-

ników odżywczych i wręcz konieczne jest przyjmowanie suplementów.

Liczne badania pokazują, że wszystkie grupy wiekowe w Polsce mają niedobory witaminy D. Jeszcze kilka lat temu lekarze zalecali jej przyjmowanie wyłącznie kobietom w ciąży i niemowlętom, dziś – właściwie wszystkim. Wytwarza się ona w skórze pod wpływem słońca, jednak w naszej szerokości geograficznej od października do kwietnia promienie UV są zbyt słabe, by wytworzyła się odpo-

ne zaleca się od października do kwietnia wszystkim, nawet bez wykonywania badań. – Osoby z nadwagą, otyłością, zaburzeniami odporności powinny sprawdzić poziom witaminy D, bo być może powinny przyjmować wyższe dawki. A ludzie starsi powinni ją przyjmować przez cały rok, gdyż synteza skórna jest u nich znacznie osłabiona – dodaje prof. Chlebna-Sokół.

Z kolei osoby, które nie jedzą raz lub dwa razy w tygodniu ryb (szczególnie

Odpowiednie ilości omega-3 można co prawda dostarczyć z dietą, jedząc ryby i sięgając po oleje bogate w ten rodzaj tłuszczów (np. rzepakowy), jednak eksperci idą na kompromis. – Górnicza rodzina na Śląsku pewnie od razu nie zwiększy spożycia tłustych morskich ryb, gdyż od wielu lat ma tradycyjną kuchnię. Dlatego suplementy zawierające omega-3 mogą być rekomendowane zarówno w prewencji, jak i w leczeniu zaburzeń gospodarki lipidowej – dodaje prof. Mamcarz.

Suplementy są też zalecane kobietom w ciąży, choć nie wszystkie, bo w tym okresie nadmiar składników może również zaszkodzić jak niedobór. Polecana jest tzw. wielka piątka, „big five”: kwas foliowy, tłuszcze omega-3, witamina D, jod, żelazo. Skutki ich niedoborów w okresie ciąży mogą być nie do odwrócenia. Kwas foliowy chroni przed poważnymi wadami rozwojowymi, jest też niezbędny do prawidłowego rozwoju mózgu dziecka. Kwasy DHA zmniejszają ryzyko przedwczesnego porodu, są ważne dla układu nerwowego, zmniejszają ryzyko astmy, alergii, infekcji. Konsekwencje niedoborów witaminy D3 w czasie ciąży to zła mineralizacja kości i ryzyko chorób cywilizacyjnych; niedobory jodu bywają przyczyną opóźnienia intelektualnego i rozwoju psychoruchowego dzieci, a żelaza – anemii.

DOBRY WYBÓR

Niestety, często decydujemy się nie na te suplementy, które są nam potrzebne. Przykładem jest kwas foliowy: kobieta powinna zacząć go przyjmować, gdy tylko zaczyna przygotowywać się do ciąży, gdyż zapobiegnie on poważnym wadom płodu tylko wtedy, gdy będzie przyjmowany odpowiednio wcześniej. Niestety, co druga kobieta albo w ogóle nie przyjmuje kwasu foliowego przed ciążą, albo nie taką dawkę, jaka jest konieczna.

Suplementy mogą pomóc w sytuacji, gdy z różnych względów niektórych składników nie możemy dostarczyć organizmowi wraz z dietą. Powinny je przyjmować osoby, które mają niedobory określonych składników, w okresie rekonwalescencji po chorobie, stosujące dietę z powodu choroby, ludzie starsi. Zawsze przed podjęciem suplementacji warto poradzić się lekarza lub farmaceuty, zapytać o najlepszy preparat.

Monika Długosz



wiednia jej ilość. – Dzisiaj już wiemy, że witamina D działa na kości przez całe życie. U dzieci, które mają jej niedobory, częściej dochodzi do złamań, pojawiają się bóle kości, a u dorosłych osteoporoza. Osoby, które mają niedobory witaminy D, częściej zapadają na infekcje, alergie, choroby układu krążenia, nowotwory, choroby autoimmunologiczne – wylicza prof. Danuta Chlebna-Sokół, kierownik Kliniki Pediatrii Uniwersytetu Medycznego w Łodzi.

Niedobory witaminy D w Polsce są tak powszechne, że dawki profilaktycz-

morskich) mogą mieć niedobory tłuszczów omega-3, ważnych m.in. w zapobieganiu alergii czy chorobom serca. – Badania wykazały, że omega-3, a zwłaszcza dwa z nich: EPA i DHEA, mają spory potencjał biologiczny, gdyż stabilizują błonę komórkową i zmniejszają ryzyko arytmii. U osób, które mają bardzo wysokie stężenie trójglicerydów, duże dawki kwasów omega-3 dziennie (3–4 g) są polecane jako dodatkowy element wyrównania gospodarki lipidowej – mówi prof. Mamcarz.

Kontrrewolucja



Rafał A. Ziemkiewicz

Po zmianie władzy korporacje w trosce o swoje interesy podjęły próbę sparaliżowania PiS. Strategia buntu „środków zawodowych” jednak się nie powiodła

Bija naszych” – nic nie ma w naszym kraju takiej siły mobilizowania jak to zawołanie. Bronić „swoich” to najsilniejszy instynkt życia publicznego III RP. Dzielimy się na korporacje zawodowe, kasty i grupy interesu, kierujące się zbiorowymi egoizmami oraz środowiskową lojalnością. Nieważne, czy biedni, czy bogaci – instynkt wzajemnego popierania się równie silny jest w „mocnych branżach”, jak i w najlepiej sytuowanych korporacjach zawodowych. Nawet duchowni, jak dowiódł tego problem lustracji czy pedofilii, w chwilach kryzysowych kierują się przede wszystkim tym instynktem.

DWIE MENTALNOŚCI

Właściwie całe ćwierćwiecze III RP można opisać jako starcie dwóch men-

talności, nazwijmy je – „solidarnościową” i „samoobronną”. Ta pierwsza wygrywała w sferze „dystrybucji szacunku”, chętnie się do niej odwoływało podczas rocznicowych przemówień i w chwilach wymagających wzniosłości. Ta druga natomiast wygrała faktycznie. „Swoje ucaścić”, jak ujął to przed laty chłopski poeta, stało się podstawą społecznej gry między grupami zawodowymi, orientacjami politycznymi, regionami, sitwami i kamarylami. Ukoronowaniem zwycięstwa niesformułowanej nigdzie wprost, ale przenikającej wszystko idei (czy może raczej instynktu) „Polski samoobronnej” były rządy Donalda Tuska, który przyjmując doktrynę „przede wszystkim popularność”, dbał, by się nikomu nie narażać. Niczego więc nie naruszał i wręcz kulty-

wował wszechwładzę sitw, wyznaczając sobie rolę zwornika układu i mediatora wyważającego wpływy, a rządzenie sprowadzając do bieżącego administrowania oraz tworzenia pozorów. Można obrazowo rzec, że latami nie tyle rządził, ile balansował na szczycie piramidy rozrywających państwo swymi roszczeniami korporacji i środowisk, czekając na okazję przeskoczenia stamtąd na unijną synekurę – co mu się w końcu udało.

Trudno się więc dziwić, że gdy do władzy doszedł nieoczekiwanie PiS, opór sierot po Tusku samorzutnie organizował się właśnie w ramach grup interesu, środowisk i korporacji. Tym bardziej że PiS szedł do władzy pod hasłami społecznego solidaryzmu (ile z niego zostało w praktyce rządzenia, obejmującej z jednej strony największy w dziejach III RP transfer dochodów programem „500+”, a z drugiej lobbystyczne ustawy w rodzaju „Apteki dla aptekarza” – to osobny temat). Obok politycznego projektu, który pozwoliłem sobie streścić w słowach „ulica i zagranica”, wymyślonego przez odsuniętych od władzy polityków, pojawiła się więc także druga strategia, wyrosła gdzieś w kręgach „Salonu”

kast

Strategię „korporacyjnego nieposłuszeństwa” udało się zrealizować tylko w jednym środowisku – prawniczym. Na zdjęciu: ostatni Kongres Prawników Polskich w Katowicach FOT. TOMASZ KAWKA/EAST NEWS



i we wrogich nowej władzy elitach opiniotwórczych.

SPARALIŻOWAĆ PIS

Podobnie jak „ulica i zagranica” strategia ta miała doprowadzić do szybkiego sparaliżowania PiS, zmobilizowania i zjednoczenia jego przeciwników, a w wariancie maksymalnym – do impeachmentu Andrzeja Dudy i nowych wyborów parlamentarnych. Strategia ta była zresztą względem „ulicy i zagranicy” kompatybilna: w Polsce miała odbyć się antypisowska „pełzająca kontrrewolucja” korporacji oraz środowisk zawodowych. Zaplanowano wiele kongresów branżowych, na których różnego rodzaju zawodowe elity oraz całe grupy społeczne miały specjalnymi uchwałami i manifestacjami po kolei „wymawiać posłuszeństwo państwu PiS”, wytwarzając tym samym zarówno na użytek ulicy, jak i zagranicy wrażenie postępującego, powszechnego odrzucenia prezydenta Dudy i rządu Beaty Szydło oraz stojącej za nimi parlamentarnej większości. Zagospodarowaniem tego wrażenia zajęliby się już politycy i media opozycji.

Pozostawmy na boku realizm nadziei „wysadzonych z siodła”, że da się taką dro-

gą powtórzyć sukces roku 2007 w sytuacji, gdy PiS jest znacznie silniejszy, a z frontu mediów prowadzących wojnę psychologiczną przeciwko władzy i wytwarzających historyczną atmosferę „zagrożenia dla demokracji” wyłamane zostały media państwowe. Pozostawmy również na boku przeciwność tak rozumianej opozycyjności, o czym za chwilę. Owszem, w pomysłach branżowej, korporacyjnej kontrrewolucji tkwił pewien spryt. Można było się spodziewać, że korporacje łatwiej uda się zmobilizować w obronie ich interesów, bo interesy te będą przez PiS, tak jak w czasie poprzednich rządów, systematycznie naruszane – a formuła buntu środowisk zawodowych dawała możliwość skoordynowania i zagospodarowania rozbieżnych roszczeń dla jednego celu.

Jednak poza tym wszystko od samego początku szło zupełnie inaczej, niż zakładano.

Najgorzej poszło z uczelniami – zapowiedziane protesty organizacji studenckich przyciągnęły tylko garstkę działaczy KOD, budząc kpiny ze „studentów uniwersytetów III wieku”. Niewiele lepiej udało się zrealizować plan zasypania opinii publicznej antyrządowymi uchwa-

łami kolejnych rad wydziałów i senatów wyższych uczelni – fala opadła bardzo szybko, podobnie jak fala uchwał o „nieuznawaniu” Trybunału Konstytucyjnego w nowym składzie przez kontrolowane w większości przez opozycję samorządy. Równie szybko, mimo imponującej jednoznacznej frekwencji czarnego marszu, zgasła nadzieja, że „ten rząd obalą kobiety”.

Nie doszedł też do skutku kilkakrotnie przekładany Kongres Historyków, na którym gwiazdorzycy tej branży mieli oczyścić z zarzutów Lecha Wałęsę oraz udzielić poparcia odwołanemu przez ministra Glińskiego dyrektorowi Muzeum II Wojny Światowej. Niepostrzeżenie rozplynęła się idea antypisowskiego Kongresu Kultury – pozostała z niej tylko środowiskowa ruchawka wokół wrocławskiego Teatru Polskiego, w której komentowaniu zresztą notorycznie pomijano to, że władze województwa, oskarżane przez grupę aktorów o cenzurowanie i tłumienie wolności artystycznej, pochodzą z PO i PSL. Chociaż przyznać trzeba, że środowisko aktorów, szczególnie tych starszych – a ostatnio także piosenkarzy – jest jednym z najbardziej podatnych na antypisowską histerię, do czasu bojkotu festiwalu w Opolu

■ nie udało się na bazie jego emocji niczego zorganizować. Ów bojkot zaś, mimo że festiwal storpedowano skutecznie, trudno uznać za przejaw siły środowiska – raczej za zręczne wykorzystanie podatności artystów na historyczne nastroje i skuteczności „fejkniusa” o rzekomych „czarnych listach”.

PRZYPADEK PRAWNIKÓW

Właściwie w jednym tylko środowisku strategię „korporacyjnego nieposłuszeństwa” udało się w pełni zrealizować – w środowisku prawniczym, które znajduje się w szczególnie silnym konflikcie z rządem i większością parlamentarną. I tu jednak coś poszło nie tak. Na pierwszym „nadzwyczajnym kongresie sędziów”, zwołanym we wrześniu 2016 r. w Warszawie, zawiodła organizacja – jego organizatorzy nie zapanowali nad przekazem, po dwóch dniach zostali zmuszeni do usunięcia z sieci zapisu obrad. Nie potrafili też w żaden sposób wyjaśnić, na jakiej podstawie kilkuset sędziów, przeważnie emerytowanych, którzy odpowiedzieli na zaproszenie, rości sobie prawo do reprezentowania ok. 10-tysięcznej rzeszy wykonujących ten zawód. Oficjalne, doskonale przewidywalne uchwały kongresu popierające Andrzeja Rzeplińskiego i domagające się przekazania nadzoru nad sądownictwem z ministerstwa do Sądu Najwyższego mało kogo zainteresowały. Za to „niusem”, który poszedł w Polskę, było to, że sędziowie uważają się, jak w sposób arcywzręczny oznajmiła jedna z uczestniczek, za „nadzwyczajną kastę ludzi”. W kontekście zasypujących media informacji o sędziach przyłapywanych na kradzieżach, matactwach i wszelkiego rodzaju nadużyciach, a całkowicie przy tym bezkarnych wobec kastowej solidarności broniących ich immunitetu kolegów, był to prezent raczej dla władzy niż dla opozycji.

Wydawało się, że skonfliktowana z władzą korporacja wyciągnie wniosek z tej porażki. Drugi kongres, zwołany w Katowicach już jako protest nie tylko sędziów, lecz także jako „Kongres Prawników Polskich”, w sprytniej formule konferencji naukowej rozważającej powinności prawnika wobec konstytucji, poprzedziła dyskretna akcja wychowawcza wobec uczestników – nie na tyle jednak dyskretna, by rosyjtanego do nich listu z przestrogami, aby na kongresie nie używać słowa „kasta” i nie mówić, że prawnicy za mało zarabiają, nie zdołały przechwycić i opublikować tabloidy.

Na samych obradach prawnicy poszli jednak na żywioł i efekt wizerunkowy okazał się jeszcze bardziej katastrofalny niż rok wcześniej. Buczenie i niekulturalne poryki w czasie odczytywania listu prezydenta, demonstracyjne opuszczenie sali podczas wystąpienia wiceministra sprawiedliwości – i to w chwili, gdy wypominał sędziom źle rozumianą solidarność w obronie sprawców nawet ewidentnych uchybień wobec prawniczej etyki – skutecznie zniweczyły podejmowane przez antypisowskie media próby przedstawienia zebranych jako grona nobliwych, uniwersyteckich autorytetów. Ci sami prawnicy, którzy przerywali ministrowi Derze czytanie listu od prezydenta skandowaniem: „Konstytucja!”, chwilę później okłaskiwali jednego z profesorów, poruszającego, że suwerenem w demokracji nie jest naród, ale „wartości prawa”, które to wartości jako jedyni znają i władni są

Po raz kolejny prawnicy zaprezentowali się Polakom jako uprzywilejowana sitwa, broniąca za wszelką cenę swych interesów

interpretować oni, prawnicy – co akurat jest sprzeczne z konstytucją, która o tym, że najwyższą władzę w RP sprawuje naród, stanowi całkowicie jednoznacznie.

Po raz kolejny więc prawnicy zaprezentowali się Polakom jako uprzywilejowana, broniąca za wszelką cenę swych interesów sitwa. Profesorskim wywodom, w których jawili się jako kasta magów, przekonanych, że jako jedyni posiadają mądrość i prawo do orzekania o porządku świata, towarzyszyły bowiem wystąpienia w duchu „ani kroku w tył” – bez najmniejszej nawet próby okazania pokory czy gotowości rozliczeń z oczywistymi dla każdego Polaka patologiami i nadużyciami, nawet tak grubymi, jak będąca wszak dziełem mafii prawników warszawska „reprzywatyzacja”.

„Władza wyje na prawników” – zatytułowała relację z Kongresu propagandystka antyrządowego tygodnika, rozpoczynając ją od słów: „Symbolem kongresu pozostaną pogardliwe wypowiedzi członków rządu” (!). Trudno o grubszy przykład zaklinania rzeczywistości i odwracania kota ogonem. Niemniej jej stwierdzenie,

nie, że „KPP był sukcesem solidarności”, należy uznać za słuszne – z tą tylko świadomością, że chodzi o tę solidarność najgorszego rodzaju, cementującą grupy przestępcze i pasożytnicze sitwy.

Podsumowując – establishment prawniczy dał swym kongresem nie tyle wzór innym korporacjom, jak „wymawiać posłuszeństwo państwu PiS”, czym sprawił fantastyczny wizerunkowy prezent znienawidzonemu rządowi, wzmacniając w społeczeństwie przekonanie, że rozprawa z „gangsterami w togach” jest konieczna i nieuchronna. Na dodatek, sądząc po cytowanym sprawozdaniu Ewy Siedleckiej z tygodnika „Polityka”, zupełnie nie zdaje sobie z tego sprawy.

ZMIANA CZY KONTROLA?

Mogłoby to dawać nadzieję, gdyby PiS w swych zapowiedziach walki z korporacyjnym egoizmem był wiarygodny. Niestety, coraz więcej wskazuje na to, że krytyka „nadzwyczajnej kasty” obliczona jest nie tyle na realną, systemową zmianę, ile na przejęcie nad nią kontroli. Zmiana, jaka dokonała się w rządowym projekcie nowej ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa, jest bardzo charakterystyczna i niepokojąca. Pierwotnie PiS proponował jedną, ale rewolucyjną zmianę – KRS byłaby wybierana nie, jak dotąd, przez prezesów sądów, ale przez wszystkich sędziów. To wystarczyłoby, aby środowisko mogło wyzwolić się spod dominacji starego, wywodzącego się wprost z komuny układu. Szybko jednak pojawił się „lepszy” pomysł – żeby KRS wybierała większość sejmowa. Można sobie wyobrazić, jaka była przyczyna tej zmiany. „Komendant” otwarcie przecież mówił, że stawianie w spółkach Skarbu Państwa na apolitycznych fachowców było błędem, trzeba delegować tam funkcjonariuszy partii. Najwyraźniej korporację prawniczą też uznał za zbyt ważną, by pozostawiać ją bez nadzoru partii.

„Wiele zmienić, by nic się nie zmieniło” – wygląda na to, że taki jest faktyczny pomysł PiS na Rzeczpospolitą kast i sitw, jaką przejęła partia po Tusku. Straszyć kasty zmianą systemu i utratą przywilejów, by wymusić na nich poddanie się kontroli większości sejmowej. Co realizacja takiego planu oznacza, mniejsza już dla Polski, ale nawet dla samego PiS, gdy ta większość ulegnie zmianie, co w demokracji jest wszak nieuchronne? W rozzuchwalonym nieudolnością opozycji obozie władzy najwyraźniej nikt o tym nie myśli.

© 2016 Wszelkie prawa zastrzeżone

Festiwal hipokryzji



Piotr Gociek

Chęć dokopania niepopularnej władzy wzięła wśród artystów górę nad szacunkiem do widzów. Po takim Opolu nie ma co płakać

Gdzie odbędzie się tegoroczny festiwal piosenki polskiej? Wiadomo tylko, że nie w planowanym miejscu ani czasie. Prezes TVP Jacek Kurski twierdzi, że imprezę zorganizuje w Kielcach, a prezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski, który wypowiedział umowę TVP, sugeruje kompromis – nowy termin, np. jesień. I nowy sposób kwalifikowania wykonawców. Jaki? Szczegóły nieważne, byle apolityczny.

Dziwny to postulat, bo jeśli sięgnąć pamięcią, czy to w PRL, czy w III RP o tym, kto wystąpi w Opolu, decydowała przede wszystkim telewizja. W PRL po prostu organ propagandowy władzy narzucał Polakom siłą, w III RP – instytucja, do której bardziej pasuje termin „media rządowe” niż „media publiczne”. Zawsze to politycy wskazywali jej kierownictwo i mieli wobec niej polityczne wymagania. Zatem nic nowego pod słońcem. Równie dobrze można było domagać się w przeszłości, żeby jakieś apolityczne ciało zastąpiło decydentów z nadania SLD, PSL, AWS, PO, KLD, LPR itd. Dzisiaj są to decydenci z nadania PiS – zmieniły się więc jedynie barwy partyjnej, nie zmieniła się natomiast zasada.

Prezydent Opola wypowiedział umowę, bo obawiał się, jak będzie wyglądać impreza bojkotowana przez dużą część wykonawców, bojkot zaś miała spowodować „PiS-owska cenzura”. „Prezydent Opola właśnie podjął jedyną słuszną decyzję” – komentował portal NaTemat.

pl, nie kryjąc satysfakcji. Skąd opowieści o cenzurze?

UKARAĆ PREZESA

12 maja na blogu w Telewizji.pl dziennikarz Wojciech Krzyżaniak (do niedawna TOK FM, wcześniej „Wyborcza”) zamieścił tekst „Cenzura w Opolu, czyli lista artystów zakazanych w TVP”. W nim padły zdania: „Prezes Kurski i jego ludzie dokonali zapisu na Kayah i Artura Andrusa i wykreślili ich z listy zaproszonych na festiwalową scenę w Opolu”, „Kayah ma zakaz, bo angażuje się w KOD i ostro krytykuje obecną władzę. Artur Andrus za swoje występy w »Szkole kontaktowym« TVN 24”. Krzyżaniak wzywał do bojkotu i argumentował: „Piszę o tym, żeby dać czas środowisku zareagować na tę próbę sił i niesamowitą butę Kurskiego Jacka”.

Jedna sprawa jest prosta – Andrus miał prowadzić jeden z koncertów, czego TVP nie chciała. Cóż, nie wiem, od kiedy odbiera się prawo organizatorowi imprezy wskazywania, kogo chciałby zatrudnić w roli konferansjera. Co do występu Kayah, która miała być jedną z gwiazd podczas jubileuszowego koncertu Maryli Rodowicz, to – jak pisała „Wyborcza” – na jej występ „nie chciał się początkowo zgodzić prezes TVP”. „Początkowo”. Czyli, jak rozumiem, potem się zgodził. Gdzież tu skandal? Przy czym zauważmy, że to nie Kurski czy jego ludzie podejmowali decyzje, bo jeszcze w czwartek 18 maja Maryla Rodowicz napisała na FB: „Po-

szłam do telewizji walczyć o Kaję, a Kaja się wycofała”. Rodowicz wyliczała innych gości, którzy mieli uświetnić jej jubileusz, a o Kayah napisała: „Nie zmienia to mojego stosunku do niej i uwielbienia dla jej talentu”. Wygląda więc na to, że to nie Kurski postanowił ostatecznie ocenzurować koncert, tylko przyjaciółka Maryli pokazała jej, że ma ją w nosie, bo woli ukarać niepopularnego prezesa TVP – odwróciła się więc na pięcie i sobie poszła, pokazując plecy zarówno widzom, jak i fance swojego talentu.

W piątek 19 maja wieczorem Maryla Rodowicz odwołała jednak swój występ z przyczyn osobistych. Zrobiła to w sposób dwuznaczny. Niby z powodu śmierci matki, ale przecież wyliczankę zaczęła od czego innego: „Atmosfera politycznego skandalu oraz dramat rodzinny spowodowały, że zdecydowałam się zrezygnować z koncertu”. Potem pojawił się kolejny kamyczek, który wywołał lawinę. TVP oświadczyła, że w Opolu nie wystąpi grupa Dr Misio, teledysk do piosenki „Pismo” uznano bowiem za „nieemisyjny”. Jak napisał lider zespołu Arkadiusz Jakubik: „Z dużym zaskoczeniem przyjąłem nominację piosenki »Pismo« do koncertu »Premiery« na opolskim festiwalu. Teledysk do piosenki miał premierę 27 kwietnia, a nominację do »Premier« otrzymaliśmy 9 maja. Podejrzewam, że organizatorzy festiwalu zobaczyli teledysk dopiero post factum i czekali tylko na pretekst, żeby się nas pozbyć”. Pretekst czy nie, jeśli tak się miały sprawy, to ktoś w TVP wykazał się wyjątkową głupotą. Zauważmy, że sam Jakubik był zdziwiony nominacją tego utworu, wiedział więc dobrze, że do imprezy w Opolu ten akurat kawałek pasuje średnio. Jednak czy tekst: „Nikt już dzisiaj nie wypędza kupców ze świątyni / W świątyni najlepszy jest biznes / Kogo obchodzi zbawienie?” to rzeczywiście powód, by kruszyć kopie – mam wątpliwości.

INSTYNKT STADNY

Piosenkarze nieraz kłócili się z mediami o swoje piosenki, teledyski oraz występy i wszystkie opisane dotąd zdarzenia nie stanowiły niczego szczególnego w dziejach mediów III RP. Jednak nagle sprawy przyspieszyły – kolejni artyści zaczęli ogłaszać, że wycofują się z festiwalu w Opolu, używając coraz bardziej kuriozalnych argumentów.

Kasia Nosowska, znana zarówno jako wokalistka grupy Hey, jak i z występów

solowych, palnęła: „Gdyby mój syn otrzymał zaproszenie na urodziny kolegi, którego mama nie uwzględniłaby na liście dzieci (i tu dowolnie): z domów niezamożnych, innego wyznania itp. – to zostałby w domu. Po prostu. Po ludzku”. Czy Kasia Nosowska sugeruje w ten sposób, że Kayah jest ubogą Żydówką czy może bezdomną muzulmanką w łachmanach – tego nie wiem. Wiem, że porównanie jest wyjątkowo idiotyczne, a argument nieprawdziwy, bo przecież TVP na występ Kayah się zgodziła.

Szymon Wydra z Carpe Diem stwierdził: „Niezrozumiałe i niepojęte dla nas jest wykluczanie Artystów za ich sympatie polityczne, przekonania religijne oraz światopogląd. Zawsze uważaliśmy, że Festiwal Piosenki Polskiej był festiwalem piosenki, a nie polityki”. Wtórowali mu muzycy z AudioFeels: „Z wielkim zaniepokojeniem i niesmakiem obserwowaliśmy próby dzielenia artystów na tych lepszych i tych gorszych. [...] Jedyne wyjście i jedyna decyzja, jaką możemy obecnie podjąć, to rezygnacja z naszego występu i odcięcie się od całego zamieszania”. Docenił skalę odwagi chłopców z AudioFeels, którzy w tym samym oświadczeniu pokazali, jacy z nich rockmani i mężczyźni: „Zwlekaliśmy z tą decyzją dość długo, licząc, że Pani Maryla stanie solidarnie w obronie artystów i wolności artystycznej i odwoła swój jubileusz w Opolu, zorganizuje go w innym miejscu i czasie. Niestety tak się nie stało”. Męska postawa, nieprawdaż? Czekać, aż kobieta, starsza koleżanka po fachu, podejmie za nich trudną decyzję. Zuchy!

Im bardziej szczegółowo chcieli swoje kroki uzasadnić kolejni wykonawcy, tym bardziej żenująco to wyglądało. Tatiana Okupnik o Opolu: „To miejsce zawsze będzie mi się kojarzyło ze spotkaniami ludzi o różnych przekonaniach i poglądach”. Czyżby? Można przecież osobną książkę napisać o wykonawcach, których w różnym okresie do Opolu nie zapraszano. W każdym razie „w związku z niepokojącymi informacjami dotyczącymi segregacji wykonawców podjęłam decyzję o wycofaniu się z prowadzenia koncertu”.

Instynkt stadny czy presja środowiska? Jedno i drugie. Syły się więc deklaracje: „Obrona ważnych dla mnie wartości i solidarność były, są i będą dla mnie najważniejsze” (Lanberry). „W obliczu niepokojących wydarzeń towarzyszących festiwalowi w Opolu informuję, że rezygnuję z udziału w tym wydarzeniu” (Kasia Kowalska). I tak dalej.



Myślę, że najbardziej szczerze odezwał się Andrzej Piaseczny, który odwołał występ, argumentując: „Wielu moich Przyjaciół oczekuje ode mnie gestu solidarności, gestu przyzwoitego człowieka, którym zawsze byłem i będę” (cóż za skromność). Aha, więc „wielu przyjaciół oczekuje”. Czyli jednak środowiskowa presja.

DINOZAURY PRL

Środowisko w dużej części nie cierpi bowiem obecnego rządu, choć zauważamy, że w roku 2006, „za pierwszego PiS”, w Opolu występowały i Maryla Rodowicz, i Kasia Cerekwicz, i Ania Wyszkonili (wówczas w grupie Łzy) – dziś liderki protestu. Nie przeszkadzało im to, że rządzi „moherowa koalicja”, a wicepremierami są Andrzej Lepper i Roman Giertych. Jak rozumiem, byli to łatwiejsi do zaakceptowania przez owych artystów wicepremierzy niż obecni – Jarosław Gowin i Mateusz Morawiecki. Ciekawe.

Słowo „solidarność” pojawia się w co drugim oświadczeniu bojkotujących, co jest o tyle ciekawe, że nie przypominam

sobie, by podobną reakcję wywołało objęcie za czasów PO Pawła Kukiza zakazem emisji nowych piosenek. Jakoś wówczas „przyzwoici ludzie” nie pisali do szefów radia i telewizji listów typu: „W ramach solidarności z Kukizem wycofuję moje utwory z emisji na Waszej antenie”.

Teraz jednak wycofują, pokazując figę nie tyle Kurskiemu, ile swoim słuchaczom i widzom. Niektórzy zastrzegają: „Mam nadzieję, że za rok będzie już normalnie”, „Być może za rok w przyjemniejszych okolicznościach”. Czyli co? Liczą na to, że za 12 miesięcy będą już inny rząd i inny prezes TVP? A to ci apolityczne kalkulacje.

Tam, gdzie pojawia się słowo „polityka”, też jest zabawnie. Oto oświadczenie grupy Pectus: „Wygrała polityka, a nie sztuka, czego niezmiernie żałujemy. W wolnej Polsce każdy obywatel ma prawo do własnych poglądów politycznych – czy to lekarz, nauczyciel, czy artysta. Polityka jest bagnem, do którego mimowolnie dzisiaj wciągnięci zostali wszyscy, nawet nasi fani, którzy wcale nie muszą mieć na to ochoty”. Czy to znaczy, że posiadacz do-

W 2006 r., „za pierwszego PiS”, w Opolu występowały m.in. liderki tegorocznego protestu
FOT. MIECZYSLAW WŁODARSKI/REPORTER



się wytworzyła wokół tego wydarzenia, z muzyką ma niewiele wspólnego”. Aha. Za to w roku 1984 atmosfera była czysto muzyczna, prawda? Tak jak konferencje rzecznika rządu Jerzego Urbana.

ŚPIEWAJĄCA PANIENKA KOD

Celowo prowokuję, bo argument jest ryzykowny. Przeciwnicy dzisiejszej władzy wytykają Janowi Pietrzakowi, że występował w TVP w roku 1968, pomiędzy Marcem '68 a inwazją wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Dobrze – to dlaczego nie wytykacie Maryli Rodowicz, że zamiast bojkotować festiwal w Opolu, w roku 1968 śpiewała: „Zabierz moje pończochy, zabierz chusteczkę w grochy” („Zabierz moje sukienki”, piosenka Wandy Warszawskiej) czy: „Raz odpłynął marynarz / Wciąż go nie ma, wciąż go nie ma / Lecz zostawił pierścionek” („Co ludzie powiedzą”)? Ostatnio taką pałką próbował okładać Rafała A. Ziemkiewicza jeden z autorów „Wyborczej” – drukował opowiadania SF w prasie PRL, znaczy kolaborował. „Równie mądrze mógłby zapytać, czy nie wstyd mi było chodzić do szkoły, w której opowiadano pierdoły o Leninie i urządzano akademie ku czci Ludowego Wojska” – odpowiedział Ziemkiewicz. „Po prostu ani innych gazet, ani innych szkół wtedy nie było” – dodał.

Dyskusja jest trochę absurdalna – kto chciał robić cokolwiek w PRL, ten musiał z komunistyczną władzą się zetknąć, bo wszystko było jej: urzędy, gazety, wydawnictwa, kluby kultury. Teza, wedle której nie należało mieć z nimi żadnej styczności, tylko trzeba było śpiewać, pisać, grać w szachy w podziemiu, jest nęcąca, ale jej stawianie najbardziej uderzy w przyjaciół salonu. Nie wstyd było Bronisławowi Geremkowi wyklądać na komunistycznej uczelni, a Adamowi Michnikowi na takiejże studiować? A czy Tomasz Jastrun powinien przeprosić za wszystkie wiersze, które opublikował w Państwowym Instytucie Wydawniczym – wszak w owej oficynie pracowała Julia Brystygier, niesławna „Krwawa Luna”?

Trochę absurdalna nie jest – bo można było jednak wybierać granicę kompromisu. Nie nosiliśmy opowiadań do „Trybuny Ludu” ani „Życia Literackiego”. Można było np. zgodzić się zaśpiewać w Opolu, a próbować ominąć Festiwal Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu czy Festiwal Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze. Tymczasem Kayah i propos tego

ostatniego przyznała – wiedziała, że nie powinna, ale „chodzi o to, by pojechać na normalną trasę do ZSRR”. No to pójdźmy dalej i zaczniemy usprawiedliwiać tych, którzy wystąpiliby na festiwalu piosenki NSDAP (gdyby taki istniał) z nadzieją na „normalną trasę po III Rzeszy”. Można było pojechać do Jarocina, ale Jarocin przerażał Kayah. Ponieważ – jak mówiła o sobie w latach 80. – „Jestem tylko śpiewającą panienką, która chce tylko godnych warunków do wykonywania zawodu. Nie mam ochoty walczyć o inne rzeczy. Chciałabym, aby ludzie przychodzili na moje koncerty nie po to, aby słuchać ideologicznych manifestów, ale aby się dobrze bawić”.

Dzisiaj Kayah to bojowniczką KOD, czarnych protestów i ogólnie anti-PiS. Jej sprawa. Może wybierać, gdzie wystąpi, dla kogo zaśpiewa, a dla kogo nie. Wciąganie innych w prywatną krucjatę przeciw nielubianej władzy obciąża jej sumienie, a nie sumienia rzekomych cenzorów. Festiwal w Opolu nie jest trybuną polityczną i od żadnego artysty nikt nie wymaga tam żadnych hołdów składanych władzy.

Czy telewizja publiczna w programie rozrywkowym dla wszystkich ma obowiązek pokazywać każdego? Oczywiście, że nie. Powinna szanować poglądy rozmaitych grup odbiorców i dbać o to, by ich nie urazić. Ma więc prawo doboru wedle bardzo prostego klucza, który kiedyś świetnie na łamach „Do Rzeczy” wyłożyła scenarzystka Ilona Łepkowska. Kiedy pytałem ją o to, czy w popularnym serialu jest miejsce na politykę, odparła: „Nie. Absolutnie nie. Bo ja piszę scenariusze dla wszystkich, a polityka dzieli ludzi. Kiedy zaczyna się mówić w serialu o polityce, to zawsze ktoś będzie obrażony. A jak się przedstawi racje jednej i drugiej strony, to wszyscy będą obrażeni”.

Jeśli festiwal opolski rzeczywiście jest dla dzisiejszych bojkotujących wspólnym świętem piosenki, to powinni sobie te słowa wziąć głęboko do serca. To bowiem oni, a nie Jacek Kurski, wprowadzili na deski Opola polityczną hucpę. Zaczął „niepokorny” Kuba Sienkiewicz rok temu. A w tym roku ochota, żeby dokopać nielubianej władzy, wzięła górę nad szacunkiem do oczekiwani i uczuć widzów. Chcecie protestować przeciwko dzieleniu Polaków, drodzy artyści? Ależ właśnie to robicie. Nie chcecie polityki na festiwalu? Ależ właśnie ją do niego wprowadziliście.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Kamila Baranowska

Zaplanowany na 1 lipca kongres programowy Prawa i Sprawiedliwości ma symbolicznie zakończyć etap gruntownych reform państwa. Pozostały czas partia chce wykorzystać na wygaszanie konfliktów i przekonywanie do siebie wyborców

To, co ma się wydarzyć 1 lipca na kongresie programowym, owiane jest w partii tajemnicą. Wszyscy o tym mówią, ale tak naprawdę mało kto wie, jakie plany ma Jarosław Kaczyński. W skład zespołu, który ma opracować nową strategię programową na pozostały do wyborów czas, weszli poza prezesem: Joachim Brudziński, Ryszard Terlecki, a także Mateusz Morawiecki. Chociaż w partii mówi się, że pomysły tego ostatniego koryguje na bieżąco sam prezes. – Obecność Morawieckiego w tym zespole wskazuje na to, że będzie nacisk na sprawy gospodarcze. Może ułatwienia dla przedsiębiorców, może korzystne zmiany podatkowe, może jakiś ukłon w stronę młodych? – zastanawia się polityk PiS, którego podpytujemy o kongres. – Nawet jeśli trochę wiem, to i tak na razie nie mogę pisać ani słowa. Proszę pytać Brudzińskiego. Albo rzecznik Mazurek. Tylko proszę mnie nie cytować pod nazwiskiem! – zastrzega jeden z naszych lepiej poinformowanych rozmówców.

O tym, co ostatecznie wydarzy się 1 lipca, zdecydowanie oczywiście Jarosław Kaczyński i może być tak, że zrobi to kilka dni przed samym wydarzeniem. Na razie zbiera pomysły od swoich współpracowników, zderza je ze sobą i obserwuje rozwój sytuacji politycznej. – Ludzie często myślą, że tego typu decyzje zapadają z wielomiesięcznym wyprzedzeniem, a strategię są gotowe jeszcze wcześniej. Nic z tych rzeczy, najczęściej decyzje zapadają późno i mają związek z tym, co się aktualnie dzieje. A często zależą też od przypadku czy zbiegu okoliczności – mówi nam jeden z polityków PiS. I przypomina okoliczności, w których wiceprezesem

partii została Beata Szydło. Był rok 2010 i nowym wiceprezesem partii miała zostać Joanna Kluzik-Rostkowska. Gdy w ostatniej chwili się rozmyśliła, prezes tuż przed zwołaną już radą polityczną PiS wskazał na Szydło. Bardzo mu zależało, by w kierownictwie partii były także kobiety. Tak rozkwitła kariera polityczna obecnej pani premier.

W PiS nikt nie ma za to wątpliwości, że zwołany na 1 lipca kongres ma być symbolicznym zamknięciem etapu najbardziej kosztownych z punktu widzenia całego obozu politycznego reform. Jarosław Kaczyński wyznaje zasadę, o której często mówi na spotkaniach ze swoimi współpracownikami – że najtrudniejsze reformy trzeba wprowadzić w ciągu pierwszych dwóch lat rządzenia. Dlatego z pobłażliwością podchodzi do uwag publicystów i komentatorów (także prawniczych) przestrzegających przed tym, że PiS pootwierał zbyt wiele frontów walki naraz. Jest przeświadczony, że tak trzeba było zrobić, a na odrabianie ewentualnych strat będzie cała druga połowa kadencji.

OSTATNIE REFORMY

Jedną z ostatnich dużych zmian, jakie PiS chce przeprowadzić, jest reforma wymiaru sprawiedliwości przygotowana przez Zbigniewa Ziobrę. W toku prac parlamentarnych są już nowelizacja ustawy o sądach powszechnych i projekt ustawy

o KRS. Podczas spotkań z politykami PiS Jarosław Kaczyński mówił o jeszcze dwóch zmianach, które muszą zostać wprowadzone w tym roku. To zmiana samorządowej ordynacji wyborczej i projekt dotyczący dekoncentracji kapitału w mediach. Jak wiadomo, ograniczenie kadencyjności wójtów, burmistrzów i prezydentów, które miało w pierwotnej wersji dotyczyć także obecnie sprawujących władzę wójtów miast oraz gmin, zostało odłożone w czasie. Nie zmienia to faktu, że pewne zmiany w ordynacji zajdą. Chodzi głównie o większą kontrolę nad wyborami (monitoring, przedstawiciele wszystkich partii w komisjach, przezroczyste urny, konieczność archiwizacji kart wyborczych etc.), a także o to, by odebrać (lub ograniczyć) ich organizację samorządom. PiS bardzo źle wspomina ostatnie wybory samorządowe z 2014 r., w których podejrzanie wysoki wynik uzyskało PSL. Dzisiaj w 15 sejmikach wojewódzkich na 16 rządzi koalicja PO-PSL.

Równie problematyczną pod względem prawnym zmianą, podobnie jak ograniczenie kadencyjności, może okazać się próba wprowadzenia dekoncentracji kapitału w mediach, dlatego niewykluczone, że i ten projekt zostanie odłożony w czasie. Chociaż presja i przekonanie, że trzeba to zrobić, są w kierownictwie PiS silne.

Pytanie, które zadają dziś sobie szeregowi posłowie PiS, brzmi: Czy czas,





plany PiS

FOT. ANDRZEJ HULIKWA/REPORTER

który pozostanie do wyborów najpierw samorządowych, potem parlamentarnych – wystarczy, by uspokoić Polaków i przekonać ich, że PiS jest partią stabilną, przewidywalną i godną zaufania.

CZAS SPOKOJU

Z rozmów, które toczą się w kierownictwie partii, wynika, że pozostały do wyborów czas ma być okresem spokoju, i każdy, kto ów spokój naruszy, będzie z tego rozliczany.

Podczas jednego ze spotkań z działaczami i samorządowcami PiS prezes Jarosław Kaczyński podkreślał, jak ważne są gra zespołowa i to, że partia oraz rząd stanowią jeden obóz. Akcentował, że nie są ważne ambicje ani indywidualne kariery, bo celem nadrzędnym jest niedopuszczenie Platformy do władzy. – Na prezesie duże, negatywne wrażenie zrobiły wystąpienia Grzegorza Schetyny, gdy mówił o likwidacji CBA, IPN, a nawet urzędów wojewódzkich. Prezes powtarza, że musimy zrobić wszystko, aby Platforma nie rządziła, i nie chodzi tu o samą chęć utrzymania władzy, ale o to, że Schetyna ma zamiar po kawałku Polskę likwidować – relacjonuje jeden z posłów PiS.

Jarosław Kaczyński doskonale zdaje sobie sprawę, że rządy upadają nie ze względu na okoliczności zewnętrzne, bo destrukcja zawsze zaczyna się od wewnątrz. Dlatego też uczula polityków PiS na to, by nie podkopywali się nawza-

jem i by obóz mówił jednym głosem. Nieprzypadkowo ta nuta wybrzmiewa też we wszystkich ostatnich wywiadach premier Beaty Szydło. – Ministrów, którzy zbyt łatwo i zbyt chętnie biegali do mediów oraz opowiadali różne rzeczy, mamy wielu i ustaliliśmy, że trzeba z tym skończyć. Jeśli te ustalenia nie będą respektowane, to będę musiała wyciągnąć wnioski – mówiła premier w niedawnym wywiadzie dla „Do Rzeczy”.

Wyciąganie wniosków jest od wielu dni przedmiotem licznych spekulacji medialnych. Czy przy okazji kongresu i nowego otwarcia Jarosław Kaczyński zdecyduje się na rekonstrukcję rządu? Z jednej strony lipcowa data wskazuje na to, że ma takie plany. Akurat zaczynają się wakacje, ludzie mniej interesują się polityką, a ewentualni nowo powołani ministrowie mają czas na wdrożenie się w nowe obowiązki. Idealny moment na dymisję. Z drugiej strony stworzona na samym początku układanka rządowo-parlamentarna jest pomyślana tak, by zadowolić wszystkie istotne dla PiS środowiska, dymisja któregośkolwiek ministra oznaczałaby wyłom w tej układance. A wiadomo, jak się może skończyć wyjęcie jednego klocka z całej budowli. – Nie można, ot tak, zdymisjonować Antoniego Macierewicza. To musiałaby być dymisja na zasadzie awansu, by nie zaognić sytuacji wewnątrzpartijnej. Podobnie jest z innymi – wskazuje nasz rozmówca. Inny zaś dodaje:

– Nie jest tak, że prezes nie dostrzega słabości niektórych ministrów czy np. funkcjonowania klubu parlamentarnego na różnych poziomach, także komunikacyjnym. Te zmiany nastąpią, na razie skupialiśmy się na reformach państwa, ale przyjdzie też czas na korekty personalne. Wszyscy się ich spodziewamy – przekonuje.

PRZYGOTOWANIA DO KAMPANII

Efekt stawiania na jedność i spójność przekazu widać także w relacjach prezesa Jarosława Kaczyńskiego z prezydentem Andrzejem Dudą. Ostatnio kilkakrotnie prezes podkreślał rolę prezydenta, co wcześniej mu się nie zdarzało. Podczas rocznicy smoleńskiej ostentacyjnie dziękował mu za wsparcie dla pomysłu pomnika ofiar tragedii, a ostatnio, wycofując się z pomysłu, by ograniczenie kadencyjności prezydentów, burmistrzów i wójtów działało wstecz, powoływał się m.in. właśnie na zastrzeżenia prezydenta Dudy. – Doszliśmy do wniosku, że wobec stanowiska głowy państwa, do którego odnosimy się oczywiście z wielkim szacunkiem, i wobec przynajmniej niepewności co do stanowiska Trybunału Konstytucyjnego nie należy w tej chwili tej sprawy stawiać w ten sposób, żeby tworzyć wrażenie, że chcemy uczynić coś, co być może niektórzy by traktowali jako złamanie pewnych reguł prawa – podkreślał lider PiS. Wiadomo, że prezes nie wypowiada takich słów przypadkowo. – Prezes wie, że PiS nie wygrałby z tak dobrym wynikiem wyborów parlamentarnych w 2015 r. bez Andrzeja Dudy, i zdaje sobie sprawę, że PiS będzie go potrzebował w 2019 r., dlatego im mniej będzie powodów do spekulacji, że są jakieś rozbieżności między ośrodkiem prezydenckim a resztą obozu, tym lepiej dla wszystkich – uważa jeden z posłów PiS.

Patrząc całościowo na to, co się dzieje w obozie władzy, widać, że PiS zaczyna właśnie przygotowania do kampanii wyborczej. Nie tylko samorządowej, lecz także parlamentarnej. To, co mówią nam posłowie PiS i co powtarza na wewnętrznych spotkaniach prezes Jarosław Kaczyński, brzmi rozsądnie. W teorii. W praktyce cała strategia może rozbić się o kolejnego Misiewicza czy inną wpadkę wizerunkową. Najbliższe dwa lata PiS u władzy nie będą pozbawione kryzysów, błędów ani wpadek. Pytanie: Czy i na ile uda się zminimalizować ryzyko oraz ewentualne straty? W myśl zasady, że wybory wygrywa ten, kto popełni mniej błędów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MAXIM BLINOV/EAST NEWS

Na wszelki wypadek

Mocarstwowa polityka Rosji jest dla Polski największym zagrożeniem. Tak wynika z ogłoszonego w zeszłym tygodniu raportu ze Strategicznego Przeglądu Obronnego. W wywiadzie dla „Do Rzeczy” wiceminister MON Tomasz Szatkowski przyznał, że rośnie potęga militarna Federacji Rosyjskiej. Jego zdaniem Rosja na przygotowanie ataku potrzebuje kilku dni, najdalej tygodni. Całkiem poważnie rozpatrywana jest ewentualność agresji konwencjonalnej.

Zdaniem Ołeksandra Turczynowa, sekretarza Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy, właśnie taka operacja ma zostać przećwiczona podczas planowanych na wrzesień manewrów „Zapad 2017” na Białorusi.

TAJNY CEL?

Jak pisze ukraiński portal Liga.net, Rosjanie chcą sprawdzić gotowość wojsk do przeprowadzenia szeroko zakrojonych operacji w bardzo ograniczonym czasie na ich przygotowanie. „W zamyśle



Maciej Pieczyński

MON oficjalnie bierze pod uwagę zagrożenie w postaci konwencjonalnego ataku Rosji na Polskę. Wydaje się jednak, że planowane manewry na Białorusi to raczej demonstracja siły Putina niż preludium do inwazji

manewrów jest także testowanie możliwości utworzenia korytarza kaliningradzkiego, co w rzeczywistości nie jest możliwe bez agresji przeciwko Polsce i Litwie” – stwierdził Turczynow w rozmowie z portalem. Jego zdaniem Rosja, bezsilna wobec inicjatywy USA na Bliskim Wschodzie, może poszukać militarnego sukcesu w otwartej agresji na Ukrainę. Ewentualność, w której to Polska miałaby być „celem ubocznym konfrontacji” Putina z Zachodem, rozważa także wiceminister Szatkowski.

Prokremlowskie media wyśmiały Turczynowa. Portal Tsargrad.tv zwrócił uwagę na to, że sekretarz ukraińskiej Rady Bezpieczeństwa i Obrony nie wytłumaczył, skąd zna

plany manewrów. „Moskowskij Komsomolec” ironicznie pisał o tym, jak to Turczynow „zdemaskował tajny cel” ćwiczeń. Zaniepokojenie tym, co ma się wydarzyć we wrześniu na Białorusi, wyraził też minister obrony Litwy Raimundas Karoblis. Jego zdaniem bowiem zostaną przećwiczone ataki na „państwa o wysokim potencjale”, czyli państwa NATO.

Tymczasem sami organizatorzy ćwiczeń zapewniają o ich obronnym charakterze. Andriej Rawkow, minister obrony Białorusi, oficjalnie poinformował już w marcu, że manewry zakładają „przygotowanie regionalnej grupy wojsk, której celem jest zagwarantowanie obrony terytorium państwa sojuszni-

czego na kierunku zachodnim”. Na manewry zaproszeni mają być zachodni obserwatorzy. Według oficjalnych informacji w ćwiczeniach udział weźmie ok. 13 tys. żołnierzy. „Ze strony Federacji Rosyjskiej planuje się udział ok. 3 tys. żołnierzy i ok. 280 sztuk sprzętu” – zapowiedział Rawkow. Tymczasem gen. Igor Romanenko, były wiceszef sztabu generalnego Ukrainy, najwyraźniej nie wierzy białoruskim władzom. W wywiadzie dla opozycyjnego rosyjskiego Radia Swoboda stwierdził, że w manewrach może wziąć udział nawet 500 tys. żołnierzy, czyli dwa razy więcej niż w podobnych, zeszłorocznych ćwiczeniach. Rosji nie ufa także Philip Breedlove, były dowódca sił NATO w Europie. Jego zdaniem w ramach ćwiczeń „Zapad 2017” na Białoruś przybędzie 100 tys. rosyjskich żołnierzy.

„Rosjanie wkroczą na terytorium Białorusi i już stamtąd nie wyjdą” – stwierdził w rozmowie z portalem Gazeta.ua ukraiński ekspert ds. wojskowości Ołeksij Arestowycz. Jego zdaniem Putin powtórzy krymski scenariusz: „»Zapad 2017« to projekt oku-

pacji Białorusi. Rosja, zajmując białoruskie terytorium, odetnie Ukrainę od państw bałtyckich, tym samym rozbijając sojusz Międzymorza. To także sugestia dla Polaków, by przestali popierać Ukrainę". To zdanie podziela wielu, zazwyczaj ukraińskich, ekspertów.

Białorusini wydają się mniej zaniepokojeni. Telewizja Biełsat cytuje politologa Andrieja Suzdalcewa, który uważa, iż Rosjanie nie pozostaną na Białorusi, tłumacząc to faktem, że brakuje baz, w których mogliby stacjonować. – Twierdzenie, że „Zapad 2017” ma związek z planami jakiegokolwiek agresji, to raczej insynuacje niż efekt poważnej analizy – mówi „Do Rzeczy” Aleksander Tiszczenko, białoruski ekspert ds. bezpieczeństwa. – Kwestia pozostawienia rosyjskiego kontyngentu wojskowego na terenie Białorusi w ogóle nie była brana pod uwagę. Tym bardziej że nie ma ku temu żadnego powodu ani warunków. Eksperci, którzy rozważają tę spiskową teorię, chcą po prostu zwrócić na siebie uwagę. Rozumiem, że wyobrażenie może pobudzać nazwa „Zapad 2017” [czyli Zachód – przyp. red.]. Być może więc to straszenie ma źródło w języku. Gdyby manewry nazywały się „Bezpieczeństwo 2017”, pojawiłyby się mniej kontrowersji. [...] A co do Polski i Litwy, Białoruś nie miała i nie będzie mieć wobec nich żadnych złych zamiarów – twierdzi Tiszczenko.

– Wspólne manewry sojuszniczych państw to nic złego. Poza tym to nie Rosja jest agresywna, tylko NATO, które powinno przestać istnieć równocześnie z likwidacją Układu Warszawskiego, aby zapobiec dalszej konfrontacji Wschodu z Zachodem – uważa Paweł Kozłowski, minister obrony Białorusi w latach 1992–1994, polityk opozycyjny wobec Łukaszenki. – Żał mi Polaków, że mają ministra obrony, który uważa Rosję za największe zagrożenie dla swojego kraju. To

prymitywizm czystej wody i rusofobia. Największym zagrożeniem, zarówno dla Białorusi, jak i dla Polski, byłaby wielka konfrontacja militarna między USA i Rosją, bo wówczas to my, jako państwa frontowe, staliśmy się pierwszymi ofiarami konfliktu – mówi Kozłowski w rozmowie z „Do Rzeczy”.

GRA POZORÓW

Nietrudno odgadnąć intencje, w jakich Turczynow podkreśla wagę rzekomego zagrożenia Rosji dla Zachodu. W interesie Kijowa jest uzyskanie maksymalne możliwe zaangażowanie Polski po stronie Ukrainy. Nie może być jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, czy powinniśmy dać się wciągnąć w otwarty konflikt z Rosją. Zdecydowanie rozsądnym kierunkiem jest planowane przez MON wzmocnienie naszego potencjału obronnego.

Nic dziwnego, że zarówno Mińsk, jak i Moskwa zaprzeczają, jakoby po manewrach „Zapad 2017” rosyjski kontyngent miał zostać na terenie Białorusi. Jeśli zgodnie z oficjalnym komunikatem w ćwiczeniach weźmie udział tylko 3 tys. Rosjan, to nie wystarczy to do wywarcia jakiegokolwiek presji na Łukaszenkę, nie mówiąc już o zagrożeniu dla Polski.

Nie można jednak wykluczyć takiego wariantu. Rosyjskie wojska ok. 200 km od Warszawy – to byłby bardzo mocny argument przeciwko większemu zaangażowaniu Polski w konflikt na Ukrainie. Trzeba zrobić wszystko, aby przygotować się do potencjalnej agresji ze strony Rosji.

Jednak, patrząc realnie, ciężko sobie wyobrazić konwencjonalną inwazję. Putin, wbrew pozorom, nie jest politykiem nieobliczalnym. Zgodnie z sowiecko-rosyjską tradycją, dba o pozory. Nawet aneksja Krymu, którego „rosyjskość” była stosunkowo łatwa do uargumentowania z propagandowego punktu widzenia (nie-

zależnie od prawnego aspektu integralności terytorialnej), została dokonana przez żołnierzy bez dystynkcji i podparta pseudoreferendum.

Wiadomo, że bardziej radykalnie mocarstwowe grupy interesu (szowinista Aleksander Dugin, monarchista Igor Striełkow-Girkin) lobbowały za tym, by Putin poszedł dalej, podbił całą Ukrainę. Tymczasem nawet z projektu Noworosji właściwie nic nie wyszło. Rosja nie zdecydowała się na konwencjonalną otwartą agresję na terytorium wewnętrznie podzielonej i osłabionej Ukrainy, już trzeci rok udaje, że separatystyczne republiki Donbasu są „niezależne”. Putin zatrzymał się na rosyjskojęzycznych, przesiąkniętych sentymentem do ZSRS i słabo zukrainizowanych wschodnich regionach. A cóż dopiero otwarta agresja na państwa NATO?

Z pewnością straszakiem są i będą amerykańskie wojska –

nawet jeśli licznie to jedynie symboliczna siła, Rosjanie, biorąc pod uwagę nieprzewidywalność Trumpa, którego być może pochopnie okrzyknęli swoim sojusznikiem, konfrontacji ryzykować raczej nie będą. I o ile w państwach bałtyckich występuje spora mniejszość rosyjskojęzyczna, która na Ukrainie okazała się społeczną bazą separatyzmu, o tyle w Polsce Rosjanie nie mają w tym względzie na co liczyć.

Gdyby jednak do konwencjonalnej agresji doszło, to biorąc pod uwagę ryzyko, że sojusznicy nam nie pomogą, w bezpośredniej konfrontacji na ten moment nie mielibyśmy żadnych szans. Dlatego rozbudowa potencjału obronnego to zadanie o wiele pilniejsze niż ewentualne wsparcie dla ukraińskiego sojusznika, który oficjalnie nie prowadzi z Rosją wojny, a jedynie operację antyterrorystyczną.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ethno jazz festival

11.06.17 / 20.00

Wrocław, Hala Orbita



NIGEL KENNEDY

KOMEDA & MY WORLD

PREMIEROWY KONCERT Z UTWORAMI KRZYSZTOFA KOMEDY



FOT. MON



Z prof. Wojciechem Fałkowskim, podsekretarzem stanu w MON odpowiadającym za wyższe uczelnie wojskowe rozmawia Sławomir Cedzyński

Etos jest najważniejszy

SŁAWOMIR CEDZYŃSKI: W ostatnich miesiącach największym problemem wielu państw była nie tyle siła militarna tego czy innego agresora, ile obrona przed hordami hakerów. Czy studenci np. Wydziału Cybernetyki WAT mają duże wzięcie w Wojsku Polskim?

WOJCIECH FAŁKOWSKI: Szalone! Co więcej, jest presja, żeby zwiększać ich liczbę. Zresztą liczba studentów na uczelniach wojskowych w ogóle wzrosła w ostatnich dwóch latach o 120 proc. Z tego pokaźna część to studenci cybernetyki właśnie.

Świetnie zrozumieli to Rosjanie, którzy mają swoją armię hakerów. Wkrótce seria wyborów w Polsce. Czy wojsko szkoli już ludzi, którzy mogliby przeciwdziałać takim atakom i dokonać kontrataku?

Z całą pewnością mamy już w wojsku takich ludzi. Są do tego powołane specjal-

ne komórki. Trzeba jednak powiedzieć, że cały Zachód jest nieprzygotowany do podobnych ataków.

W przyszłym roku pierwsze z serii wyborów w Polsce. Możemy się czuć bezpiecznie?

Powiem szczerze, że nie wiem nic na ten temat, ale byłbym zwolennikiem, żeby była też możliwość liczenia głosów ręcznie. Takie rozwiązanie niedawno było przewidziane jako wyjście awaryjne w Holandii. I tego bym też u nas nie wykluczył. To jednak sfera kompetencji nie tego resortu.

Minister Macierewicz zapowiedział, że na przygotowania do wojny w sieci wyda 2 mld zł. Czy te pieniądze są również widoczne na uczelniach?

W szkołach wojskowych subwencja jest stale zwiększana choćby dlatego, że wcze-

śniej była bardzo niska. Dotąd oficerskie uczelnie musiały się ratować rekrutowaniem studentów cywilnych. Na przykład na Akademii Marynarki Wojennej, która ma kształcić wojowników, najliczniejszym wydziałem była pedagogika. Oczywiście działa się tak, bo za studentami cywilnymi szły pieniądze z innych resortów, a subwencja z MON była minimalna. Teraz poziom inwestycji wzrósł znacząco.

Żeby wiedzieć, kogo i jak szkolić, trzeba też wiedzieć, jakiej armii chcemy za 10–15 lat. Jakiego więc teraz żołnierza potrzebujemy?

Kluczową sprawą jest kształtowanie etosu żołnierza. Żołnierz musi wiedzieć, dlaczego i kiedy ma użyć broni, a tę pewność daje mu jego obywatelska i patriotyczna postawa. Bez tego żołnierz traci połowę swojej wartości bojowej. Druga rzecz to zakup sprzętu i technologii wojskowych z zagranicy, które muszą iść w parze z polską myślą techniczną. Tutaj jesteśmy bardzo opóźnieni. Minister Macierewicz stawia jednak sprawę twardo – że od producenta zagranicznego wraz z zakupem sprzętu musimy również przejmować technologie.

Jak pan zamierza kształtować etos? Reaguje pan ponoć, gdy widzi, że oficer przebiera się przed wyjściem z pracy w cywilne ubranie, jakby wstydył się munduru.

Dokładnie tak zrobiłem niedawno w przypadku oficera, mojego bezpośredniego podwładnego, ale niestety nie był to odosobniony przypadek. Tak robią oficerowie powszechnie od lat. Etos oficera trzeba kształtować od szkoły. Weźmy np. ściąganie na egzaminach. Na jednej z uczelni mieliśmy wręcz do czynienia z mafią, bo ściąganie z języka angielskiego odbywało się za pieniądze. Tacy ludzie nie mają czego szukać na uczelniach wojskowych.

Jednym ze sztandarowych naukowych pomysłów MON jest program „Kościuszkę”, który zakłada przyjęcie zagranicznych naukowców wraz z ich badaniami na nasze uczelnie. Czy to tylko kwestia pieniędzy?

Nie. Przede wszystkim to kwestia pomysłu i woli. Teraz wchodzimy w sferę, która jest najtrudniejsza. Naukowcy z zagranicy mają tu przynieść swoją kulturę pracy, kontakty i pchnąć naprzód badania w swojej dziedzinie. Na każdy zespół dajemy 1,5 mln zł. To świetna inwestycja i już myślę o kolejnej edycji. Dotąd uczelnie wojskowe były jakby otorbione, skierowane ściśle na własne dziedziny, nieraz

zasłaniały się dyskrecjonalnym charakterem pracy. Teraz chcemy wystawić uczelnie wojskowe na kontakty i konkurencję zagraniczną.

Dlaczego więc nie potrafimy zatrzymać przedstawicieli polskiej nauki, którzy przenoszą się za granicę ze swoimi badaniami?

Każdy patrzy też na interes własny, na pensję, ale – co najważniejsze – na łatwość przebiegu badań, choćby w pokonywaniu barier biurokratycznych. Przecież występowanie u nas o granty, a potem ich rozliczenie przyprawiają o zawrót głowy. Tutaj jest do nadrobienia kolosalne zapóźnienie. Ja jednak odpowiadam za uczelnie wojskowe. Te mają być konkurencyjne i to już się dzieje. Laboratoria WAT są na poziomie światowym.

Szkolenie na stopień generalski i osadzenie żołnierza w dobrych relacjach z sojusznikami z NATO trwa latami. Eksperti, nawet ci przychylni ministerstwu, krytykują odejścia ze służby generałów, którzy zostali wyszkoleni i którzy mają dobre kontakty.

Zacznijmy od tego, że każda armia się przepoczworza. To normalne na całym świecie. Druga rzecz, są żołnierze, którzy nie zgadzają się ze zmianami tego rządu,

tego ministra. Jeśli się nie zgadzają, to sami odchodzą lub są proszeni o odejście.

Nie szkoda tych, którzy mogą się jeszcze przydać?

Sprawa jest demonizowana, bo jeżeli oficer szkoli młodych podchorążych w dziedzinach, które podlegają błyskawicznym zmianom, i ma 75 lat, to jaka jest przydatność takiego oficera? A to jest konkretny przykład.

Byli też jednak młodszy generałowie ze świetnymi kompetencjami, np. gen. Jerzy Gut, były dowódca GROM-u i sił specjalnych.

To rzeczywiście odwrotny przykład, ale gen. Guta zatrudniliśmy od maja jako wykładowcę w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Łądowych we Wrocławiu.

Przed niedawnym wykładem prof. Shūji Nakamury w WAT powiedział pan, że sprowadzając na uczelnie wojskowe największe tuzy nauki, m.in. noblistów, chce pan wprowadzić te uczelnie w sieć międzynarodowych naukowych powiązań. Dlaczego nasze wojskowe uczelnie nie są znanymi ośrodkami, z którymi wszyscy chcą współpracować?

A dlaczego w ogóle polskie uczelnie nie są w ogóle uczelniami rozpozna-

walnymi na świecie? Kiedy ostatni raz w Polsce był noblista z dziedzin innych niż literatura, np. medycyny, fizyki, chemii? Ponad 20 lat temu, a w tym roku na uczelnie wojskowe przyjedzie trzech takich noblistów. Jeden już był – prof. Nakamura, specjalista w dziedzinie laserów, którego od razu zaprosiliśmy na serię kolejnych wykładów i ćwiczeń laboratoryjnych ze studentami. Nobliści mają nadmiar zaproszeń i naprawdę nie jest łatwo ich ściągnąć choćby na jeden wykład, a Nakamura przyjął zaproszenie na cykl dwu-trzytygodniowych zajęć. Za chwilę będzie u nas następny noblista, pod koniec czerwca przyjedzie chemik prof. Kurt Wüthrich, a pod koniec września w Wojskowym Instytucie Medycznym seminarium dla doktorantów poprowadzi biochemik, także laureat Nagrody Nobla, prof. Andrew Schally. Nauka to również rozgłos. I wizyta noblistów zwraca uwagę innych. Zależy nam, żeby uczelnie wojskowe weszły w ten obieg. To jest trochę droga na skróty, ale nam się spieszy, bo chcemy doskoczyć do czołówki w ciągu zaledwie kilku lat. W nauce nie da się już szybciej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

CHRIS BOTTI

KONCERTY

**5 września 2017
Hala Torwar Warszawa**

**6 września 2017
Hala Stulecia Wrocław**

**7 września 2017
Arena Azoty Szczecin**

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL, EMPIK



Prestige
MJM

REGENT
WARSAW HOTEL

wprost

cgm.pl

RZECZY

jazz

GAZETA BANKOWA

GOLD HITS

T3

STRÓER

Multikino

VIXON

WP

empik



Wojciech Wybranowski

„Do Rzeczy” dotarło do danych o pracy CBA. Tylko przez cztery miesiące tego roku dzięki działaniom Biura 191 osób usłyszało 642 zarzuty popełnienia przestępstw korupcyjnych

W ubiegłym tygodniu funkcjonariusze CBA zatrzymali wrocławską prawnik Annę D. Chciała przekonać asystentkę wrocławskiego prokuratora, by ta za łapówkę w wysokości 200 tys. zł przekazywała jej informacje ze śledztwa dotyczące jej klientów. W tym samym czasie, po akcji CBA, w ręce organów ścigania wpadły trzy osoby zamieszane w obrót fikcyjnymi fakturami VAT, wśród nich gwiazdor muzyki disco polo. – Był jednym z członków grupy, która proponowała przedsiębiorcom lewe faktury VAT pozwalające na wyłudzenie nienależnego zwrotu podatku – mówi nam osoba z kręgów śledztwa. W ten sposób Skarb Państwa miał stracić kilka milionów złotych.

Liczba zatrzymanych przez CBA w aferach korupcyjnych rośnie, tymczasem politycy PO kolejny raz biorą biuro na cel. Padają mocne słowa i deklaracje. – CBA to dziś policja polityczna – grzmiał niedawno Grzegorz Schetyna, lider Platformy. Zapowiedział też, po raz kolejny, że po przejęciu władzy jego ugrupowanie w pierwszej kolejności zlikwiduje biuro, a jego kompetencje rozdzieli między Komendę Główną Policji a Centralne Biuro Śledcze.

DEGENERACJA ZA PO

Pomysł sprowadzenia wyspecjalizowanych w walce z przestępczością korupcyjną funkcjonariuszy CBA do roli służby policyjnej to koncepcja, która w PO pojawia się nie pierwszy raz. Platformie częściowo udało się to przeprowadzić w 2009 r., gdy szefa i twórcę CBA Mariusza Kamińskiego zastąpiono Pawłem Wojtunikiem, byłym szefem CBŚ. To człowiek, który zasłynął m.in. ujawnioną przez „Do Rzeczy” rozmową z ówczesną wicepremier Elżbietą Bieńkowską. W jej trakcie oferował Bieńkowskiej luksusowo-



wy wypoczynek w Ośrodku Szkoleniowo-Konferencyjnym CBA za symboliczne 10 zł. Po zmianie rządu Wojtunik złożył dymisję. Zastąpił go Ernest Bejda, były wiceszef CBA w czasach, gdy służbą kierował Kamiński.

– Przed wszystkim trzeba było poprawić morale służby, która po okresie, gdy kierował nią Wojtunik, była zdegenerowana, a duża grupa funkcjonariuszy została w pewien sposób zdemoralizowana – mówi „Do Rzeczy” Maciej Wąsik, sekretarz stanu w KPRM i były wiceszef CBA. – Promowano średniaków, wycinano ambitnych, ludzie nieoficjalnie słyszeli, że są tematy, którymi nie powinni się zajmować – dodaje. Oceną działalności CBA i wykonywanych przez nią w pierwszej połowie tego roku „realizacji” ma się zająć, pod koniec czerwca, sejmowa Komisja do spraw Służb Specjalnych.

„Do Rzeczy” udało się dotrzeć do danych, które pokazują, jak wyglądała

aktywność CBA od początku stycznia do końca kwietnia tego roku.

SETKI PODEJRZANYCH

Tylko w ciągu pierwszych czterech miesięcy tego roku w sprawach prowadzonych przez CBA zarzuty (łącznie 642) popełnienia przestępstw głównie o charakterze korupcyjnym, niedopełnienia obowiązków lub przeciw obrotowi gospodarczemu usłyszało już 191 osób.

– To tzw. nowe osoby, czyli takie, które w realizowanych przez nas, pod nadzorem prokuratury, sprawach wystąpiły po raz pierwszy – mówi nam jeden z funkcjonariuszy CBA.

W tym samym czasie funkcjonariusze CBA zatrzymali też 66 osób. Wobec 24 z nich sąd zdecydował o zastosowaniu tymczasowego aresztu. Te dane nie obejmują działań biura w maju, gdy w sprawie dotyczącej tzw. afery reparywacyjnej zatrzymano osiem

Liczba osób zatrzymanych przez CBA w aferach korupcyjnych rośnie. Na zdjęciu zatrzymanie w sprawie warszawskiej reprivatyzacji FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI/FORUM



osób, z których pięć trafiło tymczasowo za kratki.

Dla porównania – w ciągu całego poprzedniego roku funkcjonariusze CBA zatrzymali łącznie 323 osoby, wobec 38 z nich sądy zdecydowały o tymczasowym aresztowaniu. W prowadzonych w ubiegłym roku przez CBA postępowaniach prokuratura zdecydowała się postawić w sumie 1275 zarzutów 479 podejrzanym.

Samych postępowań w tym roku też jest dużo. Na koniec kwietnia CBA prowadziło ich 349. Z tego 83 to nowe sprawy. W ubiegłym roku CBA wszczęło 281 nowych postępowań przygotowawczych, z tego 155 na podstawie własnych ustaleń.

Czego dotyczą? Te najbardziej głośne mają związek z aferą reprivatyzacyjną w Warszawie. W marcu CBA, które w tej sprawie prowadzi już ponad 50 śledztw, złożyło w prokuraturze nowe zawiadomienie o popełnieniu

przestępstw – przez pracowników Biura Gospodarki Nieruchomościami. Funkcjonariusze uważają, że urzędnicy w latach 2012–2013 pomogli „reprivatyzatorom” w przejęciu trzech nieruchomości w stolicy.

CARACALE, ZUS I PRZEKRĘTY

CBA prowadzi też (pod nadzorem Prokuratury Regionalnej w Szczecinie) postępowanie w sprawie podejrzenia „niedopełnienia obowiązków lub przekroczenia uprawnień” w prowadzonym przez rząd PO-PSL w 2012 r. przetargu na zakup śmigłowca wielozadaniowego dla polskiej armii. Chodzi o postępowanie, w wyniku którego Polska miała kupić 50 francuskich śmigłowców Caracal. W styczniu CBA wkroczyło do Ministerstwa Rozwoju, a także spółek PZL Mielec i PZL Świdnik oraz zabezpieczyło dokumenty dotyczące procedury przetargowej.

W marcu, po przeprowadzonej kontroli, CBA złożyło w prokuraturze zawiadomienie o nieprawidłowościach w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych i podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez byłego prezesa tej instytucji Zbigniewa Derdziuka oraz kilku jego współpracowników. Chodzi o umowę zawartą w 2013 r. przez ZUS w trybie „z wolnej ręki” z firmą Hewlett-Packard na świadczenie usług serwisowych. Zlecenie opiewało na ok. 19,5 mln zł. Gdy sprawa wywołała medialne kontrowersje, szefowie ZUS przekonywali – opierając się na oświadczeniu HP – że to jedyna firma, która może w Polsce serwisować sprzęt ZUS. Tymczasem eksperci CBA ustalili, że takich firm w Polsce jest co najmniej kilkanaście, ich warunki finansowe były konkurencyjne w stosunku do HP, zaś kierownictwo ZUS nigdy nie przeprowadziło w tej sprawie żadnej analizy rynku. – Po dwóch latach HP pod naciskiem CBA zmieniło oświadczenie. I teraz na podstawie tego wstecznie zmienionego oświadczenia CBA składa przeciwko mnie i moim współpracownikom doniesienie – bronił się Derdziuk w rozmowie z portalem Onet.pl.

W lutym ekipa z CBA w Katowicach zatrzymała sześć osób, które – jak podejrzewają śledczy – za pomocą zawyżonych zabezpieczeń majątkowych wyłudziły ponad 104 mln zł z SK Banku w Wołominie. A w maju funkcjonariusze z łódzkiego CBA zatrzymali w Krakowie i okolicach siedem osób – przedstawicieli kilku firm – które za pomocą fikcyjnych faktur VAT miały nara-

zić Skarb Państwa na stratę przynajmniej kilku milionów złotych.

Co najmniej kilka spraw, którymi zajęło się CBA, wywołało medialną burzę i polityczne awantury. Tak było np., gdy biuro zatrzymało wraz z grupą 11 osób pod zarzutem korupcji byłego senatora PO Józefa Piniora oraz jego asystenta Jarosława W. Przeciwno działaniom CBA protestowali wówczas politycy Platformy i KOD. Organizowano nawet demonstracje i wiece poparcia dla Piniora, twierdząc, że jego zatrzymanie ma kontekst polityczny. Ujawnienie przez Anitę Gargas części nagrań telefonicznych Piniora, które mogły sugerować, że były polityk uczestniczył w korupcyjnym procederze, spowodowało, iż polityczni i medialni obrońcy Piniora natychmiast ucichli. W kwietniu tego roku w tej samej sprawie CBA zatrzymało kolejne dwie osoby.

WZMOCNIĆ, A NIE LIKWIDOWAĆ

Sprawy prowadzone przez CBA najlepiej udowadniają, że taka służba jest w Polsce potrzebna i się sprawdza. Chociaż ostatnio łatwej sytuacji nie miała. – Do grudnia 2015 r. CBA praktycznie wegetowała finansowo. Środki, jakie przeznaczono na jej działania, były niewystarczające. Po wzmocnieniu finansowym biura najważniejsze jest uzupełnienie kadrowe tak, by funkcjonariusze mogli realizować swoje działania – mówi „Do Rzeczy” poseł Marek Opióła (PiS), przewodniczący sejmowej Komisji do spraw Służb Specjalnych.

Działania CBA zyskują też coraz większą przychylność społeczną. Jak wynika z opublikowanego w marcu sondażu CBOS, pozytywnie oceniało je 39 proc. respondentów (negatywnie – 13 proc.). To o dziewięć punktów procentowych więcej niż we wrześniu 2015 r.

Wygląda też na to, że w planach likwidacji CBA politycy PO nie znajdują sojusznika nawet wśród partnerów z opozycji. Poseł Adam Szałapka z Nowoczesnej, członek spekomisji, uważa, że likwidowanie tej służby to zły pomysł, bo formacja zajmująca się walką z korupcją jest potrzebna. Jego zdaniem CBA należałoby jednak „usprawnić i odpolitycznić”. Uważa też, że ta służba nie powinna zajmować się mniejszymi sprawami, którymi mogliby zająć się policjanci, tylko powinna skupić się na poważnych zdarzeniach – w tym kontekście wymienia m.in. przetarg na caracale czy zbadanie roli, jaką prof. Berczyński odegrał przy anulowaniu przetargu na te śmigłowce.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jak formować dobre gliny



Łukasz Warzecha

Budowaną z mazołem dobrą reputację może zniszczyć jedno zdarzenie. Czy dla polskiej policji pod rządami ministra Mariusza Błaszczaka, wiceministra Jarosława Zielińskiego i nadinspektora Jarosława Szymczyka takim zdarzeniem będzie śmierć Igora Stachowiaka na wrocławskim komisariacie?

Już w 2015 r. dla wszystkich, przyglądających się działalności polskiej policji, dwie rzeczy były jasne.

Pierwsza – że jeśli policja ma zostać naprawdę odnowiona i zmieniona, i to trwale, tak aby nie dało się tych zmian łatwo odwrócić, to musi zostać bardzo głęboko zreformowana. W ramach tej reformy musiałyby zostać zmienione zasady oceniania pracy policjantów, cykl szkolenia oraz znaczące zmiany musiałyby przejść Komenda Główna (niektóre krążące od lat koncepcje zakładały nawet jej likwidację).

Druga – że żadna taka głęboka reforma nie będzie miała miejsca również dlatego, że stanowisko ministra spraw wewnętrznych objął Mariusz Błaszczak, sprawny partyjny organizator, zaufany człowiek Jarosława Kaczyńskiego, ale na pewno nie charyzmatyczny wizjoner. A właśnie kogoś takiego polska policja potrzebowała. Przydałby jej się polski William Bratton, który na początku lat 90. postawił na nogi skapcaniałą, skorumpowaną i niedołężną policję nowojorską (NYPD).

POLSKA JAK NOWY JORK

Czy można porównywać te dwie struktury – ogólnopolską służbę policyjną i NYPD? Budżet policji nowojorskiej to obecnie (po cięciach) 4,8 mld dol. W 2013 r. zatrudniała 50 tys. ludzi. Polska policja ma roczny budżet na poziomie 8,6 mld zł, czyli ponad dwa

razy mniej niż NYPD. Zatrudnia zaś ok. 100 tys. ludzi, a więc dwa razy więcej. W uproszczeniu, na jednego funkcjonariusza policji nowojorskiej przypada 360 tys. zł rocznie. Na jednego polskiego policjanta – 86 tys. zł na rok. Dysproporcja jest uderzająca, niezależnie od cen i siły nabywczej pieniądza w obu krajach.

William Bratton do reformowania NYPD zabrał się w roku 1994 (wcześniej postawił na nogi nowojorską policję transportową, zajmującą się utrzymaniem porządku m.in. w metrze) i abstrahując od tego, jakie były wielkość zatrudnienia, budżet oraz inne czynniki w owym czasie, z jego działań płyną uniwersalne wnioski dla wszystkich organizacji policyjnych na świecie. Wszystkie też mają przecież do czynienia z mniej lub bardziej incydentalnymi przypadkami nadmiernej brutalności. W USA kilkanaście lat temu słynęła z tego policja Los Angeles i właśnie dlatego w 2002 r. zatrudniono tam jako szefa Brattona (pozostał na stanowisku do 2009 r.).

Tutaj zadajmy sobie pytanie: Jakie czynniki odegrały rolę w sprawie Igora Stachowiaka? Nietrudno je zidentyfikować.

Po pierwsze – była to frustracja funkcjonariuszy, którym poprzedniego dnia przez – co tu dużo mówić – nieudolność uciekł poszukiwany. Frustracja policjantów jest zaś zwykle odwrotnie proporcjonalna do prestiżu i autorytetu, jakim się cieszą, oraz

do wynagrodzeń. Sprzyja jej także brak szkoleń uczących, jak radzić sobie z takimi nastrojami.

Po drugie – nieprzestrzeganie procedur i niedochowanie staranności. Stachowiak nieco przypominał poszukiwanego, ale tylko nieco. Już w trakcie kontroli dokumentów, dysponując zdjęciem uciekiniera, funkcjonariusze mogli bez najmniejszego trudu stwierdzić, że mają przed sobą inną osobę. Wprawdzie także, jak się później okazało, poszukiwaną, ale wszystko wskazuje na to, że z tego policja zdała sobie sprawę dopiero po śmierci Stachowiaka. Tymczasem do momentu śmierci był traktowany z brutalnością wskazującą, że działał czynnik wymieniony w punkcie pierwszym.

Po trzecie – zadziwiający brak nadzoru. Do wyjaśnienia w toku wewnętrznie policyjnego dochodzenia pozostaje, jak to możliwe, że żaden z przełożonych nie interweniował, gdy czterech funkcjonariuszy zaciągnęło ofiarę do ubikacji, która z pewnością nie jest miejscem przeznaczonym do dokonywania jakichkolwiek oficjalnych czynności. A przecież schwytanie domniemanego uciekiniera powinno sprowadzić któregoś z dowódców.

Po czwarte – pewną rolę mógł odegrać nacisk na obrazowaną statystykami skuteczność. Ucieczka poszukiwanego była dla komisariatu we Wrocławiu obciążeniem.

Jak to się ma do działań Brattona w Nowym Jorku? Gdy obejmował on NYPD,





Marsz przeciwko brutalności policji, Wrocław, 30 maja 2016 r.
FOT. MACIEJ KULCZYŃSKI/PAP

miasto było skrajnie niebezpiecznym miejscem, a policja porażała brutalnością z jednej strony, a nieskutecznością z drugiej. Działał mechanizm opisany powyżej: im bardziej policja była nieskuteczna, tym bardziej funkcjonariusze byli sfrustrowani, a im bardziej byli sfrustrowani, tym chętniej nadużywali siły. To zaś odstręczało od nich zwykłych ludzi, bez których zaufania skuteczna praca policji nigdzie nie jest możliwa. I tak tworzyło się błędne koło.

Zawitawszy do NYPD, Bratton zastał sytuację, którą opisywał następująco w swojej książce „Przełom”: „Dane statystyczne i sporządzana na bieżąco analiza komputerowa wykazywały, że reakcja na wezwania była szybka i skuteczna. Z punktu widzenia kierownictwa wszystko było w porządku, odwalaliśmy dobrą robotę. Kiedy się jednak spojrzę na te wyniki z operacyjnego i strategicznego punktu widzenia, okazywało się, że taki system ma wiele słabych stron. Opinia publiczna nie była wcale zachwycona. »To prawda, że kiedy jest wezwanie, pojawia się po sześciu minutach. Ale co z tego, kiedy przestępstwo już zostało popełnione? I na czym właściwie polega wasza obecność? Przyjeżdżacie, dokonujecie interwencji, spisujecie raport i odjeżdżacie, a my pozostajemy z naszymi problemami«. Wskaźnik przestępczości był coraz wyższy, strach narastał, a ludzie nie wiedzieli nawet, kto opiekuje się ich dzielnicą czy osiedlem”.

Bratton opanował sytuację w dużej mierze dzięki dwóm zmianom. Po pierwsze – zastosował zasadę „zero tolerancji”. Na ogół pamięta się o niej jako o regule nakazującej policji zwalczać nawet drobne przestępstwa zgodnie ze stworzoną przez kryminologa i socjologa George’a Kellinga teorią „wybitych szyb”. Teoria ta mówi, że tam, gdzie drobna przestępczość nie jest zwalczana, nieuchronnie rozplenia się przestępczość poważniejsza. Jednak „zero tolerancji” miało szersze znaczenie i dotyczyło także samych policjantów.

Po drugie – całkowicie zmieniono zasady rozliczania policjantów z ich działań. Przestały się liczyć ogólne statystyki. Ważna była sytuacja w poszczególnych policyjnych obwodach (precincts), opisywana na podstawie sygnałów od samych mieszkańców.

ETOS I UMIEJĘTNOŚCI

Można mieć wrażenie, że polska policja ma problem z obiema kwestiami. Zbyt często zdarzało się, że mimo ewidentnych błędów policjanci byli bronieni przez przełożonych za wszelką cenę. Tutaj trzeba odnotować, że – wprawdzie dopiero po ujawnieniu materiałów ze sprawy Stachowiaka przez TVN – nic takiego nie ma miejsca. Wypowiedzi przedstawicieli rządu, MSWiA i Komendy Głównej są bardzo stanowcze i to jest w dużej mierze różnica jakościowa z czasami Platformy Obywatelskiej.

Jedną z najgłośniejszych i do dziś najbardziej haniebnych dla policji spraw było wówczas brutalne potraktowanie postać Przemysława Wiplera. Niezależnie od tego, jak bardzo poseł był pijany, gdy w październiku 2013 r. wdał się z policjantami w sprzeczki przed warszawskim klubem, funkcjonariusze potraktowali go porażająco brutalnie. Wobec już skutego i obezwładnionego zatrzymanego zastosowano m.in. sposób zwany w żargonie „komorą gazową”, zamykając go w samochodzie i wypuszczając przez uchylone lekko okno gaz łzawiący. Następnie uruchomiono maszynę, która miała z Wiplera zrobić napastnika, a z policjantów – ofiary. Tamta sprawa do dziś kładzie się cieniem na polskiej policji.

Nie istnieje też nadal w policji system oceniania skuteczności poszczególnych jej jednostek porównywalny z tym, jaki wprowadził w Nowym Jorku Bratton. Wciąż liczą się suche statystyki.

Nie ma raczej wątpliwości, że jedną z ważnych przyczyn nadmiernie brutalnych zachowań jest nie tylko brak etosu – którego wagę, słusznie zresztą, tak często podkreśla minister Błaszczak – lecz także niedostateczne wykształcenie. Etos nie zastąpi umiejętności i wiedzy. Gdy niemal równo rok temu rozmawiałem z nowo mianowanym wówczas komendantem głównym, nadinspektor Szymczyk mówił mi, że konieczne jest wydłużenie podstawowego kursu policyjnego. Wspominał m.in. o tym, że na Węgrzech został on przedłużony do dwóch lat, w Niemczech to aż trzy lata. W Polsce w chwili naszej rozmowy były to zaledwie 142 dni – i tak jest nadal. Nic się nie zmieniło.

W sprawie Stachowiaka zadziwiające jest i to, co działo się po śmierci 25-latk. Ze słów ministra spraw wewnętrznych, a także komendanta głównego wynika, że żaden z nich nie widział przez rok filmu zarejestrowanego kamerą policyjnego tasera. Materiał ten miał zostać przekazany prokuraturze i – według nadinspektora Szymczyka – nie został udostępniony policji. Jeśli ta wersja się potwierdzi, powstaje pytanie o działania prokuratury, a z tego powinien się tłumaczyć minister Ziobro.

Pozostaje kwestia odpowiedzialności politycznej za śmierć Stachowiaka. Trudno mieć wątpliwości, że ponosi ją wiceminister bezpośrednio odpowiadający za policję – Jarosław Zieliński. To jego porażka. I jest to porażka – trudno mieć co do tego wątpliwości – na miarę pożegnania się ze stanowiskiem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Niemiecki kolonializm XXI w. jest faktem. Trudno zresztą oczekiwać od największego pod względem gospodarczym europejskiego mocarstwa, aby zrezygnowało z ekspansji. A ta w warunkach dzisiejszej Europy oznacza głównie rozszerzanie wpływów ekonomicznych, na którym korzystają też inne kraje, i nie ma nic wspólnego z krwawymi podbojami. Łączy się to ze stosowaną przez Niemcy soft power, choćby w ramach Unii Europejskiej.

Niestety, tę oczywistość można przedstawić w karykaturalny sposób i tym samym zadać jej kłam. Tak bywa w Polsce. Wystarczy niemądre i nieprzyzwoite żerowanie na ponurych skojarzeniach historycznych, takich jak ubieranie Donalda Tuska w mundur Wehrmachtu. A przecież chodzi o zjawisko, które jest istotnym czynnikiem polityki państwa niewątpliwie oddziałującego się od III Rzeszy czy wręcz ją potępiającego.

Zostawmy jednak troskę niemieckich polityków o niemieckie koncerny. Zwróćmy natomiast uwagę na coś, co urasta do rangi niemieckiego kolonializmu kulturowego. W tym przypadku nie ma odwoływania się do niemieckiej tożsamości narodowej. Celem natomiast jest przeoranie duszy polskiej (dusza niemiecka już została przeorana) zgodnie z kanonami lewicowo-liberalnej wizji świata. Wizja ta zaś w swojej istocie okazuje się europejska i kosmopolityczna.

CYWILE I ŻOŁNIERZE

Podejrzliwość wobec każdego nacjonalizmu stała się niemal państwową doktryną Niemieckiej Republiki Federalnej. Niemcy ponieśli też jednak konsekwencje polityki III Rzeszy, którymi były przesiedlenia. W martyrologicznej narracji „wypędzonych” niemieccy cywile, zmuszeni do opuszczenia swoich domostw na zachodnich terenach Polski i Czechosłowacji, odgrywają rolę niemal takich samych ofiar, jakimi były narody eksterminowane przez III Rzeszę.

W Polsce na II wojnę światową przyjęło się patrzeć w następujący sposób: po jednej stronie byli agresorzy (Niemcy, ZSRS), a po drugiej – kraje przez nie okupowane. Tymczasem martyrologia „wypędzonych” skłania do rewizji tej perspektywy. Dzieli uczestników wojny na żołnierzy i cywili.

Wieczny antyfaszyzm



Filip Memches

Dobór i ujęcie tematów w „Przeglądzie Politycznym”, czasopiśmie gdańskich liberałów, stanowią projekcję obsesji, które dręczą elity niemieckie, wciąż zmagające się z „przewyciężaniem przeszłości”



Żołnierze to sprawcy zła, a cywile – jego ofiary. Przynależność narodowa oraz państwowa jednych i drugich nie ma tu znaczenia. Tym samym „wypędzeni” stają w jednym szeregu z heretykami Kościoła katolickiego, czarnymi niewolnikami, kobietami, Żydami, homoseksualistami, muzułmańskimi uchodźcami z Bliskiego Wschodu i innymi grupami, którym w lewicowo-liberalnych narracjach przypisana została rola ofiar rozmaitych prześladowań.

Mniej więcej taki przekaz stał się jednym z głównych przedmiotów sporu o Muzeum II Wojny Światowej. Rzecz jasna twórcy gdańskiej placówki, od samego swojego początku pomyślanej jako projekt realizujący politykę historyczną Platformy Obywatelskiej, nie mogliby sobie pozwolić na to, żeby oficjalnie przyznać rację „wypędzonym”. Niemniej krytycy koncepcji, wedle której powstała

ekspozycja muzeum, podnoszą problem tego, jak rozłożono na niej akcenty. Uważają oni, że po jej obejrzeniu można dojść do wniosku, iż w II wojnie światowej nie tyle Niemcy walczyli z Polakami, ile jacyś źli żołnierze mordowali jakichś dobrych cywili – a przynależność narodowa i państwowa jednych oraz drugich pozostaje kwestią drugoplanową.

Zapowiedź tego, że w tym kierunku pójdzie tworzenie ekspozycji muzeum, można było znaleźć już w roku 2008 na łamach kwartalnika „Przegląd Polityczny”. Paweł Machcewicz jako pełnomocnik prezesa Rady Ministrów do spraw Muzeum II Wojny Światowej i jego współpracownik Piotr M. Majewski przedstawili tam swoją wizję gdańskiej placówki. W tekście „Muzeum II Wojny Światowej. Zarys koncepcji programowej” (nr 91/92/2008) czytamy m.in.: „Ukazanie wojny przez pryzmat losów żołnierzy, jeńców, więźniów obozów, robotników przymusowych czy ogółu ludności cywilnej stanowić będzie, jak sądzimy, najbardziej uniwersalny i zrozumiały dla wszystkich zwiedzających przekaz – niezależnie od ich narodowości. Taka perspektywa niesie też w sobie głęboko pacyfistyczne przesłanie, zgodne z ideą Muzeum”.

Jakże to przesłanie różni się od tego, które przyświecało twórcom Muzeum Powstania Warszawskiego. Przeciwnie stołecznej placówce w niemieckich mediach pojawiały się bowiem zarzuty, że zaszczepia dzieciom militarizm.

Być może sprawę przesądza opinia szefa niemieckiego Związku Wypędzonych i działacza Unii Chrześcijańsko-Społecznej (CSU) Berndta Fabritiusa. Wyszedł on z Muzeum II Wojny Światowej wniebowzięty, czemu dał wyraz w marcowym wywiadzie dla redakcji polskiej serwisu Deutsche Welle, mówiąc: „Po raz pierwszy zobaczyłem, w jak rzetelny sposób problematyzowane są [...] wypędzenia Niemców z Polski”.

PAS TRANSMISYJNY

Gdańsk w ogóle ma szczęście do inicjatyw stanowiących pas transmisyjny polityki niemieckiego kolonializmu kulturowego. Tak jest w przypadku wspomnianego już „Przeglądu Politycznego”, któremu skądinąd trzeba oddać szacunek za wysoki poziom intelektualny.

„PP” został założony w roku 1983 w kręgu „gdańskich liberałów”, do którego należeli m.in. Jan Krzysztof

Bielecki, Wojciech P. Duda, Janusz Lewandowski, Donald Tusk. W ekipie tej nie zabrakło też dwóch socjologów z Warszawy: Ireneusza Krzemińskiego i Pawła Śpiewaka.

Duda od roku 1991 jest redaktorem naczelnym magazynu. Kiedy w latach 2007–2015 rządziła PO, pełnił funkcję głównego doradcy premiera. Prywatnie przyjaźni się z Tuskiem od czasów studenckich i z tego powodu część komentatorów widziała w nim szarą eminencję gabinetu. Od roku 2016 Duda jest zaś doradcą prezydenta Gdańska, Pawła Adamowicza z Platformy. To właśnie redaktorowi naczelnemu „Przeglądu Politycznego” Tusk, będąc premierem, powierzył zadanie czuwania nad koncepcją Muzeum II Wojny Światowej.

W okresie PRL „PP” ukazywał się w drugim obiegu. Promował dorobek klasyków liberalizmu ekonomicznego i podejmował trud osławiania polskiej opozycji z twardymi regułami rządzący mi kapitalizmem.

U progu III RP pojawiły się nowe wyzwania, a także nowe możliwości. W roku 1990 „gdańscy liberałowie” powołali do życia partię – Kongres Liberalno-Demokratyczny. Paweł Piskorski, niegdyś bliski współpracownik Tuska, w wydanej w roku 2014 książce „Między nami liberałami” – rozmowie rzece, którą przeprowadził z nim Michał Majewski – opowiadał, że niemiecka chadecja wsparła finansowo rozruch KLD.

Niezależnie od tego, jak traktowalibyśmy takie rewelacje, dużo o środowisku „gdańskich liberałów” mówi zawartość wydań „Przeglądu Politycznego” choćby z ostatnich kilku lat (m.in. numery: 126/2014, 127/128/2014, 129/2015, 132/2015, 138/2016, 141/2017). Można odnieść wrażenie, że dobór i ujęcie tematów w tym periodyku stanowią projekcję obsesji, które dręczą elity niemieckie. Te bowiem wciąż nie ustają w „przewycięzaniu przeszłości” – czyli w rozpoczętej po II wojnie światowej „defaszycacji” niemieckiej kultury politycznej.

Tym, co uderza w przypadku „PP”, jest powracająca refleksja nad Republiką Weimarską i okolicznościami, w których rodził się nazizm. W „Przeglądzie Politycznym” możemy przeczytać materiały źródłowe dotyczące tamtej epoki – teksty prawnika Carla Schmitta i innych przedstawicieli nurtu zwanego rewolucją konserwatywną. Bezlitośnie

Niemiecka kulturowa kolonizacja to m.in. „wyzwalanie” Polaków z pęt tradycyjnej moralności. Na zdjęciu: niemiecka polityk Claudia Roth (z lewej) podczas Parady Równości w Warszawie w 2006 r. FOT. KRZYSZTOF ŚWIEŻAK/EAST NEWS



punktowali oni słabości liberalnej demokracji: odrzucenie cnót rycerskich i tendencje pacyfistyczne, zamiłowanie do mieszczańskiego konformizmu oraz parlamentarnego gadulstwa, a także lęk przed stawianiem podstawowych dla funkcjonowania wspólnoty politycznej spraw na ostrzu noża.

Schmitt demaskował cechujący nowożytność prymat myślenia technicznego i ekonomicznego nad duchowością. Zarzucał swoim oponentom, że degradowują politykę do regulowanego przez prawo handlu wartościami i interesami z zamiarem zneutralizowania źródeł konfliktów. On zaś uważał, że taki zamiar jest nie do zrealizowania. Według niego bowiem polityka to w swojej istocie pole konfliktu, w którym rozstrzyga się to, do kogo należy ostatecznie władza, czyli kto jest suwerenem.

Cieniem na biografii i dorobku Schmitta kładzie się to, że poparł on NSDAP u władzy i był nawet w latach 1933–1936 członkiem tej partii. Z tego powodu został obwołany „koronnym

We współczesnej polskiej kulturze nie brakuje jednak postaci, których działalność wśród niemieckich elit znajduje poklask. Tak jest w przypadku pisarzy: Stefana Chwina i Andrzeja Stasiuka. W tekście „W rocznicę zjednoczenia” („PP” 141/2017) niemiecki dziennikarz Joachim Trenkner z satysfakcją cytuje słowa tego pierwszego: „I Polska, i Niemcy powinny bronić projektu wspólnoty europejskiej, opartej na takich ideałach Oświecenia, jak wolność i tolerancja”.

„POLSKI NAZIZM”

Kłopot z tym postulatem polega jednak na tym, że kiedy się go wdroży, wówczas się okaże, iż nieuchronnie ktoś tę wolność reglamentuje i ktoś tej tolerancji określa granice. Kto? Czy są to Daniel Cohn-Bendit i inni podstarzali hipisi z Pokolenia '68, w Niemczech szczególnie zaangażowanego w „przewycięzanie przeszłości” – ludzie stawiający sobie za cel lewicowo-liberalną reedukację „dzikusów” z Europy Środkowej i Wschodniej?

Redakcja „Przeglądu Politycznego” ma do przekazania czytelnikom prosty komunikat: strzeżcie się PiS-owskiej „dobrej zmiany”, bo tkwi w niej potencjał tęsknoty do autorytaryzmu podobny do tego, który w warunkach Republiki Weimarskiej zaowocował dyktaturą Hitlera.

To, że w Polsce już jest nazizm, sugerował z kolei rok temu na łamach „Dużego Formatu” Niklas Frank, syn Hansa, generalnego gubernatora okupowanych ziem polskich, pisarz, który zasłynął z tego, że podjął debatę na temat rozliczenia się w rodzinach niemieckich z narodowym socjalizmem. W wywiadzie przeprowadzonym z nim przez Bartosza T. Wielińskiego na słowa tego dziennikarza: „Na Zachodzie obecną Polskę porównuje się czasami do Niemiec z lat 30.” Frank odpowiada: „To niestety jest coraz bardziej widoczne. Polska zmierza w kierunku autokracji, ma stać się zamkniętym państwem katolickim. Pojawiają się też tchórze pokroju mojego ojca gotowi wiernie służyć reżimowi”.

Współcześni niemieccy kulturträgerzy interes narodowy swojego kraju widzą nie w germanizacji Polaków, lecz w ich „wyzwalaniu” z pięć tradycyjnej moralności. W tym kontekście do rangi symbolu urasta udział w warszawskiej Paradyzie Równości w roku 2006 polityków niemieckich Zielonych: Volkera Becka i Claudii Roth. Przyjechali oni jako reedukatorzy polskich „homofobów”.

Ekspansja wpisana jest w naturę mocarstw. Problemem jest natomiast co innego – zawartość importowanego przez Polaków produktu i zachowanie polskich lewicowo-liberalnych salonów

jurystą III Rzeszy”. Jest zatem jasne, że „Przegląd Polityczny” publikuje teksty niemieckich rewolucyjnych konserwatystów nie po to, by ich lansować, lecz ku przestrodze.

Świadczą zresztą o tym pojawiające się na łamach „PP” głosy współczesnych autorów. Wśród nich jest Anna Wolff-Powęska, historyk, była dyrektor Instytutu Zachodniego w Poznaniu. W tekście „Dobosze rewolucji” (nr 141/2017) wyszukuje ona analogię między niemiecką radykalną prawicą epoki weimarskiej a konserwatywnymi środowiskami intelektualnymi III RP, posiłkując się lekturą takich periodyków jak „Arcana”, „Czterdzieści i Cztery”, „Pressje” i „Teologia Polityczna”. Wolff-Powęska z trwogą przyjmuje to, że ćwierć wieku od krachu PRL opiniotwórcza rola w Polsce przypadła ludziom, którzy upominają się o podmiotowość i tożsamość swojego narodu w XXI stuleciu i zarazem występują przeciwko sekularyzacji życia publicznego czy feminizmowi.

Gdzie indziej w „Przeglądzie Politycznym” (nr 138/2016) możemy przeczytać „Wykład salzburski” Andrzeja Stasiuka, wcześniej wygłoszony przez autora, gdy odbierał Austriacką Nagrodę Państwową w dziedzinie literatury.

Kiedy pojawia się temat Polski roku 2016, znany prozaik serwuje taką uwagę: „[...] w moim kraju [...] szef rządzącej partii o uchodźcach ma do powiedzenia tyle, że roznoszą choroby, a hierarchowie kościelni w udręczonych tłumach uciekinierów przed wojną, głodem i śmiercią widzą jedynie religijną konkurencję i forpczę terroryzmu”.

Gwoli ścisłości należy przypomnieć, że akurat polscy biskupi już w roku 2015 apelowali o gościnność dla uchodźców. Ale co tam – jak widać zaprawione „postprawdą” narzekanie polskiego pisarza na ksenofobię w jego „ciemnym”, bo rządzone przez prawicę i rzekomo też przez Kościół, kraju, to cena warta zapłaty za honory, które na kogoś takiego spływają w krajach niemieckojęzycznych.

WYKORZENIENI EGOIŚCI

Czy to złe, że Niemcy dążą do kulturowej kolonizacji Polski? Odpowiedź brzmi: takie dążenie nie podlega ocenie moralnej. Ekspansja wpisana jest w naturę mocarstw.

Problemem jest natomiast co innego – zawartość importowanego przez Polaków produktu i zachowanie polskich lewicowo-liberalnych salonów. Traktują one niemiecki kolonializm kulturowy zakamuflowany pod postacią ponadnarodowej postępowej europejskości jako wehikuł awansu cywilizacyjnego swojego kraju. Tyle że hodowanie wykorzenionych egoistów, bardziej utożsamiających się z Europą niż Polską, to nie jest sposób na budowanie wspólnoty, która musi uczestniczyć w politycznej i gospodarczej rywalizacji państw oraz narodów w XXI w. – rywalizacji także w obrębie UE.

© 2017 Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą Polskiego Radia



Unijne inwestycje w ochronę zdrowia to rozbudowa infrastruktury medycznej i nowoczesny sprzęt dla polskich szpitali, a także finansowanie programów badawczych i edukacyjnych

Unia dobra dla zdrowia

Nowoczesne szpitale i placówki naukowe, nowe miejsca pracy, narzędzia do walki z rakiem i ze smogiem – to tylko niektóre inwestycje, które są obecnie realizowane w Polsce dzięki funduszom europejskim

Polskie samorządy mają wiele pomysłów, jak rozwiązywać problemy swoich mieszkańców. Niestety, często brakuje im środków, za które mogłyby to zrobić. To samo dotyczy polskich firm, które stale poszukują środków na rozwój. Aby zrealizować ambitne plany, samorządy i przedsiębiorcy sięgają po bezzwrotne dotacje oraz kredyty dostępne w ramach Planu Junckera.

LEPSZA SŁUŻBA ZDROWIA

Wielu Polaków kojarzy środki unijne z budową autostrad i remontem obiektów publicznych. Unia Europejska to jednak nie tylko coraz lepsza infrastruktura, lecz także inwestycje w zdrowie mieszkańców Polski. I tak: w 36 miesięcy za pół miliarda złotych powstanie do 2019 r. w Toruniu nowy kompleks Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego – jeden z najnowocześniejszych tego typu ośrodków leczniczych w kraju. Jest to pierwszy

w Polsce projekt z sektora publicznego finansowany z Europejskiego Funduszu na rzecz Inwestycji Strategicznych. Łącząc własny budżet z dotacją unijną i kredytem dostępnym w ramach Planu Junckera, kujawsko-pomorski samorząd rozpoczął rozbudowę oraz modernizację Wojewódzkiego Szpitala w Toruniu. Nowy kompleks udostępni pacjentom 1059 łóżek i będzie w stanie hospitalizować 86 tys. pacjentów rocznie. W przebudowanym szpitalu będzie pracować 2 tys. osób.

„LIFE” TO CZYSTE POWIETRZE

Ponieważ w dbaniu o zdrowie równie ważna co nowoczesny sprzęt medyczny jest profilaktyka, władze Małopolski otrzymały z unijnego programu „LIFE” środki na walkę ze smogiem. Pozwoliły one na zatrudnienie i wyszkolenie 60 ekodoradców, którzy w perspektywie najbliższych lat mogą pozyskać dla Ma-

łopolski nawet 880 mln euro z różnych źródeł. A wszystko po to, aby mieszkańcy Małopolski mogli oddychać czystym powietrzem.

Ekodoradcy na co dzień edukują mieszkańców regionu na temat sposobów redukcji tzw. niskiej emisji. Wspierają też osoby, które mają problem z policzeniem kosztów wymiany ogrzewania lub wypełnieniem wniosku o dofinansowanie. Wartość przewidzianego na sześć lat projektu to ok. 17 mln euro (70 mln zł), z czego 42 mln zł dołożyła Unia Europejska.

PROTONEM W RAKA

Ponieważ w porównaniu z innymi członkami UE Polska jest krajem o największej śmiertelności nowotworowej, Bruksela zdecydowała o dofinansowaniu jednego z niewielu ośrodków w Europie i jedyne w Polsce, który wykorzystuje bezbolesną oraz praktycznie nieinwazyjną radioterapię protonową do leczenia litych nowotworów. W Polsce może z niej korzystać ok. 600 pacjentów rocznie.

Budowa Centrum Cyklotronowego Bronowice (CCB), bo o nim mowa, trwała niemal pięć lat i kosztowała 265 mln zł. W ramach pierwszej fazy projektu dofinansowanego z Programu Operacyjnego „Innowacyjna Gospodarka” powstał nowoczesny obiekt do radioterapii protonowej oraz do badań z obszaru fizyki i radiobiologii. Druga faza pozwoliła na dalszy rozwój CCB poprzez instalację dwóch stanowisk terapeutycznych typu gantry (znajdują one zastosowanie głównie w radioterapii nowotworów centralnego układu nerwowego, zlokalizowanych w pobliżu narządów krytycznych oraz w leczeniu dzieci). Aktualnie w ośrodku leczone są nowotwory występujące w obrębie czaszki, ale w przyszłości radioterapia protonowa będzie wykorzystywana w leczeniu większości nowotworów, które obecnie kwalifikują się do teleradioterapii.

Lidia Orzechowska

Polska może być znaczącym beneficjentem unijnych funduszy na ochronę zdrowia. Na lata 2014–2020 Komisja Europejska przyznała Polsce ok. 12 mld zł na ten cel. Dodatkowe środki oferuje Plan Junckera, który jest dostępny zarówno dla podmiotów sektora publicznego, jak i firm, ze szczególnym uwzględnieniem małych i średnich przedsiębiorstw.



Z Kariną Walinowicz,
analitykiem Instytutu Ordo Iuris
rozmawia Łukasz Zboralski

Uderzanie w katolików



FOT. DARIUSZ DEJANOWICZ/PAP

ŁUKASZ ZBORALSKI: Instytut Ordo Iuris przygotował raport o nienawiści wobec chrześcijan w Polsce. W dokumencie dotyczącym ubiegłego roku, który przekazała Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, wyliczonych jest 27 przypadków takiej nienawiści. To dużo czy mało?

KARINA WALINOWICZ: Przede wszystkim jest to o 27 przypadków za dużo, bo przecież nie powinno być ani jednego z nich. Tym bardziej że Polska jest przecież krajem katolickim. Takie akty agresji przeciw wierzącym i Kościołowi są niepokojące. W tym kontekście można powiedzieć, że 27 przypadków wrogich zachowań to liczba duża.

Organizacja pozarządowa z Wiednia – OIDACE, która również składała swój raport (dotyczył on 16 europejskich

krajów) – zgromadziła 191 spraw. Wrogość wobec katolików w Polsce nie odstaje więc jakoś zupełnie od tego, z czym mamy do czynienia w innych krajach. Tymczasem do takich sytuacji nie powinniśmy dopuszczać albo musimy im skutecznie zapobiegać.

W waszym raporcie zarejestrowane są rozmaite zdarzenia. Również takie, jak np. kradzież i zniszczenie figury Maryi z warszawskiej kapliczki. Takim aktem wandalizmu chyba trudno skutecznie zapobiegać...

Niestety, podobnie jak każdym przestępstwom. Istotne znaczenie w tym kontekście mają nastroje społeczne, które mogą wpływać na to, że takich przestępstw będzie więcej albo mniej.

Te raporty Instytut Ordo Iuris sporządza od kilku lat. Jak wynika z waszych obserwacji: takich zdarzeń jest więcej czy może z roku na rok ich liczba maleje?

Jeśli sięgniemy do lat poprzednich, to np. w roku 2015 w raporcie zarejestrowaliśmy 30 przypadków aktów motywowanych nienawiścią wobec katolików, rok wcześniej podobnie. Nie zaobserwowaliśmy dotychczas, by ta agresja wobec katolików eskalowała, jednak co roku dochodzi do nowych podobnych incydentów wymierzonych w ludzi wierzących i wartości, w które wierzą. Oczywiście nie mamy też pewności, czy zarówno w poprzednim roku, jak i we wcześniejszych raportach udało nam się wychwycić wszystkie przypad-

ki, do których w rzeczywistości doszło. Mogło być ich znacznie więcej, jednak nikt o nich nie raportował, choćby w lokalnych mediach.

Zwykle nagłaśnia się akty dyskryminacji dotyczące rozmaitych mniejszości społecznych. O tych wymierzonych w katolików mówi się raczej niewiele.

Dzieje się tak głównie dlatego, że koncepcja „mowy nienawiści” jest czysto lewicowym konstruktem. Jest on często wykorzystywany jako narzędzie przez propagatorów lewicowej ideologii LGBT i feministki, chcących w ten sposób kneblować wolność słowa osób mających odmienne poglądy – wówczas powołują się na tzw. mowę nienawiści. Tymczasem można dostrzec, że oni często są bardziej brutalni wobec właśnie katolików czy wierzących innych religii, gdy ci nie zgadzają się z ich postulatami. Marsze dla Życia i Rodziny, na których gromadzi się wiele rodzin z dziećmi, promujące wartości rodzinne i pełne prawo do życia, często mają „zapowiedzi ingerencji” przez grupy LGBT – na szczęście dotychczas na zapowiedziach się kończyło. Jednak w tych przypadkach osoby z tych środowisk nie dostrzegają, jak wiele nienawiści wobec innych mają oni sami.

Składanie przez nas takiego raportu ma również na celu ukazanie, że nie tylko osoby LGBT są ofiarami aktów motywowanych nienawiścią, lecz także doświadczają ich inne grupy społeczne, w tym katolicy, nawet jeśli są większością.

W raporcie wyliczacie szeroką gamę zachowań godzących w katolików – od profanacji i wandalizmów na cmentarzach, przerywania mszy aż do niektórych wydarzeń kulturalnych...

Tak, bo rzeczywistość to bardzo wiele różnych rodzajów zdarzeń i zachowań. Nie są to bowiem zawsze akty wandalizmu czy profanacji, ale też przypadki przekroczenia wolności artystycznej na deskach teatru.

Jako jeden z przykładów zarejestrowaliście opis profanacji hostii w książce dla dzieci „Mała Nina” oraz przedstawienie teatralne „Duszpasterz hipsterów i Księża Wyklęci” grane przez przedstawicieli warszawskiego kabaretu. Dotykamy więc nie czegoś realnego, ale sztuki. Aktor udaje księdza, wszystko to jakaś projekcja, zmyślenia. Dlaczego taki spektakl uznajecie za nienawistny wobec katolików?

Chodzi o to, w jaki sposób ten aktor przedstawia księży jako grupę i czy ten sposób ich przedstawiania ma coś wspólnego ze sztuką, czy nie jest tylko czystą prowokacją. Mamy przecież do czynienia z taką sytuacją w przypadku reżysera „Kłatwy”, podobnie jest w innych przypadkach. Wszystkie wolności, również wolność artystyczna, mają swoje prawem określone granice. I te granice trzeba umieć rozpoznać oraz ich nie przekraczać.

Niektóre zachowania wyliczone w raporcie – takie jak malowanie nienawistnych haseł na drzwiach kościoła czy wypluwanie i deptanie hostii podczas nabożeństwa – mocno dotyczą katolików i pewnie się wszyscy z tym zgadzają. Jednak w przypadku sztuki zawsze trudno będzie ustalać takie granice...

No, ale jeśli przedstawia się księdza w każdym możliwym negatywnym przejawieniu, np. jako seksuolika, pedofila lub alkoholika, to z całą pewnością ma to na celu wyszydzanie nie tylko

Promowanie spektakli atakujących wartości religijne i wyśmiewających ludzi, którzy są do nich przywiązani, jest coraz bardziej widoczne, wulgarne i agresywne

tej konkretnej postaci, lecz także całej określonej grupy – księży. Czy nie na ten mechanizm skarżą się często właśnie osoby LGBT i niemal automatycznie krzyczą, że stały się ofiarami dyskryminacji? Czasami wystarczy, że ktoś zwróci się do osoby identyfikującej się jako LGBT z krytyczną uwagą, by został on oskarżony o stosowanie „mowy nienawiści” wobec niej. Grupy LGBT mają tendencję, by szybko czuć się ofiarami nietolerancji i dyskryminacji. Proszę spojrzeć, co się dzieje w innych krajach UE czy w Stanach Zjednoczonych. Oczywiście pomijam te sytuacje, gdy rzeczywistość dochodzi do bezprawnej agresji czy dyskryminacji tych osób.

Zauważacie też, że katolikom oberwało się np. podczas ubiegłorocznych czarnych marszów.

Dochodziło tam do aktów nienawiści, wyśmiewania i obrażania, głównie

osób ze środowisk pro-life, młodych ludzi – wolontariuszy zbierających podpisy pod inicjatywą obywatelską „Stop aborcji” czy po prostu osób wspierających postulat pełnej ochrony życia. To było bardzo widoczne. Było wiele transparentów z takimi symbolami jak krzyż zestawiony z macicą, pojawiało się też wiele wulgarnych treści dotyczących Kościoła czy wiernych. Feministki wprowadziły tego rodzaju symbolikę do debaty publicznej w sposób wyraźnie nieuprawniony, w oczywisty sposób motywowany nienawiścią. No bo czym innym? W liście graficznej załączonej do tegorocznego raportu wybraliśmy kilka przykładów takich obrazów. Wszystkiego nie bylibyśmy w stanie załączyć, bo w Internecie takich rzeczy jest naprawdę wiele.

No właśnie. W Internecie naprawdę często uderza się w katolików czy ważne dla nich symbole – jest mnóstwo fotomontaży obrażających św. Jana Pawła II, Jezusa czy Maryję. Na szczęście chyba nie tak mocno przekłada się to na realne zachowania. W sieci łatwiej się po prostu ponasmić z tego, w co ktoś wierzy?

Internet jest bardzo wygodnym medium dla szerzenia nienawiści na dużą skalę. Z jednej strony dlatego, że pozwala na większą anonimowość, choć – prawdę mówiąc – w sieci nikt nie może czuć się zupełnie anonimowo i bezkarnie. Organy ścigania są w stanie znaleźć sprawcę przestępstwa. Dlatego być może w sieci jest łatwiej obrażać i trudniej egzekwować odpowiedzialność, ale nie jest to niemożliwe.

Który z ubiegłorocznych przypadków najbardziej panią wstrząsnął?

Coraz bardziej niepokoi mnie upadek kultury i sztuki poprzez już nie tylko pozwalanie na spektakle atakujące wartości religijne i wyśmiewające ludzi, którzy są do nich przywiązani – w Polsce katolików w szczególności – lecz wręcz ich promowanie. To jest coraz bardziej widoczne, coraz bardziej wulgarne i coraz bardziej agresywne.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Karina Walinowicz

– analityk z Instytutu Ordo Iuris, koordynator Centrum Wolności Religijnej i Wolności Sumienia w Polsce

Kiedy Krzysztof Rutkowski i jego partnerka Maja Plich pojawili się na Warszawskich Targach Książki, w wystawienniczym pasażu zrobiło się jaśniej od błyskających fleszy. Para nie przyszła jednak na targi w poszukiwaniu ciekawej lektury. Rutkowski pojawił się w roli bohatera książki „Detektyw Krzysztof Rutkowski. Porwania”, czyli wywiadu, który przeprowadzili z nim Roman Mańka i Łukasz Ziaja. W kolejce oczekujących po autograf i zdjęcie byli starsi oraz młodszy, panowie w nieźle skrojonych garniturach i młodzieńcy w krótkich spodenkach. Ojcowie do zdjęć sadzali dzieci na kolana Plich, panie prezentowały przyniesione do podpisu zdjęcia detektywa, a nawet ręcznie robione na tę okazję kolaże. – A może oprócz autografu numer do swojego fryzjera by dał? – emocjonował się jeden z kolejkowiczów.

AGENTKA NA MISJI

Rutkowski zawsze pojawia się wtedy, gdy media zajmują się jakąś głośną kryminalną sprawą. Tym razem najwyraźniej na dłużej chce się utrzymać na medialnej fali. Kiedy na początku maja Polska zastanawiała się, co się stało z Magdaleną Ż., która zginęła podczas wakacji w Egipcie, Rutkowski pojawił się natychmiast. Organizował konferencje, stawiał mrożące krew w żyłach hipotezy. Mówił o pigułce gwałtu i rezydentach przekazujących sobie informacje o atrakcyjnych turystkach. Rzucał cień na rezydenta Mahmouda K. i na chłopaka polskiej wczasowiczki. W końcu do Egiptu wysłał Plich, która na miejscu zbadała sprawę. Swoje działania agentka Plich relacjonowała w mediach społecznościowych. Pozowała w egipskim kurorcie, wrzucała zdjęcia znad basenu z odznaką „Patrol Rutkowski” na piersi – do złudzenia przypominającą policyjną. Opis efektów operacji zilustrowała zdjęciem przy oknie, z którego wyskoczyła Magdalena Ż. Reakcje internautów były skrajne. – Spotkałam się z ogromnym hejtem, ale staram się podchodzić do tego tak jak Krzysztof, który mówi, że kiedyś czytał nagłówki gazet, a teraz nawet ich nie czyta – mówi „Do Rzeczy” Plich. I przekonuje nas, że Egipt to była misja, z której mogła nawet nie wrócić. – To nie pierwszy raz, kiedy brałam udział w niebezpiecznej akcji, a jestem postrzegana jedynie pod kątem tego, jak wyglądam – żali się. – Owszem, interesuję się modą, byłam modelką, jak każda kobieta lubię dbać o siebie, ale przede wszystkim jestem psychologiem i detek-



Agnieszka Niewińska

Widowiskowe konferencje prasowe i telemosty z Egiptem. Premiera własnej książki i zaręczyny na wizji. Krzysztof Rutkowski miał bardzo pracowity miesiąc

Detektyw na szkle

tywem. Trzy lata temu zrobiłam licencję detektywistyczną. Chciałam pomagać ludziom, ale jednocześnie spędzać więcej czasu z Krzysztofem. Potrafię sobie radzić w trudnych sytuacjach. Skończyłam zresztą liceum wojskowe.

Jaki był efekt jej wyprawy do Egiptu? Zaskakujący. Biuro Rutkowskiego zaprzeczyło teoriom, które wcześniej lansowało. Ogłosiło, że nie było porwania ani molestowania przez obsługę, a Magdalena Ż. przeszła ciężkie załamanie nerwowe. – Nasze ustalenia się sprawdziły tak jak w sprawie Ewy Tylman – mówi Rutkowski. Co konkretnie się sprawdziło? – Mówiłem, że Adam Ż. może być związany z zaginięciem, ale nie z zabójstwem. I co? Wypuścili go z aresztu – triumfuje Rutkowski.

Zaprzecza, że w egipskiej sprawie przedstawiał hipotezy jak z horroru, by zwiększyć zainteresowanie mediów samym sobą i swoją partnerką. – Przedstawiliśmy naszą początkową wersję i ona zatrybiła. Maja poleciała do Egiptu, ustaliła, co się działo minuta po minucie, i okazało się coś innego. Czy ja mam tkwić w kłamstwie, czy powiedzieć ludziom prawdę? Tak, powiedziałem, że spadła na trawę, ale spadła na beton, więc nie tkwię w błędzie – opowiada Rutkowski. – Media sprawdzają się w poszukiwaniu zaginionych. Kto pokaże fotografię setkom tysięcy osób? – tłumaczy swoją medialną aktywność. – Wiele spraw załatwiamy mega po cichu, a jakbyśmy chcieli, moglibyśmy robić show – dodaje.

OŚWIADCZYNINY – DÉJÀ VU

Aktywność medialna detektywistycznej pary w sprawie śmierci Magdy Ż. akurat zbiegła się w czasie z prapremierą książki Rutkowskiego. Zresztą zaraz po spotkaniu na targach książki z partnerką pojechał do telewizji Polsat. Detektyw zadbał o to, żeby i o tym występie było głośno. W programie „Skandaliści” była mowa o Magdalenie Ż., ale gdy prowadząca zapytała, czy Rutkowski i Plich są małżeństwem, ten skinął na osobę zza telewizyjnej scenografii, która podała mu pudełko z pierścieniem. Padł na kolana i wsunął go na palec Plich, która zgodziła się zostać panią Rutkowską. Ci, którzy bacznie śledzą kolorową prasę, przeżyli déjà vu, bo już w 2014 r. Rutkowski i Plich opowiadali „Faktowi” o swoich zaręczynach nad stawem pełnym łabędzi.

Medialny majstersztyk? – PR-owsko to świetny powrót Rutkowskiego. Za to, jaki zdobył ostatnio rozgłos, należą mu

się brawa – mówi dr Wojciech Jabłoński, specjalista w dziedzinie PR. – Inna sprawa, że to, co robi, należy nazwać nekromarketingiem. Do lansu wykorzystał w końcu śmierć dziewczyny, która zginęła w Egipcie. Jednak nie on jeden.

Dzięki temu, że Rutkowski czuje media i potrafi sprawnie się w nich poruszać – choć nie jest szczególnie postawny i nie przypomina za bardzo Jamesa Bonda – stał się w Polsce synonimem detektywa. Urodził się w mazowieckim Teresinie, jest absolwentem Technikum Mechanizacji Rolnictwa w Sochaczewie. Przyszłości z maszynami rolniczymi jednak nie związał. W latach 80. służył w milicji i ZOMO. Na przełomie lat 80. i 90. pracował w agencji ochroniarzkiej Securitas. W 1990 r. otworzył biuro detektywistyczne Rutkowski – w Warszawie, potem w Wiedniu, gdzie mieszkał z ówczesną żoną Anną. Szukał skradzionych samochodów, ścigał porywaczy i szantażystów. Pomagały mu kontakty, jakie miał wśród policjantów. Angażował się w głośne sprawy: nękanie Edyty Górniak, porwanie Krzysztofa Olewnika, a w ostatnich latach w zaginięciu Iwony Wieczorek, kilkumiesięcznej Madzi z Sosnowca i Ewy Tylman w Poznaniu. I choć od początku miał zmysł PR-owca, a swoje akcje sprawnie nagłaśniał, to największą popularność przyniosły mu współpraca z TVN i serial „Detektyw” emitowany w latach 2001–2006. Widzowie mogli obserwować brawurowe pościgi, rzucanie podejrzanych „na glebę” (jak zwykły mawiać), zagraniczne uprowadzenia poszukiwanych przestępców. Nieraz przekraczał granice prawa, ale trudno było go zatrzymać, bo w latach 2001–2005 był posłem Samoobrony, legitymował się paszportem dyplomatycznym.

W 2006 r. ze szczytu trafił na samo dno, został zatrzymany przez ABW, a następnie aresztowany w związku z podejrzeniem m.in. o pranie brudnych pieniędzy. W areszcie spędził 10 miesięcy. Kiedy go opuścił, jego detektywistyczny biznes był zrujnowany, a Rutkowski zadłużony po uszy. Wyszedł jednak z opresji i choć wyrokiem z grudnia 2013 r. w sprawie karnej dotyczącej uczestnictwa w śląskiej mafii paliwowej skazano go na 1,5 roku pozbawienia wolności, dziś jego firma „Rutkowski” Biuro Detektywistyczne Security-Service sp. z o.o. działa w najlepsze, i to mimo że Rutkowski nie może używać tytułu detektywa. – Licencja detektywa została mu cofnięta przez komendanta wojewódzkiego policji w Łodzi w 2009 r. – informuje rzecz-

nik prasowy MSWiA. I dodaje, że firma Rutkowskiego w zakresie usług detektywistycznych została wpisana do rejestru prowadzonego przez resort, bo licencję detektywistyczną ma pełnomocnik spółki uprawniony do kierowania działalnością w zakresie usług detektywistycznych.

Rutkowski zdradza, że dla biura pracuje ok. 20 osób. – Ale jak trzeba, to możemy mieć i 200 – deklaruje z fantazją. – Przecięcie biuro przyjmuje jakąś nową sprawę każdego dnia, ale zgłasza się do nas ok. 20–30 osób dziennie. Przychodzą też szaleńcy, mają oczekiwania, których nie możemy spełnić, tworzą swoje legendy. Takich spraw nie bierzemy – dodaje.

Na stronie internetowej swojego biura chwali się, że „jest postacią mającą bardzo duży wpływ na historię kryminalistyki, nie tylko polskiej, ale i zagranicznej”. – Tak napisał? On bezczęści tę dziedzinę. Rutkowski to człowiek o silnie rozbudowanej wyobraźni. W każdej sprawie się wypowiada, a nie ma żadnego przygotowania, wiedzy ani praktyki. ZOMO dało mu podstawy do mówienia o rozwoju polskiej kryminalistyki? – zżyma się znany profesor kryminologii. I zaznacza, żeby nie podawać jego nazwiska, bo nie chce być z Rutkowskim łączony.

Telefony do detektywa i tak dzwonią. Roman Mańka przyznaje, że trudno było przeprowadzić z nim wywiad, bo stale ktoś się do niego dobijał. – Ludzie, którzy dzwoniли, zgłaszali się z bardzo poważnymi kłopotami. Za któryś razem byliśmy świadkiem, jak detektyw jednocześnie prowadził trzy sprawy w trzech odległych od siebie częściach Polski – mówi.

„Ludzie, którzy mają problemy, dowiadują się, że sprawa jest nie do załatwienia, a Rutek mówi: »Zaraz wysyłam mój patrol«. Większość spraw i tak jest nie do wykrycia. »Nie daliśmy rady, ale bardzo się staraliśmy« – tłumaczy potem klientom. Kochają go za to, że daje im nadzieję – mówił kilka lat temu „Wprost” Dariusz Janas, były rzecznik warszawskiej policji, który pracował u Rutkowskiego.

Roman Mańka zapowiada, że w kolejnych tomach wywiadu Rutkowski ujawni więcej szczegółów na temat swojej pracy. To, gdzie się czesze, zdradził już na targach książki. O autorską fryzurę inspirowaną – jak twierdzi – stylem amerykańskich policjantów, którą nazywa „kwadratowym jeżem”, dba mistrz nożycek z warszawskiego salonu Hest, choć internauci mają inną teorię. Podejrzewają, że detektyw czesze się żelazkiem. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Krzysztof Masiński

Gdy w latach 60. nasza telewizja nadawała „Świętego”, ulice pustoszały. Tak się działo nie tylko w Polsce – serial o Simonie Templarze, współczesnej odmianie Robin Hooda, detektywie i przestępcy w jednym, a w każdym z tych wcieleni jednakowo eleganckim i uroczym – podobał się powszechnie, a wykonawca głównej roli, Roger Moore, stał się jedną z ikon popkultury epoki Beatlesów. Przed kilkoma dniami, 23 maja, zmarł w Szwajcarii, pięć miesięcy przed skończeniem 90 lat.

Moore, po zdobyciu sławy jako Simon Templar, z wielokrotnością ją w następnej dekadzie, przejmując po Seanie Connerym rolę Jamesa Bonda w filmach o 007, agencji Jej Królewskiej Mości. Bondem był siedmiokrotnie, nikt nie wcielił się w tę postać tyle

o Polsce nie wie za wiele, ale zapamiętał jedno, że Polacy zrobili wiele dobrego w czasie II wojny światowej. Wyraził żal, że przyjechał na krótko i Zamek Królewski zwiedziła tylko jego żona. On sam okazał się człowiekiem spostrzegawczym – po powrocie powiedział, że Warszawa to miasto przygniecione stalinizmem w postaci dominującego nad wszystkim Pałacu Kultury i Nauki. A zapytany o ulubionego Bonda, wskazał na „harmonię humoru i prowokacji” – „Szpiega, który mnie kochał”. Kiedy indziej powiedział jednak samokrytycznie: „Kiedy zobaczyłem »Casino Royale«, pomyślałem, że w siedmiu minutach filmu z udziałem Daniela Craiga było więcej akcji niż w siedmiu filmach, w których miałem przyjemność zagrać”.

Nie zmienia to faktu, że – skądinąd bez powodzenia – lansował na kolejnego odtwórcę roli agenta 007 starszego ze swoich synów, Geoffreya, z którym przed laty zagrał w filmie „Sherlock Holmes w Nowym Jorku”. Młodszy syn Rogera

wspomagał rozrusznik, aktor chorował również na cukrzycę.

Ze względów podatkowych mieszkał w Monako i Szwajcarii, w kantonie Valais. W Wielkiej Brytanii – powiadał – nie da się żyć, bo jeśli nawet – pewnie przez niedopatrzenie – pozwolą ci coś zarobić, to natychmiast skorygują rozliczenie i z tego, co zarobiłeś, zabiorą 98 proc. A jego majątek wyliczano na 90 mln dol.

RĘCZNIE ZWIJANE CYGARA

Kwestie finansowe nie miały jednak nic wspólnego z jego poczuciem przynależności narodowej. Był patriotą brytyjskim, zwolennikiem Partii Konserwatywnej, szczególnie zaangażował się w wybory roku 2001. Dziesięć lat później mocno wsparł Davida Camerona, chwając go za politykę względem Unii Europejskiej. Żartował natomiast ze swojego serdecznego przyjaciela, Seana Con-



Nienaganny

razy (Sean Connery ustępuje mu o jeden tytuł). Przy tym był Bondem więcej niż dojrzałym, zaczął go grać jako 45-latek, a skończył w wieku lat 57. Zagrał po kolei w: „Żyć i pozwolić umrzeć” (1973), „Człowiek ze złotym pistoletem” (1974), „Szpieg, który mnie kochał” (1977), „Moonraker” (1979), „Tylko dla twoich oczu” (1980), „Ośmiorniczka” (1983) i „Zabójczy widok” (1985). Po latach orzekł, że najmniej z tego okresu wspomina sceny łóżkowe, w których występował często, choć wolałby jeszcze częściej, no i oczywiście dni wypłat. Swoje aktorstwo oceniał z przymrużeniem oka, i to dosłownie: „Moje emploi zawsze sprowadzało się do czegoś pomiędzy dwiema skrajnościami: podnoszenia lewej brwi i podnoszenia brwi prawej”. Naturalnie, dworował sobie, wiedząc, że odbiorcy bardzo lubią autoironię swoich idoli. W istocie praca na planie filmów o Bondzie wcale nie była taką kaszką z mlekiem. Mimo poświęcenia kaskaderów łamał sobie kiedyś nadgarstek, innym razem skreślił nogę, uszkodzenia zębów nie będziemy już wyliczać.

W Polsce gościliśmy go w 2004 r., gdy uświetnił galę przyznawania Telekamer. Na konferencji prasowej powiedział, że

Moore’a – Christian – został producentem, a z filmem związała się również jego córka – Deborah, występująca m.in. w filmowych adaptacjach sensacyjnych powieści Jacka Higginsa.

Całą trójkę urodziła aktorki jego trzecia żona Luisa Mattioli, też aktorka, której był mężem od roku 1969 do 2002. Wcześniejsze małżonki Moore’a już nie żyją: Dorothy Squires, piosenkarka, zmarła w 1998 r., a pierwsza żona, łyżwiarka Doorn van Steyn, w 2010 r. Z czwartą żoną, eksstewardesą Kiki Tholstrup, Roger Moore ożenił się w 2002 r. W zeszłym roku zmarła na raka córka Kiki, 47-letnia Christina Knudsen.

Roger Moore też zmarł na skutek choroby nowotworowej. Raka prostaty wykryto u niego prawie ćwierć wieku temu, ale przeszedł wówczas pomyślnie zakończoną operację. Od 15 lat jego serce

nery'ego, i jego szkockiego separatyzmu. Bardzo dumny był z faktu, że Orderem Imperium Brytyjskiego odznaczała go królowa Elżbieta II (w 1999 r. otrzymał Commander of the Order of the British Empire, a w 2003 r. – Knight Commander of the Order of the British Empire). Nadmienmy, że honory te spadły na sir Rogera bynajmniej nie za jego filmy, lecz za działalność charytatywną. Był ambasadorem dobrej woli UNICEF, zaangażował się w pomoc dla biednych i głodujących po tym, co zobaczył w Indiach podczas kręcenia w tym kraju „Ośmiorniczki”. Bezpośrednio do działań pomocowych wciągnęła go Audrey Hepburn, z którą się przyjaźnił. Występował też z apelami o humanitarny chów zwierząt, protestując np. przeciw metodom wytwarzania pasztetu strasburskiego.

Uchodził za najdowcipniejszego z Bondów. O jego zachowaniach w trakcie realizacji filmów krążyły legendy, z których część sam tworzył, jak np. tę o przywłaszczaniu sobie ręczników hotelowych. Jednak

ani nie przypało ono na łatwe czasy, ani jego rodzina nie miała majątku. Był jedynym dzieckiem policjanta i gospodyni domowej. Z wojskiem miał szczęście. Powołano go w roku 1946, już po II wojnie światowej, a przed Koreą, spokojnie więc odbył służbę w Niemczech Zachodnich, gdzie – jak opowiadał – zajmował się podnoszeniem kieliszków z szampanem. Czynił to, widać, nadzwyczaj sprawnie, gdyż opuścił armię w stopniu kapitana.

Z pewnością wyróżniał się warunkami fizycznymi, na tamte lata był wysoki, miał aż 186 cm wzrostu, a także dbał o nienaganną sylwetkę. Dziewczyny kochały się w nim masowo, tak jak chłopcy w Bardotce.

Na dobrą sprawę został wykreowany nie przez kino, lecz przez telewizję, choć zadebiutował w filmie „Cezar i Kleopatra” w 1945 r. Kiedy osiem lat później wyjechał do Ameryki, był jeszcze nikim. Za wielką wodą angażował się w produkcje telewizyjne, prowadził programy, pisał scenariusze, no i stawał się rozpoznawalny: po

(1990). Karierę filmową oficjalnie zakończył w roku 2008.

JA PANA NIE ZNAM

Jaki pozostał w pamięci? Zofia Komedowa, wdowa po znakomitym muzyku, wspominała sytuację, która miała miejsce w Londynie w okresie pracy nad filmem Romana Polańskiego „Nieustraszeni pogromcy wampirów” (1967), do którego Komeda napisał muzykę: „Szlismy kiedyś razem, Romek, Krzysio i ja, byli z nami również jacyś producenci, parę osób. I w tym momencie spotkaliśmy Rogera Moore’a, słynnego serialowego Simona Templara – »Świętego«. To była wtedy w środowisku filmowym szalenie znana postać. Jeździł zawsze odkrytym białym volvo. Zatrzymaliśmy się, ktoś nas przedstawił... Mister Komeda, Missis Komeda – oni tak śmiesznie mówili »Komida«. I w pewnym momencie ktoś zwrócił się do Romka: – Panowie się chyba jeszcze nie znają: Mister Moore, Mister Polański. I Moore –

smoking Rogera Moore'a

już informacje o tym, że podpisywane przez niego kontrakty zawierały zapis o dostarczaniu mu na plan zdjęciowy nieograniczonej ilości hawańskich cygar Montenegro, nie miały się z prawdą. W końcu podtrzymywał, jak długo mógł, opinię playboya rozmiłowanego w pięknych kobietach i szybkich samochodach. Cygara do tego wizerunku świetnie pasowały.

Podobnie jak wytworne ubrania – niewątpliwie na nikim smoking nie leżał tak jak na nim. Nieprzypadkowo związał się też Moore w pewnym czasie ze znaną firmą Pearson & Foster, której był nawet dyrektorem, promując własne kolekcje ubrań. A zaczynał jako model, reklamował zresztą i inne produkty, nie tylko odzież, lecz także m.in. pastę do zębów.

DETEKTYW Z WYŻSZYCH SFER

Często mówił, że miał udane, szczęśliwe dzieciństwo. A przecież

„Ivanhoe”, „The Alaskans” i „Mavericku”. Gdy z początkiem lat 60. powrócił na Wyspy, zaproponowano mu rolę Świętego. On sam bagatelizował swoją rolę w tym, co się stało: „Swojego powodzenia nie zawdzięczam sobie ani swoim umiejętnościom, lecz szczęściu”. Kto chce, niech wierzy. Skoro jednak była mowa o telewizji, to warto wspomnieć jeszcze jedną produkcję, z lat 70. – serial „Partnerzy” (znany też jako „Detektywi z wyższych sfer”), w którym aktor występował jako lord Brett Sinclair.

„Święty” był pokazywany w Polsce, w przeciwieństwie do innych państw tzw. demokracji ludowej. Tym mocniejszym uczuciem darzyliśmy „zaprzyjaźnionego z nami” Rogera Moore’a i tym większą estymą otaczaliśmy niewpuszczanego na ekrany PRL-owskich kin Bonda.

Oczywiście na Bondach ani się nie zaczyna, ani nie kończy bogata filmografia Rogera Moore’a. Wystąpił m.in. jako porucznik Shawn Flynn w „Dzikich gęsiach” (1978), mjr Otto Hecht w „Ucieczce na Atenę” (1979), Seymour Goldfarb w „Wyścigu armatniej kuli” (1981), inspektor Clouseau w „Kłątwe Różowej Pantery” (1983) czy sir John Bevistock w „Strzale w dziesiątkę”

nie wiem, chciał być taki uprzejmy, ciepły – wyciągnął rękę i powiedział: – Ależ my się właściwie znamy, tylko nie mieliśmy sposobności uściśnąć sobie dłoni... A Romek ze zdziwieniem: – Nie, ja pana nie znam. I zapadła cisza, zrobiło się niemiło. Mnie szczególnie, tak jakoś wstyd i głupio, ponieważ Roger Moore taki serdeczny, powiedziałabym słowiański, a tu taki chłód Romka. A to była zwykła szpanerska zagrywka. Romek chciał pokazać, że takimi telewizyjnymi filmami jak »Święty« to on się nie interesuje”.

Rzecz jasna ci, którzy znali Rogera Moore’a, nie mówią o nim wyłącznie w superlatywach, ale zwraca uwagę zgodność w postrzeganiu go jako człowieka przyjaznego ludziom, otwartego, szczodrego. A niezależnie od jego problemów zdrowotnych podkreśla się jasność rozumu. Moore nie tak dawno powiedział: „Cudownym aspektem starzenia się jest to, że choć kolana nie pracują, jak należy, trudniej się chodzi i nie można podnosić ciężarów, umysł nie czuje żadnej różnicy”. Tych słów nie mógłby powiedzieć jego rywal i przyjaciel, inny Bond – dręczony przez alzheimera Sean Connery.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Urodziny sierżanta Pieprza



Grzegorz Brzozowicz

1 czerwca „Sgt. Pepper’s Lonely Hearts Club Band” Beatlesów – najstynniejszy, a dla wielu i najlepszy album w historii muzyki rockowej – obchodzi rocznicę 50-lecia wydania. W związku z jubileuszem płyta powróciła do sklepów, prezentując całkiem nowe stereofoniczne oblicze



Jako Beatlesi nie byliśmy pod wrażeniem stereo – wyjawiał Paul McCartney miesięcznikowi »Mojo«. – Byliśmy totalnymi świrami na punkcie mono. Domniemaliśmy, że stereo oznacza dwukrotne zwiększenie głośności, ponieważ są dwa głośniki. I, kiedy usłyszeliśmy, że będzie można »rozprzestrzenić« dźwięk wokół, wciąż nie przejawialiśmy zainteresowania. Przekazaliśmy to zadanie George’owi Martinowi. Uważaliśmy, że zakończyliśmy pracę nad albumem. To było to. »Sgt. Pepper« w Mono”.

Producent George Martin, uważany w 1967 r. za jednego z Beatlesów, zmarł dziewięć lat temu. Długo przygotowywał syna, Gilesa (dziś 47 lat), do pracy w studiu nagraniowym, a w szczególności do pracy nad rekonstrukcją nagrań Wielkiej Czwórki z Liverpoolu.

„Pierwotnie byłem przeciwny remiksowaniu Beatlesów... – tłumaczy w »Mojo« Giles Martin. – Ale oni sami nigdy nie bronili stereofonicznego miksu. Monofooniczny, który zrobili sami, jest lepszy i nie brzmi »staro«, tak jakby był zrobiony 50 lat temu. [...] Moją ideą było zrobienie mono ze starego stereo. Oczywiście tam, gdzie miałyby to sens. Przesunięcie wokali do środka spowodowało, że brzmienie stało się bardziej bezpośrednie. Beatlesi wypadają lepiej, kiedy są bardziej bliscy”.

W nowym miksie wokale są doskonale spójczone, a nagrania nabrały brzmieniowej muskulatury. Dodatkowo Giles wydobyl z taśm dźwięki, które dotąd były słabo słyszalne albo w ogóle niesłyszalne, co znacznie poszerzyło dźwiękowe spektrum. Jedyne w „A Day in the Life” pozostał śpiew Lennona i McCartneya w formie niezmienionej („jest w tym rozwiązaniu coś znakomitego”). Nowa wersja „She’s Leaving Home” w końcu przypomina tę oryginalną monofoniczną. Beatlesi przyspieszyli bowiem w studiu taśmę, dzięki czemu tonacja piosenki zmieniła się o pół tonu, z A na prawie B. Co więcej, płyta kończy się dźwiękiem policyjnego gwizdka dla psów (wcześnie rozbrzmiewał na częstotliwości 15 kHz niesłyszalnej dla ludzkich uszu), po którym po raz pierwszy słyhać klarownie wypowiedziane zdanie: „Never to see any other way”.

Nagrania Beatlesów wciąż mają niesamowity komercyjny potencjał. Opublikowana w 2000 r. płyta „1”, zawierająca największe przeboje grupy, jest najszybciej sprzedającym się albumem w historii (3,6 mln egzemplarzy w pierwszym tygo-

dniu). Osiągnąwszy 31-milionowy nakład, stała się najpopularniejszym albumem poprzedniej dekady, mimo że The Beatles nie istnieli już od 30 lat! Dlatego jubileuszowe wydanie „Sierżanta Pieprza” zostało przygotowane z niebywałym pietyzmem i ukazało się aż w czterech wersjach. Najbardziej ekskluzywna zawiera cztery kompakty, DVD, Blu-ray, 144-stronicową książkę, plakaty... Dodatkowo otrzymujemy album zmiksowany wielokanałowo, 34 niepublikowane nagrania z sesji do albumu i stereofoniczne wersje piosenek „Strawberry Fields Forever” i „Penny Lane”, które powstały jako pierwsze podczas sesji nagraniowych, ale nie znalazły się na płycie. Ta ekstrawagancja kosztuje ok. 500 zł.

Wyrosło już kilka pokoleń, które zapewne nie rozumieją kultu, jakim otaczany jest „Sierżant Pieprz”. A w 1967 r. był to rewolucyjny album. Wcześniej podstawowym źródłem dochodów przemysłu fonograficznego były single. Duże płyty w większości zawierały dwa, trzy przeboje, a pozostałe nagrania pełniły funkcję wypełniaczy. Tym razem Beatlesi, z założenia, nie wykroili z płyty ani jednego singla. Ten krok zapoczątkował na rynku dominację albumów. Co więcej, „Sgt. Pepper’s” był pierwszym concept albumem, bo został pomyślany jako twór jednorodny i niepodzielny. Tytuł i pomysł płyty jako koncertu fikcyjnej grupy rozpalili wyobraźnię milionów muzyków na całym świecie. Rozpoczęła się era albumów rockowych i całkiem nowego rozdziału w historii przemysłu muzycznego. Kolejną zasługą „Sgt. Pepper’s...” było przyznanie studiu nagraniowemu statusu instrumentu muzycznego. Czas był jak najbardziej po temu – ledwie opadł entuzjazm dla arcydzieła Beach Boysów – albumu „Pet Sounds” – a już wszystkich wytrącił z równowagi Jimi Hendrix ze swoją debiutancką płytą „Are You Experienced”. Sprokownikani Beatlesi poświęcili na „Pieprza” aż 129 dni sesji nagraniowych – to istotnie dużo, zwłaszcza w porównaniu z 600 minutami, w trakcie których powstał ich debiutancki krążek „Please Please Me”.

Muzycy sięgnęli do archiwum efektów dźwiękowych wytwórni EMI. Stąd szmer gadającej publiczności i śmiechy w piosence tytułowej, stąd wrzask tłumu pod jej koniec, stąd owacje na jej repryzie, stąd odgłosy polowania na lisy i cała menażeria w „Good Morning, Good Morning”, stąd szyderczy rechot pointujący natchnione „Within You Without You”. Niemal nagminnie już zonglowano prędkościami taśmy rejestrującej kolejne partie. Głos McCart-

neya w „When I’m Sixty-Four” odtworzono szybciej, niż został nagrany, żeby uzyskać nastrój radosnego, beztroskiego wodewilu. Najwięcej kombinacji z przesuwem taśm zastosowano przy „Lucy in the Sky with Diamonds” – głos Lennona nagrywano na dwóch różnych prędkościach, podobnie chórki McCartneya. Osobną historię stanowi rejestracja „A Day in the Life”. McCartney uparł się, by orkiestra składała się z 90 muzyków. Ze względów oszczędnościowych i braku miejsca w studiu zaangażowano „tylko” 40, ale za to nagranych czterokrotnie, co dało w sumie 160 filharmoników. Muzycy, klasycznie wykształceni, nie rozumieli, czemu zostali wezwani do studia, by przez 24 takty pięć się w górę skali swoich instrumentów, tym bardziej że Beatlesi poprzebierali ich w karnawałowe dodatki – sztuczne nosy, baloniki, serpentyny. McCartney wreszcie zdecydował o zakończeniu utworu potężnym fortepianowym akordem E-dur. Pianistów było czterech: on sam, Lennon, Ringo

129 dni

POŚWIECILI BEATLESI NA SESJE W STUDIU NA NAGRANIA DO PŁYTY „SGT. PEPPER’S...”

Starr i Mal Evans. Jednoczesne uderzenie udało się uzyskać dopiero za dziewiątym podejściem.

Mało? To dodajmy, że był to pierwszy album, na którego okładce wydrukowano teksty piosenek. Niebanalne słowa miały początkowo opierać się na wspomnieniach. Nie chodziło o nostalgię. Trudno byłoby jej oczekiwać od dwudziestoparoletnich muzyków. W tym przypadku doszedł do głosu alkaloid kwasu lizergowego, czyli LSD-25. To on otworzył w Beatlesach wspomnienia i traumy z dzieciństwa. W kilku tekstach słychać postulat poszukiwania tożsamości i samopoznania. Pierwsze utwory zarejestrowane w studiu – „Strawberry Fields Forever”, „Penny Lane” i „When I’m Sixty-Four” – koncentrowały się na dzieciństwie, dorastaniu i początkach zespołu w liverpoolskim klubie Cavern. Naciski wytwórni sprawiły, że pierwsze dwie piosenki zamiast na albumie pojawiły się na singlu.

W lutym 1967 r. narodziła się koncepcja Orkiestry Klubu Samotnych Serc Sierżanta Pieprza.

„To było coś, co podsłuchałem... i zrozumiałem omylnie – wspomina McCartney.

– Leciałem samolotem z Małem Evansem i on powiedział: »Posól i popieprz...«. Myślałem, że usłyszałem »Sierżant Pieprz«. To wpisuje się w wspaniałą tradycję kreatywnego niezrozumienia”.

Swą odmienność Beatlesi zaznaczyli zmianą wizerunku, czego pierwszym efektem było zapuszczenie przez wszystkich... wąsów. Pozując do zdjęć na okładkę „Pieprza”, muzycy przywdziali jaskrawe mundury orkiestry wojskowej. To była antyestablishmentowa manifestacja skierowana przeciwko uniformizowanemu powojennemu społeczeństwu. Obwoluta płyty była równie rewolucyjna co zawarta na płycie muzyka. Projekt autorstwa popartowskich artystów, Petera Blake’a i Janny Haworth, nawiązywał do koncepcji płyty jako koncertu wyimaginowanej grupy. Tło dla Beatlesów stanowi kilkadziesiąt fotografii: aktorów – Mae West, Marlona Brando, Flipa i Flapa, Tony’ego Curtisa, Johnny’ego Weissmüllera, Marlene Dietrich, Marilyn Monroe, pisarzy – Oscara Wilde’a, Williama S. Burroughsa, Lewisa Carrolla, Edgara Allana Poe, dalej kompozytora Karlheinz Stockhausena, Boba Dylana, maga Aleistera Crowleya, psychoanalityka Carla Gustava Junga, Karola Marxa, wreszcie byłego Beatlesa – Stu Sutcliffe’a.

Kiedy „Sgt. Pepper’s...” pojawił się na rynku, wiadomo było, że muzyka nie będzie już taka jak dotąd. Album przez ponad trzy miesiące królował na szczycie amerykańskiej listy najlepiej sprzedawanych płyt. W Wielkiej Brytanii dominował aż do 11 listopada. Był pozytywną inspiracją i natchnieniem dla ówczesnej kultury młodzieżowej. Dzisiaj jest jednym z synonimów hippisowskiego lata miłości, ale jednocześnie przetrwał próbę czasu, zawdzięczając to wspaniałym kompozycjom. Kolejny album Wielkiej Czwórki, znany jako „Biały album”, brzmiał na tle irytującego stereofonicznego miksu „Pieprza” znacznie donośniej i nowocześniej. A jednak to „Sierżant” wciąż jest najwspanialszym świadectwem tamtej epoki. W 2003 r. amerykański magazyn „Rolling Stone” uznał „Sgt. Pepper’s Lonely Hearts Club Band” za najlepszy album w historii muzyki rozrywkowej. Dzięki nowej, stereofonicznej wersji stworzonej przez Gilesa Martina zyskał nowy blask.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

W tekście wykorzystano fragmenty książki pt. „100 płyt, które wstrząsnęły światem” autorstwa Grzegorza Brzozowicza i Filipa Łobodzińskiego.



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Pocałunek kobiety pająka



★★★★★

REŻ. JOHN
MADDEN„SAMA PRZECIW
WSZYSTKIM”
(„MISS SLOANE”)
FRANCJA/USA 2016wyst. Jessica
Chastain, Mark
Strong, Gugu
Mbatha-Raw

Pod pretensjonalnym tytułem „Sama przeciw wszystkim” i kostiumem tuzinkowego dreszczowca ukrywa się malowany jaskrawymi barwami portret samicy alfa. Kim jest Elizabeth Sloane? To ulepszona wersja Hillary Clinton, która zrozumiała, że znacznie lepsze rezultaty można osiągnąć, działając za kulisami wielkiej polityki.

W Polsce o lobbingu mówi się niewiele i niechętnie. Za wielką wodą przeciwnie – próbuje się ten proceder okiełznać i uczynić transparentnym. Z mizernym skutkiem, o czym świadczą wybuchające co jakiś czas afery z udziałem reprezentantów narodu, przyjmujących hojne, lecz nie bezinteresowne dary od prywatnych firm lub ościennych rządów. Nic więc dziwnego, że zawodowi lobbyści mają

fatalną reputację, gorszą nawet od prawników.

Miss Sloane jest gwiazdą tej szemranej branży. Pracowita, arogancka i przerażająco skuteczna. W nocy zamiast spać, knuje. Nie ma ustawy, której nie zdołałaby uwalić, ani człowieka, którego nie potrafiłaby przejrzeć na wylot. Bezwzględna manipularka, wyznaje zasadę, że cel uświęca środki. Relaksuje się, korzystając z usług męskich prostytutek. Po prostu kobieta pająk. Ma tylko jedną widoczną na pierwszy rzut oka wadę: nie umie prowadzić samochodu (w Ameryce to szczyt ekscentryzmu). O tym, że ciągnie na prochach, wie tylko jej asystentka.

Scenarzystę zainspirowała batalia o ograniczenie prawa do posiadania i noszenia broni, która rozgorzała za prezydentury Obamy. Panna Sloane, z dość niejasnych

powodów, angażuje się po stronie postępców. Sam spór przedstawiono tu jednostronnie, co stało się przyczyną bojkotu filmu przez obrońców drugiej poprawki (janke-si, z sobie tylko znanych powodów, poważnie traktują konstytucję). Zaszkoziły też antysystemowe akcenty. USA to nie Europa, porównywanie rządzącej elity do szczerów gotowych „sprzedać kraj, byle utrzymać się przy korycie”, wielu wciąż jeszcze oburza i zniesmacza.

Rzecz swym zaangażowaniem momentami przypomina „Spotlight”, choć mierzy wyżej, bo czarnymi charakterami nie są tu księża i katolicy, lecz polityczni macherzy. Pomysł, by protagonistką uczynić zimną sukę, trzeba jednak uznać za samobójczy. Zwłaszcza że Jessica Chastain totalnie zdominowała swych ekranowych partnerów. Jedyne Mark Strong (nomen omen) czasami wychodzi z jej cienia. On też wygłasza najlepszą kwestię filmu: „Opinia publiczna jest przereklamowana”. Fabuła, przy całej swej przewrotności, czasami zadziwia naiwnością. Lobbyści może są łajdakami, lecz o debilizm nie można ich podejrzewać. A trzeba być zupełnym durniem, by publicznie prać brudy tylko po to, aby pognać byłą koleżankę. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „WONDER WOMAN”

O superbohaterach w stylu retro. Dzięki reżyser Patty Jenkins (autorka głośnego filmu „Monster” z Charlize Theron) cofamy się do I wojny światowej, by przyjrzeć się początkom kariery wojowniczej księżniczki Amazoнок, w przyszłości podpory Ligi Sprawiedliwości (jako Wonder Wo-

man). Grająca ją Gal Gadot pojawiła się rok temu na drugim planie w filmie „Batman v Superman: Świt sprawiedliwości”. ©©

Piotr Gociek

• „Wonder Woman”, reż. Patty Jenkins, wyst. Gal Gadot, David Thewlis, Robin Wright, USA 2017

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „mamy2mamy” („Telle mère, telle fille”), reż. Noémie Saglio, Francja 2016
- „Sieranewada”, reż. Cristi Puiu, Rumunia/Francja 2016
- „Nazywam się Cukinia” („Ma Vie de Courgette”), reż. Claude Barras, Francja 2016

Martwe kino

Przyjemnie jest odkryć w przydomowym ogródku roślinę z gatunku od wieków uważanego za wymarły. Albo w sterocie żółtych gazet natknąć się na szkolne świadectwo pradziadka. Czemuż więc film Brunona Dumonta nie wywołuje podobnie pozytywnych wzruszeń? Wszak żeruje na utrwalonych kulturowych archetypach i klasycie surrealizmu spod znaku Buñuela i Magritte'a. Niestety, Francuza zgubił brak umiaru. Jak na bezkompromisowego twórcę przystało, przywala wszystkim po równo. Wysztytła ekstrawagancja arystokratów, snobizm burżujów, tępotę służb porządkowych, zakłamanie kleru oraz ciemnotę ludu pracującego. Rzadko widuje się na ekranie

aż tak imponującą galerię niedołęg, imbecyli, degeneratów i zбочeńców.

„Wiemy, co trzeba robić, ale tego nie robimy” – powtarza zidiociały Christian van Peteghem. W oparach absurdu wątek kryminalny przeplata się z romansowym. Bohaterowie dosłownie

odlatują, lecz ich los ani trochę nas nie obchodzi. „Marionetki, wszystko marionetki” – powiedziałyby pan Rzecki. Smutek jest tym większy, że Dumontowi udało się zwerbować aktorów z najwyższej półki. Przykro patrzeć, jak marnują się w tej farsie. Belle époque to marka. Powinno się ją chronić przed twórcami seriali z TVN i pogrobowcami XX-wiecznych skandalistów. ©©

Wiesław Chęłmianiak



★★★★★
REŻ. BRUNO DUMONT
„MARTWE WODY”
(„MA LOUTE”)
FRANCJA 2016

wyst. Fabrice Luchini, Juliette Binoche, Valeria Bruni Tedeschi



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „THE SURGE”

Ludzkość tworzy nową technologię, która zyskuje autonomię i obraca się przeciwko swoim twórcom. Zasoby się kurczą, a Ziemia znajduje się na skraju katastrofy ekologicznej. W ten mało przyjemny krajobraz w poszukiwaniu genezy galopującej apokalipsy wkracza bohater „The Surge”. Jego zadaniem,

podobnie jak w serii „Dark Souls”, będzie przedzieranie się przez hordy przeciwników, szlifowanie statystyk i zdobywanie coraz skuteczniejszej broni. Ponieważ poziom trudności jest celowo wywindowany, niektóre etapy będziemy musieli pokonywać wielokrotnie. Dla jednych owa wtór-

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



ność będzie wadą, ale dla lubiących wyzwania – zaletą. Ja mam mieszane uczucia.

Marcin Makowski

- **Gatunek:** RPG/TPP
- **Platforma:** PC/PS4/XONE
- **Producent, dystr.:** Deck13/CDP.pl
- **Klasyfikacja PEGI:** 18+

ONI WRÓCILI Z WOJNY

Świetny miniserial dokumentalny na podstawie książki Marka Harrisa (niestety w Polsce niewydanej). Bohaterowie to pięciu reżyserów: Frank Capra, John Ford, John Huston, George Stevens i William Wyler, którzy odłożywszy na bok własne kariery, oddali się pracy dla



★★★★★
REŻ. LAURENT BOUZEREAU
„FIVE CAME BACK”
USA 2017,
NETFLIX

amerykańskiej armii podczas II wojny światowej. Capra nakręcił słynną serię filmów propagandowych „Why We Fight”, Wyler stracił słuch, dokumentując misję bombowca „Ślicznotka z Memphis”, Huston łądował z aliantami we Włoszech, Stevens towarzyszył oddziałom wyzwolającym obóz w Dachau, Ford kierował ekipą kręcącą zdjęcia podczas D-Day. Wojna odmieniła twórczość i światopogląd każdego z nich. Przewodnikami po najtrudniejszych latach i po ówczesnych filmach wspomnianej piątki są współcześni reżyserzy: Steven Spielberg, Francis Ford Coppola, Guillermo del Toro, Lawrence Kasdan i Paul Greengrass. Narratorką filmu jest Meryl Streep. ©©

AROMAT IDENTYCZNY Z NATURALNYM

Poprzedni „Pitbull” („Nowe porządki”) opowiadał (z grubszą) historię grupy mokotowskiej i jej szefa (Bogusław Linda). Nie było to arcydzieło, ale mieliśmy fabułę, wyrazisty konflikt i dobrze zagrane bohatera. Nowy „Pitbull” jest miksem kilku wątków, które łączy to, że pojawiają się w nich kobiety – żona gangstera,



★★★★★
REŻ. PATRYK VEGA
„PITBULL. NIEBEZPIECZNE KOBIEITY”
POLSKA 2016,
MONOLITH

wyst. Piotr Stramowski, Maja Ostaszewska, Magdalena Cielecka, Alicja Bachleda-Curuś

skorumpowana porucznik, początkująca policjantka itd. Z woli scenarzysty (bo logiki i prawdopodobieństwa brak) ich losy zahaczają o historię głównego bohatera – to bandzior „Cukier” z niemieckiego gangu motocyklowego zafascynowany Schopenhauerem. Film staje się nużącą składanką scen, które bywają brutalne lub zabawne, ale najczęściej żenujące. Postacie znane z poprzedniego filmu zamieniają się w autoparodię. Poziom trzymają Magdalena Cielecka, Andrzej Grabowski, Piotr Stramowski i Artur Żmijewski, ale pojawiają się na ekranie zbyt krótko. ©©

recenzuje Piotr Gociak

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Księgarskie epitafium

Na początku 2013 r. – wspomina w swojej głośnej, właśnie wydanej i u nas książce hiszpański pisarz Jorge Carrión – „widziałem, jak niemal stuletnia księgarnia została przemianowana na McDonald's. Wydzwięk tej metafory jest oczywisty, ale nie tylko to jest porażające. Catalonia, otwarta w pobliżu placu Cataluna w 1924 roku, prawdopodobnie nie jest pierwszą księgarnią przekształconą w fast food, ale jest jedynym przypadkiem takiej metamorfozy, której byłem świadkiem. Przez trzy lata zaglądałem rano przez szklane drzwi, a czasem wchodziłem do środka, żeby kupić jakąś książkę albo o coś zapytać, aż tu nagle zastałem opuszczoną kratę i wywieszoną na drzwiach kartkę”. Ze stosowną czy raczej niestosowną treścią. Następnie przez kilka miesięcy mógł rankiem obserwować niszczenie jednego świata, a popołudniami czytać o czytaniu i pisać swoje „Księgarnie”, bo tak – z wyjątkiem i skromnie – zatytułowane jest złożone przez Carrióna epitafium dla tych niezwykłych miejsc, których ubywa w zastraszającym tempie, tak że zastanawiamy się jedynie nad tym, kiedy znikną całkowicie i czy Internet spełni niegdyśszą wizję Borgesa o Bibliotece Babel, czy czeka nas era jakiegoś bliżej nieodgadnionego cyfrowego barbarzyństwa?

W swoim ni to eseju, ni to reportażu hiszpański autor przedstawia dzieje księgarń, sylwetki wybitnych księgarzy, opowiada o wpływie zarządzanych przez nich przybytków na wybitnych twórców, zastanawia się nad rolą księgarń w zbiorowej wyobraźni.

Carrión wylicza: „James Boswell pozna Samuela Johnsona w księżnicy Toma Daviesa przy Russell Street; Joyce znajdzie wydawcę dla »Ulissesa«; Ferlinghetti zdecyduje się otworzyć własną księgarnię w San Francisco; Josep Pla jako



FOT. EAST NEWS

dziecko odwiedzi księgarnię Canet w Figueras i podpisze pakt z literaturą; William Faulkner będzie pracował w jednej z nich jako księgarz; Vargas Llosa kupi »Panią Bovary« w księgarni w paryskiej Dzielnicy Łacińskiej, wiele lat po obejrzeniu w Limie filmowej adaptacji powieści”. A rosyjskiemu kryminaliście nazwiskiem Limonow psychiatra poradzi, by ten odwiedził Księgarnię 41 w pewnym prowincjonalnym mieście, i tak narodzi się kolejny pisarz. François Truffaut melodramat „Jules i Jim” Roche’a wygrzebie ze sterty przecenionych książek, a Julio Cortázar twórczość Cocteau odkryje też w księgarni. Nie na uniwersytecie, nie na spotkaniu autorskim ani w bibliotece – w księgarni, a zatem w miejscu, gdzie sztuka spleta się z czymś tak pozornie trywialnym jak handel. „Być może – zauważa przekornie autor – jeden jedyny raz w dziejach kultury fakt, że ktoś nie wszedł do księgarni, miał dobroczynny skutek; pewnego dnia 1923 roku Akira Kurosawa wybrał się do znanej tokijskiej księgarni Maruzen – słynącej ze swojej siedziby zbudowanej

przez Rikiego Sano w 1909 roku i z importu wydań zagranicznych dla elity Japonii – aby kupić siostrze książkę, ale księgarnia była zamknięta, więc musiał zawrócić; dwie godziny później budynek zniszczyło trzęsienie ziemi, a całą dzielnicę strawił ogień”. No tak, literatura jest magią, ale i wymianą, przez stulecia bowiem bazowała na tym samym co pieniądź – na papierze, dlatego też padała pastwą ognia. A chętnych do palenia książek jakoś nigdy nie brakowało.

Jorge Carrión prowadzi nas przez księgarnie Europy i Ameryki, a także Australii i Afryki. Ze szczególnym zainteresowaniem przeczytałem rozdział o „księgarniach zgubnie politycznych”. Cóż, nasza chata z kraja, a że z polskich autorów Carrión wymienia jedynie Miłosza, to trudno, zadowolić musimy się opisem funkcjonowania księgarń w minionym systemie w pobliskich krajach, Związku Sowieckim czy NRD. Jednak przecież nie tylko stalinizm czy sytuujący się na przeciwnym biegunie hitlerizm skazywały słowo na nieistnienie. Upadkowi muru berlińskiego, wydarzeniom na pekińskim placu Tiananmen towarzyszyły dokonująca się wtedy eksplozja Internetu i... fatwa nałożona na Salmana Rushdiego – kłątwa, jaką ajatollahowie obłożyli „Szatańskie wersety”.

Wolność słowa niesie jednak ze sobą pułapki. Co począć bowiem z „Mein Kampf” Hitlera? Dlaczego karana jest negacja Holocaustu, a nie zaprzeczanie innym ludobójstwom? W każdym razie istnieje krzepiąca legenda. Otóż, kiedy Niemcy bombardowali Londyn, pewien – zdaje się, że mityczny – księgarz ochronił swój sklep workami, w których przyniesione z piwnicy stare tomy uzupełnił piaskiem, dach domu wyłożywszy egzemplarzami „Mein Kampf”. Widać i książki zbędne mogą się przydać. ©



★★★★★
JORGE CARRIÓN
„KSIĘGARNIE”
NOIR SUR BLANC,
WARSZAWA 2017



DODATEK SPECJALNY

Obalenie rządu Olszewskiego

- Kulisy rozgrywki
- Tajne dokumenty
- Rozmowa z byłym premierem





Ten rząd musiał odejść... FOT. TOMASZ WIERZEJSKI/FOTONOVA

SPIS TREŚCI

IV-XI SŁAWOMIR CENCKIEWICZ **OBALIĆ TEN RZĄD!**

W kulisach prezydent spotkał się z liderami ugrupowań politycznych. Wałęsa: „Wy nie wiecie, jak daleko oni zaszli, dlatego trzeba ich błyskawicznie. Natychmiast, dzisiaj!”. Pawlak: „Tylko że to jest trochę gangsterski chwyt”.

XII-XV JAN OLSZEWSKI W ROZMOWIE Z PIOTREM SEMKĄ:

O KWARTAŁ ZA WCZEŚNIE

Na zdrowy rozum powinniśmy odmówić wykonania tej uchwały sejmowej. Odmowa wykonania uchwały musiałaby być jednak traktowana jako zgłoszenie gotowości dymisji rządu. Zdecydowaliśmy się odpowiedzieć pozytywnie, jednak zachować całkowitą tajność listy.

XVI-XIX ADAM CHMIELECKI **Z SZAFY LESIAKA**

Po obaleniu rządu Jana Olszewskiego w walkę polityczną zaangażowano także Urząd Ochrony Państwa i prokuraturę. Przy gabinecie szefa MSW Andrzeja Milczanowskiego istniał wówczas specjalny zespół kierowany przez byłego oficera SB płk. Jana Lesiaka. Inwigilował on ugrupowania prawicowe.



Opadły maski...

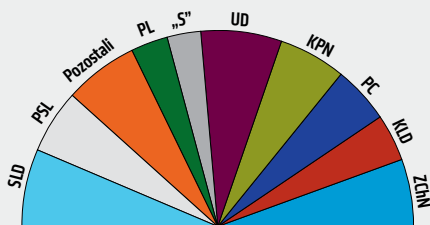
Dzisiaj widać wyraźniej, co wydarzyło się tamtej nocy z 4 na 5 czerwca 1992 r. Z dystansu ćwierćwiecza i tylu pozornie niezrozumiałych wydarzeń, jakie się działy i nadal dzieją w naszej ojczyźnie, dostrzegamy istotę zjawiska, jakim było podzielenie się władzą i majątkiem społeczeństwa między funkcjonariuszami PRL a częścią „elit solidarnościowych”. A także – koniecznego dla powodzenia takiego manewru – zapewnienia bezkarności policji politycznej i nomenklaturze PZPR z jednej strony oraz donosicielom ze strony drugiej.

Ujawnienie pierwszych list tajnych współpracowników bezpieki (TW) na początku czerwca 1992 r. okazało się wymuszonym (celowo?) falstartem. Wystarczyło jednak do wywołania popłochu, oburzenia i natychmiastowej konsolidacji tych, którzy poczuli się zagrożeni. Opadły wtedy maski i ukazało się wykrzywione strachem i nienawiścią oblicze TW. Dlaczego naród, a w każdym razie jego znaczny odłam pamiętający ideały Solidarności nie zareagował na noc teczek?

A dlaczego zbyt słabo protestował przeciwko rozgrabianiu majątku narodowego połączonemu z błyskawicznym zubożeniem ogółu społeczeństwa? Przeciw sprzedawaniu za bezcen fabryk, kradzieży milionów dolarów ze Skarbu Państwa w wyniku afery FOZZ, uwłaszczaniu się za zrabowane pieniądze jakichś mętnych osobników? Trzeba przypomnieć sobie ów czas „transformacji ustrojowej”... W telewizji i radiu brylowali politycy z dawnej epoki oraz jeszcze gorsi od nich „solidarnościowi” cynicy, użyteczni idioci oraz „autorytety moralne” (co drugi TW). Wraz z dominującą na rynku gazetą i posłusznym jej szeregiem dalszych mediów głosili pięknie brzmiące hasło grubej kreski, przestrzegali przed czarnymi – mającymi rzekomo zastąpić czerwonych – oraz przed pravicowymi „oszołomami” i „ciemnogrodem”, propagowali nihilizm moralny w rodzaju zachęty: „Pierwszy milion trzeba ukraść”. Ostrożnie nie wspominali o wycofaniu okupacyjnych wojsk sowieckich/rosyjskich ani o wstąpieniu Polski do NATO. Niestety, wszystko to było wystarczająco sugestywne i tumanilo miliony rodaków...

Takie było tło wydarzeń początku czerwca 1992 r. Długo trwał regres umysłów i serc. Trzeba nadal wyjaśniać jego przyczyny; skromnym przyczynkiem jest ten dodatek do „Do Rzeczy”. ©

Maciej Rosalak



Podział mandatów w Sejmie I kadencji (1991 r.)

REDAKCJA:
Redaktor: Maciej Rosalak

Z ZESPOŁEM:
Studio graficzne: Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),
Anna Sobieska-Wójtowicz (grafik),
Jacek Nadratowski (DTP)

Fotoedycja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś

Okładka: Wprost



Obalić ten rząd!

Wałęsa: „Wy nie wiecie, jak daleko oni zaszli, dlatego trzeba ich błyskawicznie. Natychmiast, dzisiaj!”



Sławomir Cenckiewicz

Prezzydent Lech Wałęsa od początku nie ukrywał niechętnego stosunku do powołanego w końcu 1991 r. rządu Jana Olszewskiego. Jednym z pól konfliktu była sprawa lustracji.

Posunięcia nowej ekipy rządowej zmierzały w kierunku rozpoznania,

zinwentaryzowania i ujawnienia byłych komunistycznych agentów pełniących wysokie funkcje państwowe. 10 lutego 1992 r. powołano Wydział Studiów przy Ministrze Spraw Wewnętrznych, który rozpoczął systemową analizę pracy operacyjnej byłej SB oraz zachowanej po niej dokumentacji. Na czele zespołu stanął bliski współpracownik ministra Macierewicza – Piotr Woyciechowski. Zespół pracowników Wydziału Studiów wykonywał swoje obowiązki w atmosferze niechęci

znacznej części kadry UOP wywodzącej się z SB. Dochodziło do utarczek słownych lub nawet stawiania oporu, jak to było podczas próby dostania się podwładnych ministra Macierewicza do pomieszczeń wywiadu.

W marcu i kwietniu 1992 r. Macierewicz w imieniu rządu przedkładał komisjom sejmowym poprawki do rozpatrywanych ustaw lub gotowe akty prawne, zmierzające do stworzenia mechanizmów pozwalających na oficjalne sprawdzanie wysokich



Szef MSW Antoni Macierewicz
w rozmowie z premierem Janem
Olszewskim FOT. M. STELMACH/WPROST

cji nie powinno oczywiście oznaczać przerwania kontaktu operacyjnego. Przeciwnie, należy podejmować różnorodne działania, by osoby te były coraz silniej związane z nami i coraz bardziej dyspozycyjne w realizacji zadań". W lipcu 1989 r. na polecenie Dankowskiego w MSW stworzono kartotekę agentów wybranych do parlamentu. Wspomniani zbiór archiwalny (oznaczony numerem 560) wkrótce potem zaginął.

W CIENIU KREMLA

Odkrywanie podobnych faktów tylko wzmacniało determinację rządu w działaniach ukierunkowanych na przeprowadzenie lustracji. Tymczasem kontakty rządu i prezydenta ulegały wyraźnemu zaostrzeniu. Do otwartego konfliktu doszło w drugiej połowie maja 1992 r. Nieco wcześniej na forum Rady Ministrów jednoznacznie skrytykowano art. 7 przygotowywanej umowy polsko-rosyjskiej, który uważano za niekorzystny dla Polski ze względu na możliwość tworzenia spółek polsko-rosyjskich w dawnych bazach sowieckich. Pomimo zastrzeżeń rządu 21 maja 1992 r. minister z Kancelarii Prezydenta, Andrzej Drzycimski, publicznie oświadczył, że zastrzeżenia rządu „zostały wycofane”. Wobec takiej wypowiedzi jednego z bliskich współpracowników Wałęsy – przebywającego już w Moskwie w celu podpisania umowy – premier natychmiast wysłał mu szyfrogram z kategorycznym sprzeciwem wobec treści spornego artykułu. Ostatecznie jego tekst udało się zmienić na zdecydowanie bardziej korzystny dla Polski. Po powrocie do kraju prezydent oskarżył jednak rząd o „nieodpowiedzialność”, która mogła zakończyć się zerwaniem rozmów z Rosją.

Dezawuowanie przez prezydenta stanowiska rządu i forsowanie przez niego rozwiązań ocenianych jako szkodliwe dla Polski budziło niechęć członków gabinetu Olszewskiego. W rządzie Olszewskiego pojawiały się głosy, że „miękką” postawą Wałęsy wobec rosyjskiego partnera może być spowodowana strachem przed wiedzą Moskwy o jego kontaktach z SB. Wedle raportu ówczesnego szefa kontrwywiadu UOP Konstantego Miodowicza podległe mu służby miały uzyskać informacje, jakoby Rosjanie dysponowali dokumentami sporządzonymi przez Wałęsę jako TW ps. Bolek. Według tegoż raportu „grafolodzy nie mieliby trudności z potwierdzeniem ich autentyczno-

urzędników państwowych pod kątem ewentualnej współpracy z SB. Bez takich procedur przeszłość żadnej osoby, w stosunku do której zachowały się kompromitujące dokumenty, nie mogła być przekazana opinii publicznej. Macierewicz ujawnił również, że za rządów zarówno premiera Mazowieckiego, jak i premiera Bieleckiego sprawdzano, kto z parlamentarzystów współpracował z SB. Jednym ze sprawdzających miał być Andrzej Milczanowski, drugim – minister Henryk Majewski. Wcze-

śniej obaj publicznie podważali wiarygodność dokumentów byłej SB i przekonywali, że „grzebanie w nich” nie ma absolutnie żadnego sensu ani znaczenia.

Ponadto ludzie Macierewicza ustalili, że tuż po wyborach z czerwca 1989 r. podsekretarz stanu MSW gen. Henryk Dankowski nakazał oficjalne wyeliminowanie z sieci agenturalnej i zgromadzenie akt tajnych współpracowników SB, którzy dostali się do Sejmu i Senatu. Dankowski pisał: „Zdjęcie z ewiden-

ści". Warto w tym miejscu zauważyć, że w owym czasie zarzut agenturalnej przeszłości sformułował publicznie jeden z doradców premiera, Krzysztof Wyszowski, który 23 maja 1992 r. na łamach dziennika „Nowy Świat” ujawnił, że minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski był w przeszłości współpracownikiem SB, i pytał, ilu agentów było w rządzie Mazowieckiego.

26 maja 1992 r. Lech Wałęsa wystąpił do marszałka Sejmu Wiesława Chrzastowskiego oficjalne pismo, w którym poinformował o utracie zaufania do premiera Jana Olszewskiego i wycofaniu swojego dlań poparcia. Kilka dni później doszło do wydarzenia przełomowego. 28 maja 1992 r. poseł Janusz Korwin-Mikke zgłosił wniosek o przeprowadzenie lustracji osób piastujących najwyższe stanowiska państwowe. Przedstawiciele Unii Demokratycznej i Kongresu Liberalno-Demokratycznego usiłowali zablokować uchwałę, opuszczając salę sejmową. Chcieli w ten sposób zerwać quorum. Kalkulacje te zawiodły, bo na sali zostało o dwie osoby więcej, niż wymagało tego prawo. Wobec opuszczenia sali obrad przez posłów UD i KLD oraz wstrzymania się od głosu postkomunistów po dyskusji zdecydowaną większością głosów została przegłosowana uchwała w brzmieniu: „Niniejszym zobowiązuje się ministra spraw wewnętrznych do podania do dnia 6 czerwca 1992 r. pełnej informacji na temat urzędników państwowych od szczebla wojewody wzwyż, a także senatorów, posłów, a do dwóch miesięcy – sędziów, prokuratorów, adwokatów oraz do sześciu miesięcy – radnych gmin i członków zarządów gmin, będących współpracownikami Urzędu Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa w latach 1945–1990”.

29 maja 1992 r. prezydent Wałęsa wezwał do Belwederu ministra Macierewicza. Fragment znamienego dialogu został pokazany w telewizji. „To jest zbyt skomplikowana sprawa – mówił Wałęsa – by rząd, by nawet prezydent, którego naród wybrał, mógł decydować bez konstrukcji prawnej, jak to ma być wykonane. Bez możliwości odwołania, udowodnienia. [...] Proszę pana, bardzo szeroka uchwała, bardzo nieprecyzyjne wykonanie, co może być bardzo wielkim nieszczęściem dla Polski. Ja ostrzegam pana i proszę o wielkie zastanowienie. Pan to dobrze wie, co było robione w latach siedemdziesiątych. Jakie podrutki,



Członkowie gabinetu premiera Jana Olszewskiego po zaprzysiężeniu FOT. ARCHIWUM AUTORA

jakie rzeczy do dzisiaj jeszcze krążą”.

„Pracowaliśmy cztery miesiące – przekonywał Macierewicz – by wszystkie możliwe posądzenia, uchybienia, fałszerstwa zostały wyeliminowane. I gwarantuję panu, panie prezydencie, że wszystko, co zostanie ujawnione, będzie absolutnie zgodne z prawdą”. Minister Macierewicz uznał rozmowę za element presji i „działania wyprzedzające” Wałęsę, usiłującego wszelkimi metodami zablokować ujawnienie jego przeszłości. Obecność telewizji oraz sposób przeprowadzenia rozmowy zinterpretował jako sygnał prezydenta, że zaatakuje on wykonawców uchwały, a także jakich użyje wówczas argumentów.

PUZZLE WAŁĘSY

Wśród ponad 900 osób, które Antoni Macierewicz musiał sprawdzić w pierwszej kolejności, był również prezydent Lech Wałęsa. Oprócz dokumentów otrzymanych w tej sprawie od Milczanowskiego jeszcze przed przyjęciem uchwały Sejmu z 28 maja 1992 r. podwładni Macierewicza odnaleźli dokumenty Biura Studiów SB dotyczące tzw. operacji specjalnych w sprawie Wałęsy, w których wyraźnie pisano, że w operacjach tych chodziło o „przedłużenie działalności” TW ps. »Bolek«, tj. [Lecha] Wałęsę, o minimum 10 lat”. Jednak chcąc wyświetlić wszystkie możliwe aspekty tej sprawy, należało dokonać kwerendy w archiwaliach gdańskiej SB. Pracownicy powołanego przez szefa MSW Wydziału Studiów

31 maja 1992 r. (niedziela) wyposażeni w stosowne pełnomocnictwa przybyli do Delegatury UOP w Gdańsku w celu ewentualnego odszukania innych dokumentów. Sprawdzali oni przede wszystkim, czy zachowały się materiały archiwalne TW ps. Bolek. Kiedy upewniono się, że ich nie ma, przeglądano dokumentację dotyczącą niszczenia akt SB w latach 1989–1990. Próbowano też odnaleźć dziennik archiwalny (w którym rejestrowano teczki agentów złożone do archiwum SB) wyeliminowanej sieci agenturalnej byłej Komendy Wojewódzkiej MO/WUSW w Gdańsku. Bez rezultatu.

Na drugi dzień, 1 czerwca 1992 r., kierownictwo delegatury zostało telefonicznie poinformowane o przyjeździe kolejnej grupy pracowników Wydziału Studiów. Do Gdańska dotarła ona ok. godz. 21 – jej członkowie poprosili o „wydanie wszystkich materiałów archiwalnych świadczących o możliwości współpracy Lecha Wałęsy z SB”. Dla efektów poszukiwań kluczową postacią okazał się ówczesny naczelnik Wydziału Ewidencji i Archiwum Delegatury UOP w Gdańsku, por. Krzysztof Bollin. Począwszy od 1991 r., prowadził kwerendę archiwalną na potrzeby prokuratury w sprawie „wydarzeń grudniowych” 1970 r. Wówczas natrafił na ślady działalności Lecha Wałęsy. Poruszony znaleziskiem zaczął poszerzać kwerendę. Później, w notatce służbowej, napisał: „Był to dla mnie bardzo silny wstrząs psychiczny, chciałem koniecznie spraw-

dzić, czy to prawda. Dlatego poszukałem informacji na ten temat w innych materiałach, znalazłem jeszcze inne informacje dotyczące tego tematu". Bollin w przeszłości był aktywnym działaczem Ruchu Młodej Polski i trójmiejskiego podziemia, dla którego Wałęsa był legendą i liderem ruchu antykomunistycznego. Do pracy w UOP rekomendował go Hodyszowi Aleksander Hall. Bollin nie myślał zapewne, że w życiorysie Wałęsy był okres związków z bezpieczeństwem w latach 70. Zaczął on zbierać informacje o „Bolku” i umieszczać je w kasie pancernej. Zorientował się szybko, że przeszłość Wałęsy jest w gdańskim UOP tajemnicą poliszynela: „Osobiście kilkakrotnie w prywatnych rozmowach z byłymi funkcjonariuszami SB słyszałem o współpracy Lecha Wałęsy z SB”. W czerwcu 1991 r. por. Bollin sporządził trzy notatki służbowe na temat dokumentów dotyczących Wałęsy, odnalezionych w trzech sprawach operacyjnych prowadzonych przez gdańską SB („Arka”, „Jesień 70” i „Klan”/„Związek”). Do dziś zachowała się tylko jedna ze wspomnianych notatek, zawierająca szczegółowe omówienie SO krypt. Arka prowadzonej na Stocznę Gdańską im. Lenina. W tomach od 2 do 5 sprawy krypt. Arka miało znajdować się wiele dokumentów dotyczących Wałęsy. Krzysztof Bollin pisał: „Wśród doniesień agenturalnych zamieszczonych w materiałach sprawy obiektowej krypt[onim] »ARKA« znajduje się 15 informacji po-

chodzących od tajnego współpracownika ps. »Bolek«”.

W tym stanie akta przeleżały w archiwum do czasu przegłosowania uchwały sejmowej z 28 maja 1992 r. Z powodu braku czasu ekipa przysłana do Gdańska przez szefa UOP Piotra Naimskiego nie mogła dokonać solidnej kwerendy źródłowej w celu odnalezienia większej liczby dokumentów dotyczących działalności „Bolka”. Z konieczności więc podwładni Macierewicza oparli się na wynikach pracy por. Bollina. Ten przekazał przybyłemu opisanemu już – sporządzone przez niego w czerwcu 1991 r. – trzy notatki oraz dołączone do nich kserokopie donosów „Bolka”. Na ich podstawie wytypowano i zabrano do Warszawy pięć tomów akt pochodzących z trzech zachowanych w archiwum delegatury w Gdańsku spraw operacyjnych. Oprócz wspomnianej dokumentacji pracownicy gabinetu ministra skopiowali w delegaturze kartę z dziennika rejestracyjnego rozpoczynającą się od numeru 12516 do numeru 14540. Na wspomnianej stronie znajdowała się rubryka numer 12535, do której odsyłała zachowana wówczas w oryginale karta rejestracyjna dotycząca Wałęsy. Zapisy z tej rubryki pasowały do danych zawartych w karcie rejestracyjnej dotyczącej prezydenta. Kolekcję zgromadzonych dokumentów uzupełnił oryginał odnalezionego przez pracowników Wydziału Studiów „Arkusza ewidencyjnego osoby podlegającej

internowaniu z 28 listopada 1980 r.”.

W krótkiej charakterystyce personalnej Wałęsy napisano: „Członek Komitetu Strajkowego. 29 XII 1970 r. pozyskany do współpracy z SB. W okresie 1970–[19]72 przekazał szereg informacji dot[yczących] negatywnej działalności pracowników Stocznii”. A zatem minister Macierewicz posiadał przed 4 czerwca 1992 r. kilkadziesiąt istotnych dla sprawy dokumentów, które odsłaniały kompromitującą przeszłość prezydenta RP.

KOALICJA STRACHU

Na drugi dzień po przyjęciu przez Sejm RP uchwały lustracyjnej z 28 maja 1992 r. w imieniu grupy 65 posłów Unii Demokratycznej, Kongresu Liberalno-Demokratycznego i Polskiego Programu Gospodarczego (tzw. mała koalicja) Jan M. Rokita złożył w Sejmie wniosek o wotum nieufności dla rządu Jana Olszewskiego. Tak w samym wniosku, jak w późniejszych wypowiedziach rządowi stawiano wiele zarzutów dotyczących polityki wewnętrznej, szczególnie gospodarczej. Poseł Jan Lityński (UD) argumentował: „Ten rząd po prostu nic nie robi. Podczas pięciu miesięcy swego istnienia nie przygotował żadnej koncepcji polityki gospodarczej. Zupełnie zastopował prywatyzację. Koncepcje polityki społecznej, które przedstawił, były tak słabe, że nadawały się tylko do kosza. [...] Równie krytycznie oceniam polityczną działalność obecnej ekipy. Prowokując nieustanne awantury z parlamentem i prezydentem, rząd przyczynił się do paraliżu głównych ośrodków władzy w państwie”.

Zastanawiające, że pomimo bardzo burzliwej debaty publicznej z dnia poprzedniego sprawa uchwały Sejmu z 28 maja 1992 r. na ogół nie była tu wymieniana. Pytanie, czy sprawa ta stała się z dnia na dzień nieważna, czy przemilczanie tej kwestii było świadomą taktyką przeciwników rządu, pozostaje otwarte. Jest też faktem, że 29 maja 1992 r. grupa posłów z tzw. małej koalicji skierowała do Trybunału Konstytucyjnego wnioszek o zbadanie zgodności uchwały z konstytucją. Znacząca jest także postawa wspierającej środowiska niechętnie rządowi „Gazety Wyborczej”. O ile informacja o złożeniu wotum nieufności wobec rządu została jedynie wzmiankowana, o tyle tematem dnia były uchwała Sejmu z 28 maja 1992 r. oraz metody prawne i sztuczki prawnicze, którymi można byłoby zatrzymać jej realizację.



Premier u prezydenta Lecha Wałęsy. Za nim Mieczysław Wachowski i Andrzej Drzycimski FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Uchwałę skrytykował też Michał Boni, poseł KLD, odwołując się do historyzujących rozważań na temat polskiej inteligencji i atakując inicjatorów lustracji: „To, co obserwujemy obecnie, jest końcem pewnej formacji umysłowej. Jest końcem tego modelu polskiej inteligencji, jaki powstał po Powstaniu Styczniowym. Jest końcem pewnego etosu. Przez te trudne sto dwadzieścia lat, ze zmiennymi doświadczeniami, w etosie tym i polskiej opinii publicznej – dominował prymat prawdy nad manipulacyjną efektywnością. [...] Obrona wartości jest wyśmiewana, sejmowy błazen, jakim jest Janusz Korwin-Mikke, przywdziać może niepasujący do niego kostium Katona, oby się nie okazało, że kata. [...] Nie ma w tej okrutnej, hazardowej grze parlamentarnej – ani wygranych, ani przegranych. Zaczęła przegrywać polska racja stanu”. Jednak czytając podobne opinie, trzeba pamiętać o tym, że kilka dni później nazwisko Boniego znalazło się na liście przygotowanej dla Sejmu przez ministra Antoniego Macierewicza. Do podpisania zobowiązania do współpracy z SB Boni przyznał się dopiero w 2007 r.

Głosowanie w sprawie wotum nieufności dla gabinetu Jana Olszewskiego zaplanowano na 5 czerwca 1992 r. Ugrupowania trwale wspierające rząd (przede wszystkim Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, Porozumienie Centrum i Porozumienie Ludowe) były zbyt słabe, by zapobiec jego upadkowi, w takim samym stopniu jak siły jego przeciwników – tzw. mała koalicja plus SLD – nie wystarczały, żeby go obalić. Kluczowe było więc to, jak zachowają się Polskie Stronnictwo Ludowe i Konfederacja Polski Niepodległej. Już w drugiej połowie maja następowało wyraźne ożywienie w kontaktach PSL i prezydenta. Pośrednikiem i architektem tego procesu był Aleksander Bentkowski, były minister sprawiedliwości w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Kilka lat później, kiedy do Sejmu wróciła sprawa lustracji, a Bentkowski pasywnie przyglądał się dyskusji o ustawie, tygodnik „Nie” opublikował obciążające go dokumenty bezpieki. Nie pochodziły one jednak z archiwów UOP, lecz z prywatnych kolekcji.

Jako osoba odnotowana w ewidencji operacyjnej SB jako TW o pseudonimach Arnold i Kamil do zwolenników rządu Olszewskiego – a przede wszystkim lustracji – raczej nie należał. W tym czasie Bronisław Geremek rozpoczął promowa-



Stefan Niesiołowski (ZChN) z Tadeuszem Mazowieckim (UD) i Donaldem Tuskiem (KLD) FOT. ANDRZEJ IWĄNCZUK/REPORTER

nie w prezydium Unii Demokratycznej osoby Waldemara Pawłaka jako kandydata na premiera. Waldemar Kuczyński stawia tezę, że już w czasie wizyty w Moskwie Geremek i Wałęsa chcieli przy pomocy lidera PSL „wysadzić” rząd Jana Olszewskiego. W kierownictwie PSL dojrzewał plan poparcia sił dążących do obalenia rządu w zamian za stanowisko premiera dla Waldemara Pawłaka. Po przyjęciu uchwały lustracyjnej działania Belwederu zostały gwałtownie przyspieszone.

2 czerwca 1992 r. na raucie w ambasadzie włoskiej doszło do znamiennej wymiany zdań pomiędzy Mieczysławem Wachowskim a jednym z liderów UD – Jackiem Kuroń. Kuroń wspominał: „Powiedziałem mu, że teraz, po zgłoszeniu uchwały lustracyjnej, już rozumiem, że nie ma rady – trzeba przepędzić szkodników. Mietek popatrzył na mnie uważnie i powiedział: – Ale do tego przepędzenia trzeba się bardzo poważnie przygotować. – Co zrobić? – zapytałem. – Przydałby się wam jakiś rolnik jako kandydat na premiera”. Na początku czerwca 1992 r., podczas poufnego spotkania z Pawlakiem, Mazowiecki obiecał wsparcie prezesa ludowców w zamian za pomoc PSL w obaleniu rządu Jana Olszewskiego.

Już 3 czerwca 1992 r. Wałęsa oficjalnie zaproponował Waldemara Pawłaka jako kandydata na premiera. Wobec powyższych wydarzeń próba uzyskania przez Olszewskiego wsparcia ze strony PSL byłaby z góry skazana na niepowodzenie. Premier mógł jeszcze próbować uzyskać poparcie ze strony KPN. W czasie rozmów

z rządem lider tej partii, Leszek Moczulski, zażądał dla siebie funkcji wicepremiera i ministra obrony. Kłopot polegał jednak na tym, że w archiwach MSW zachowała się jego teczka personalna i teczki pracy dokumentujące jego współpracę z komunistyczną tajną policją jako współpracownik o ps. Lech.

„OBALIĆ TEN RZĄD!”

4 czerwca 1992 r. w godzinach rannych minister Macierewicz wręczył przewodniczącym wszystkich klubów parlamentarnych koperty z listą zawierającą 64 nazwiska parlamentarzystów, członków rządu i ministrów Kancelarii Prezydenta, co do których zachowały się przynajmniej zapisy ewidencyjne świadczące o zarejestrowaniu ich jako tajnych współpracowników (różnych kategorii) byłej SB. W oddzielnej kopercie znajdowała się kolejna lista, która została wręczona prezydentowi, marszałkom Sejmu i Senatu, pierwszemu prezesowi Sądu Najwyższego oraz przesłana do Trybunału Konstytucyjnego. Na liście tej figurowały tylko dwa nazwiska – marszałka Sejmu Wiesława Chrzanowskiego oraz prezydenta Lecha Wałęsy.

Sposób, w jaki Macierewicz zdecydował się zrealizować pierwszą część uchwały Sejmu z 28 maja 1992 r., jest czytelny. Podstawą do sporządzenia listy były zapisy ewidencyjne Służby Bezpieczeństwa bez wskazywania, kto jest agentem, a kto nie. W dokumentacji, którą otrzymał każdy poseł, były podstawowe informacje zarówno o zniszczeniach

dokonanych w aktach SB, jak i metodologii sporządzenia listy. Specjalna notatka dołączona do listy informowała: „Minister spraw wewnętrznych pragnie kategorycznie stwierdzić, iż nie uważa się za upoważnionego, by określać, kto był, a kto nie był współpracownikiem Urzędu Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa. Minister spraw wewnętrznych może jedynie przekazać do wiadomości odnalezione w archiwach podległych mu służb dane operacyjne i archiwalne dotyczące tej kwestii”.

Jeden z czołowych działaczy KLD, Jacek Merkel, tak wspominał moment wykonania przez Macierewicza uchwały sejmowej o lustracji: „Rano [4 VI 1992 r.] odbieram telefon od Donalda. Tusk jako przewodniczący klubu parlamentarnego prosi mnie o natychmiastowy przyjazd do Warszawy, obecność obowiązkowa. Dzwonił resztą nie tylko do mnie, ale do wszystkich członków klubu. Więc ja szybko do banku, utworzyłem posiedzenie, pobyłem ze dwie godziny i w samochód. W Warszawie zjawiłem się między 5 a 6 po południu. Kamienne twarze. Pytam: – Co się stało? Donald mówi: – Wyciągnęli teczki, trzasnęli w trzech od nas. Co robimy? Ja: – To co? Atakujemy! Tusk mówi: – Wiesz, jedyne co można zrobić, to obalić ten rząd”.

Na liście przygotowanej dla Sejmu przez Macierewicza znajdował się również urzędujący prezydent. Początkowo prezydent znalazł się w defensywie. Próbuąc tłumaczyć, dlaczego jego nazwisko figuruje na liście z informacją o współpracy z SB w latach 1970–1976 pod pseudonimem Bolek, wydał oświadczenie dla Polskiej Agencji Prasowej: „Byłem przywódcą strajku, próbowałem różnych możliwości i różnych sposobów walki. Aresztowano mnie wiele razy. Za pierwszym razem, [w] grudniu 1970 roku, podpisałem 3 albo 4 dokumenty. Podpisałbym prawdopodobnie wtedy wszystko, oprócz zgody na zdradę Boga i Ojczyzny, by wyjść i móc walczyć. Nigdy mnie nie złamano i nigdy nie zdradziłem ideałów ani kolegów”.

To niejasne oświadczenie nie wykluczało możliwości istnienia kompromitujących fragmentów życiorysu Wałęsy po grudniu 1970 r. Jednak oświadczenie to zostało szybko wycofane i zastąpione innym, o zupełnie odmiennie treści: „Teczki ze zbiorów MSW uruchomiono wybiórczo. Podobny charakter ma ich zawartość. Znajdujące się w nich materiały zostały w dużej części sfabryko-

wane. [...] Zastosowana procedura jest działaniem pozaprawnym. Umożliwia polityczny szantaż. Całkowicie destabilizuje struktury państwa i partii politycznych. Kwestie etyczne związane z tą operacją, mającą już w swoim założeniu charakter manipulacji, pozostawiam bez komentarza”. Geneza wolty Wałęsy jest oczywista. Pomiędzy obiema depeszami, w czasie telefonicznych konsultacji z Geremkiem, Kuroniem i Moczulskim, prezydent zorientował się, że w Sejmie istnieje większość zdolna do natychmiastowego odwołania rządu.

NOCNA ZMIANA

W sejmowych kuluarach prezydent spotkał się z grupą liderów czołowych ugrupowań politycznych. Główną rolę w obradach, oprócz Wałęsy, odgrywał inny polityk mający sporo do stracenia – Leszek Moczulski. Oto fragment prowadzonych wówczas rozmów.

Moczulski: „Właściwie tak tuśmy doszli do wniosku, że można nawet w tej chwili powołać nowego premiera na tak zwane porozumienie dżentelmeńskie, żeby na tydzień był premierem. W ciągu tygodnia uformujemy koalicję”.

Wałęsa: „Wy nie wiecie, jak daleko oni zaszli, dlatego trzeba ich błyskawicznie. Natychmiast, dzisiaj!”.

Pawlak: „Tylko że to jest trochę gangsterski chwyt”.

Wałęsa: „Słuchajcie, bo jak [Pawlak] nie przejdzie, to jesteśmy w bardzo trudnej sytuacji. Toż możemy się porozumieć, że później będziemy robić różne układanki jeszcze. Ale natychmiast trzeba zablokować tych ludzi, żeby nie przyszli do biura”.

Tusk: „Jeśli SLD nie skrewi, to [odwołanie rządu] przejdzie”.

Wałęsa: „Dzisiaj, natychmiast, dzisiaj. Ja jutro nie mogę ich wpuścić do biura!”.

Z chwilą powrotu prezydenta i liderów poszczególnych klubów na salę sejmową los rządu Olszewskiego był przesądzony. W jego obronie stanęli jednak posłowie: Józef Frączek (PL), Jarosław Kaczyński (PC) oraz Stefan Niesiołowski (ZChN). Ten ostatni mówił z trybuny sejmowej: „Jest to rząd autentycznego,

a nie deklaratywnego antykomunizmu. Jest to rząd odejścia od »okrągłego stołu«, odejścia od »grubej kreski«; [...] jest to jakby symboliczny powrót [...] do kontraktu »okrągłego stołu«. W imię czego, panowie, sięgacie po władzę? Co macie do zaproponowania? Co właściwie chcecie [...]. Robicie błąd polityczny i Polska tego błędu politycznego wam nie zapomni”.

W debacie brał też udział poseł Kazimierz Światoń, który bez ogródek stwierdził: „Jako stary opozycjonista, odpowiedzialny za swoje słowa, pragnę powiedzieć, że na drugiej liście jest pan prezydent jako agent Służby Bezpieczeństwa” (słowa te zostały wykreślone z oficjalnego protokołu posiedzenia Sejmu). Kiedy Światoń wypowiadał swoje słowa, siedzący w loży prezyden-

kiej Wałęsa wybuchnął śmiechem. Po burzliwej debacie rząd został odwołany zdecydowaną większością głosów (za 273 posłów, przeciw było 119, a 33 wstrzymało się od głosu). Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami 5 czerwca 1992 r. na premiera wybrano Waldemara Pawlaka. Nowy premier w pierwszej kolejności doprowadził do usunięcia szefów MON i MSW. Kamera prezydencka uchwyciła interesującą scenę, w której Wałęsa odpytuje Pawlaka z tego, co ma mówić i robić. Pawlak: „Potem po

powołaniu składam podziękowanie... sytuacja jest dramatyczna, wnioszek o MSW i MON, i tak czyszczę sobie UOP”. Wałęsa: „Tak jest!”.

PRZEMYSŁ POGARDY

Wykonawcy uchwały lustracyjnej Sejmu z 28 maja 1992 r. stali się obiektem zmasowanej kampanii propagandowej. Jej ton nadawali postkomuniści oraz politycy związani z Unią Demokratyczną i ze środowiskiem „Gazety Wyborczej”. Przykładem takiej kampanii może być książka „Teczki, czyli widma bezpieki” (pod red. Jacka Snopkiewicza, współpraca Aleksandra Jakubowska i Dariusz Wilczak). Na okładce przedstawiono twarz Macierewicza z charakterystycznym paskiem na oczach, przez co zapewne sugerowano,



Marszałek Sejmu Wiesław Chrzanowski. FOT. ADAM JAGIELAK/WPROST

■ że jest on podejrzany o przestępstwo. Pod zdjęciem widnieje komunikat: „Czarny scenariusz» czerwcowego przewrotu”. Jeden z autorów tej książki, Jacek Podgórski, po latach okazał się funkcjonariuszem UOP na etacie niejawnym, który jako dziennikarz miał publikować w prasie artykuły mające skompromitować polityków prawicy.

Także Władysław Frasyniuk i Zbigniew Bujak publicznie oskarżyli wówczas Macierewicza, że w czasie stanu wojennego wyszedł z podziemia na skutek porozumienia z gen. Czesławem Kiszczakiem. Z kolei Piotrowi Naimskiemu zarzucili podpisanie tzw. lojalki, czyli deklaracji lojalności wobec władz w czasie trwania stanu wojennego. Oba oskarżenia nie zostały poparte żadnymi dowodami. Realizatorów uchwały Sejmu atakowali m.in.: poseł UD Jacek Taylor, Bronisław Geremek, Jacek Kuroń i Jan Nowak-Jeziorański. Najważniejsze media w kraju przedstawiały lustrację jako spisek ludzi kierujących się niskimi pobudkami. Janina Paradowska z „Polityki” pisała: „Uderzyć w prezydenta, niektórych ministrów, na których zresztą używano sobie od dawna, wyrzucić presję na potencjalnych koalicjantów, dokonać przegrupowania w niektórych partiach politycznych. [...] Wielkie słowa o konieczności oczyszczenia, moralnym zadośćuczynieniu, o Polsce, ugrzęzłej w manipulacjach, kłamstwach, w chorobliwej wręcz chęci utrzymania się przy władzy”.

W podobnym stylu pisało wielu dziennikarzy, wśród nich bardzo groźny agent SB pracujący w „Gazecie Krakowskiej” i „Gazecie Wyborczej” Lesław Maleszka. Adam Michnik zapowiadał bliski wybuch wojny domowej: „Polska straciła swoją niepowtarzalną historyczną szansę. Polska zrujnowała swój międzynarodowy autorytet i prestiż. Polska zaczyna być traktowana jak bananowa republika. Bardzo chciałbym się mylić, lecz jeżeli dekomunizatorzy będą kontynuować dekomunizację według receptury i technologii Antoniego Macierewicza, Polska może stanąć w ogniu”.

Działania prezydenta Wałęsy wsparł gen. Jaruzelski – w przeszłości współpracownik stalinowskiej Informacji Wojskowej o ps. Wolski. W jednym z wywiadów twierdził: „Rad jestem, że sprawy zostały opanowane i chcę podkreślić w tym szczególną rolę Lecha Wałęsy”. Głos zabrał również gen. Czesław Kiszczak: „Nie sądziłem, że zostanie rozpetana afera teczkowa, że



Odchodzący premier o teczkach: – Tak, to jest lektura porażająca... FOT. TOMASZ WIERZEJSKI/FOTONOVA

Sejm przyjmie uchwałę lustracyjną, ze wszystkimi jej konsekwencjami. Nie po to organizowaliśmy »okrągły stół«, nie po to byłem jednym z jego konstruktorów, by działało się to, co się dzieje. [...] Był to najdogodniejszy moment [do oddania władzy], przeciwnik był tak osłabiony, że uznaliśmy, że obędzie się bez jakichkolwiek awantur. Inna rzecz, że nie przewidzieliśmy, iż rząd premiera Mazowieckiego, że grupa mądrych ludzi z obozu »Solidarności«, tak łatwo odda władzę oszołomom politycznym. Zakładaliśmy, że to będzie stabilna władza”.

Politycy związani z rządem Jana Olszewskiego (Jarosław Kaczyński, Jan Parys, Antoni Macierewicz i Adam Głapiński), pozbawieni dostępu do mediów i zepchnięci na margines życia politycznego, organizowali antywałęsowskie demonstracje. Ważnym wydarzeniem stała się opublikowana w styczniu 1993 r. przez Piotra Semkę i Jacka Kurskiego książka „Lewy czerwcowy” ujawniająca kulisy obalenia rządu Olszewskiego. Otoczenie prezydenta odmówiło ustosunkowania się do informacji podanych w publikacji, a rzecznik prasowy Wałęsy, minister Andrzej Drzycimski, nazwał głównych bohaterów książki „biegnącymi w szparach chodników insektami”. W radiu sugerował, że są oni agentami SB.

Przeciwnicy Lecha Wałęsy mieli również kłopoty formalno-prawne. W marcu zastępca prokuratora generalnego (potem szef Kancelarii Prezydenta RP Lecha Wałęsy) Stanisław Iwanicki złożył wnio-

sek o uchylenie immunitetu poselskiego Antoniemu Macierewiczowi, który – wedle prokuratury – przysyłając Sejmowi informacje żądane na mocy uchwały z 28 maja 1992 r., nie zachował stosownych przepisów, przez co „ujawnił tajemnicę państwową”, którą wcześniej nałożono „ze względu na bezpieczeństwo państwa”. Podobny wniosek złożono w sprawie Jarosława Kaczyńskiego. Prokuratura rozpoczęła kolejne śledztwa i postępowania w sprawie publikowania plakatów, artykułów prasowych i książek „pomawiających” urzędującą głowę państwa o współpracę z SB.

W rozgrywki polityczne zaangażowano także UOP i prokuraturę. Przy gabinecie ministra Andrzeja Milczanowskiego istniał wówczas specjalny zespół inspekcyjno-operacyjny kierowany przez byłego oficera SB płk. Jana Lesiaka. W tym samym czasie prezydent Wałęsa wraz z grupą najwyższych urzędników państwowych i funkcjonariuszy służb specjalnych „wyprowadził” z archiwum Urzędu Ochrony Państwa najważniejsze dokumenty dotyczące działalności „Bolka”.

Sam Wałęsa natomiast nigdy nie wystąpił z inicjatywą ustawodawczą w sprawie lustracji. Za to kilka miesięcy później rozwiązał parlament, otwierając postkomunistom drogę do władzy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Artykuł oparty jest na książce Sławomira Cenckiewicza „Sprawa Lecha Wałęsy”, Poznań 2008

RZĄD JANA OLSZEWSKIEGO



Jan Olszewski
prezes Rady Ministrów



Antoni Macierewicz
minister spraw
wewnętrznych



Zbigniew Dyka
minister sprawiedliwości,
prokurator generalny



Marian Miśkiewicz
minister zdrowia i opieki
społecznej



Jerzy Eysymontt
minister-kierownik Centralnego
Urzędu Planowania



Krzysztof Skubiszewski
minister spraw
zagranicznych



Adam Glapiński
minister współpracy
gospodarczej z zagranicą



Andrzej Stelmachowski
minister edukacji
narodowej



Gabriel Janowski
minister rolnictwa
i gospodarki żywnościowej



Andrzej Siciński
minister kultury i sztuki



Stefan Kozłowski
minister ochrony środowiska,
zasobów naturalnych i leśnictwa



Ewaryst Waligórski
minister transportu
i gospodarki morskiej

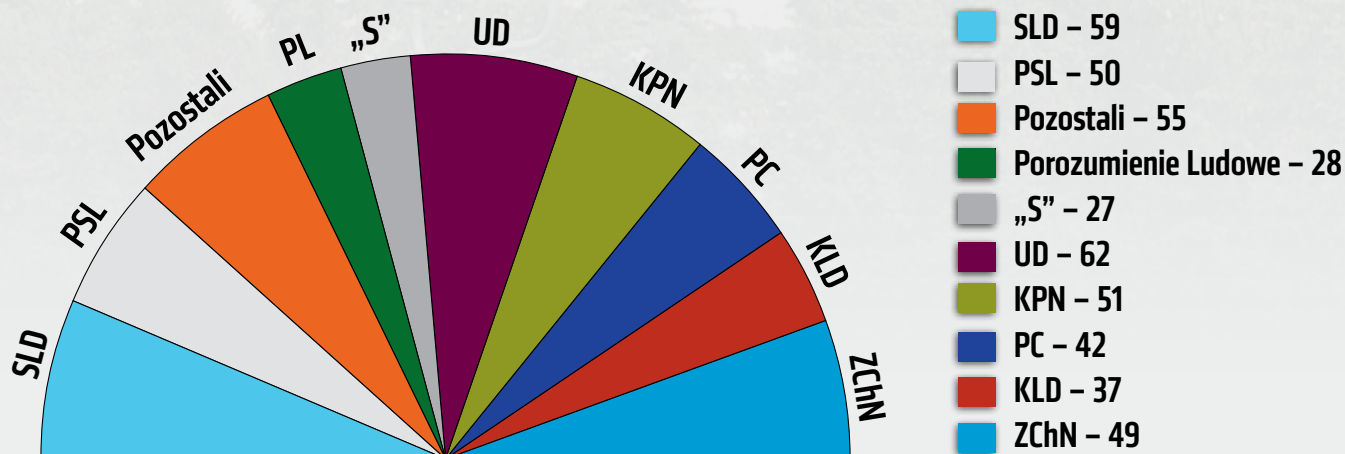


Jerzy Kropiwnicki
minister pracy i polityki
socjalnej



Wojciech Włodarczyk
minister-szef Urzędu Rady
Ministrów

PODZIAŁ MANDATÓW W SEJMIE I KADENCJI (1991 R.)





Z premierem Janem Olszewskim
o ujawnieniu listy TW
rozmawia Piotr Semka

0 kwartał za wcześnie



Wtedy metody nacisku na rząd były
takie same jak dziś... FOT. ADAM JACIELAK/WPROST

PIOTR SEMKA: Kiedy pojawiła się pierwsza wizja lustracji? Większość historyków wiąże tę operację z wnioskiem Janusza Korwin-Mikkego w Sejmie w maju 1992 r.

JAN OLSZEWSKI: Nie, zamiar ujawniania zawartości archiwów SB i przekonanie, że trzeba przeprowadzić lustrację, pojawiły się w chwili powstania mojego rządu w grudniu 1991 r. Uważaliśmy, że ujawnienie akt SB jest warunkiem uzdrowienia sytuacji w Polsce. Trzeba było zlikwidować pole do szantażu. Ujawnienie listy osób zajmujących istotne stanowiska w państwie, które w archiwach SB figurowały jako tajni współpracownicy, planowaliśmy na początek jesieni.

Dlaczego tak późno?

Ponieważ zespół, który pracował w MSW, badając materiały, wiosną 1992 r. jeszcze do końca nie zbadał zasobów archiwalnych dawnej SB.

Kiedy powstał ten zespół?

Krótko po powołaniu rządu, zaraz na początku 1992 r. Kierował nim Piotr Wojciechowski.

Czyli nawet bez wniosku uchwały lustracyjnej, zgłoszonego przez Korwin-Mikkego w 1992 r., i tak ją państwo planowali?

Tak, tyle że później. Powtarzam raz jeszcze. Myśleliśmy o wrześniu 1992 r. Lustracja była planowana jako akcja oparta na znacznie większej znajomości archiwów, przede wszystkim wojskowych, a także mająca pewną ustaloną procedurę. W czerwcu 1992 r. musieliśmy improwizować. Do zespołu weszli młodzi ludzie, którzy ze względu na wiek byli wolni od podejrzeń o jakiekolwiek uwikłania z lat PRL. Założyliśmy również, że zaczną oni pracę w archiwum od zapoznania się z aktami swoich zwierzchników, czyli tych, którzy ich powołali do komisji. Chodziło o to, by mogli się przekonać, czy ich zwierzchnicy w MSW sami są „czyści”.

To był zespół, który miał dostęp do wszelkich materiałów, swobodę wnioskowania, wysuwania propozycji. Myślę, że mogłby wykonać swoje zadanie, gdybyśmy dotrwali do jesieni. Był to dla mnie warunek reformowania kraju – trzeba przeprowadzić lustrację albo nie będziemy mieć możliwości swobodnego działania.

Wtedy też zrodził się pomysł, aby pod kierownictwem jakiejś osoby z dużym doświadczeniem,

także życiowym, stworzyć specjalną komisję, która wyjaśniałaby skomplikowane wypadki?

Rzeczywiście, istniała koncepcja powołania specjalnego organu, który miał weryfikować dane wynikające z materiałów bezpieki.

Pomysł komisji pod przewodnictwem prof. Adama Strzembosza zrodził się pod wpływem tego, co stało się w końcu maja, gdy Korwin-Mikke wystąpił ze swoim projektem uchwały lustracyjnej, który został przyjęty w tym samym dniu. Notabene, treść tego wniosku była absurdalna – w ciągu siedmiu dni nie można w sposób sensowny przygotować takiej listy.

Taki był wyznaczony termin? Siedem dni?

Jeśli chodzi o parlament, rząd, ministrów, to tak – siedem dni. Antoni Macierewicz radził się mnie, co zrobić. Na zdrowy rozum powinniśmy odmówić wykonania tej uchwały sejmowej. Nie mogliśmy jednak tak postąpić, bo odmowa wykonania uchwały parlamentu musiałaby być traktowana jako zgłoszenie gotowości dymisji rządu. Zdecydowaliśmy się odpowiedzieć pozytywnie, ale obwarować tę listę naszymi warunkami.

Jakie to były warunki?

Pierwszy to całkowita tajność listy.

Czyli dostęp do niej mieli tylko parlamentarzyści?

Tak.

Czy była jakaś sankcja karna za jej ujawnienie?

Obowiązywały ogólne przepisy, w myśl których za ujawnienie tajemnicy państwowej groziła wysoka kara. To były przepisy jeszcze z czasów komunistycznych.

Uchwała określała, że to jest tajna lista. Kto dokładnie miał w nią wgląd – parlamentarzyści czy szefowie klubów?

Szefowie klubów.

Członkowie klubów nie?

Decyzja była pozostawiona szefom klubów. Jednocześnie proponowaliśmy, żeby Sejm uzupełnił tę uchwałę, powołując organ weryfikacyjny do spraw tych materiałów. Było bowiem wyraźnie powiedziane, że to te, które zostały do tej pory znalezione w archiwach bezpieki, ale nie możemy wziąć odpowiedzialności za ich autentyczność – trzeba ją

jeszcze zweryfikować. O osobach na tej liście można było powiedzieć jedynie tyle, że przez służby bezpieczeństwa były traktowane jak tajni współpracownicy. Jednak czy to było stanowisko uzasadnione czy nie – to było już kolejne pytanie i w razie zażaleń takie sprawy miała rozpatrywać specjalna komisja.

Zwrócił się pan do Adama Strzembosza, by przewodniczył specjalnej komisji?

Tak, zwróciłem się, żeby jako pierwszy prezes Sądu Najwyższego podjął się misji jej powołania – oczywiście formując ją ze składu Sądu Najwyższego. On się zgodził.

A dlaczego po odwołaniu pana rządu nikt nie wrócił do tej koncepcji?

To nie do mnie pytanie.

A jak pan myśli?

Myślę, że ludzie wtedy byli przestraszeni rozmiarami reakcji i sposobami działania strony antylustracyjnej, która

Jaki wniosek wyciągnął pan ze swojego półrocznego okresu rządów?

Taki, że ci, którzy wtedy poprzez działania tego rządu byli zagrożeni, zrobią wszystko, żeby nie dopuścić do żadnej kolejnej zmiany kierunku transformacji.

Jak miała wyglądać ta zasadnicza zmiana?

Wiedziałem, że biorę odpowiedzialność za kierunek polityki państwowej i trzy zadania traktowałem jako główne. Po pierwsze, zabezpieczenie majątku państwowego czy społecznego, zagospodarowanie go w taki sposób, by zapewnił rozwój gospodarczy kraju. Po drugie, przeprowadzenie akcji prywatyzacji i reprivatyzacji, wyprowadzenie Polski ze strefy wpływów postsowieckich i docelowo wprowadzenie Polski do Paktu Północnoatlantyckiego. Po trzecie, przygotowanie koncepcji przekształcenia aparatu państwowego, tak by był zdolny do wykonywania zadań

Myśleliśmy o ujawnieniu akt we wrześniu 1992 r. Było to planowane jako akcja oparta na znacznie większej znajomości archiwów, przede wszystkim wojskowych, a także mająca pewną ustaloną procedurę. W czerwcu 1992 r. musieliśmy improwizować

zdołała obalić rząd i nie ukrywała, że wszystkich, którzy chcieliby taką akcję przeprowadzić, spotka określony los. Proszę pamiętać, że nie można było mieć pewności, czy w ogóle skończy się tylko na odwołaniu rządu, ponieważ podejmowano działania, które nie miały nic wspólnego z prawem ani ze standardową procedurą odwoływania rządu. Mimo tego, że ja zostałem odwołany jako premier, moi ministrowie powinni sprawować funkcję do momentu, aż Sejm wyłoni nowego premiera, który powoła rząd.

A jak było?

Było tak, że szef MSW Antoni Macierewicz i szef UOP Piotr Naimski nie zostali w ogóle wpuszczeni do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Jak po tym wszystkim zachował się prof. Strzembosz?

Nie wiem, nikt się do niego nie zwracał w tej sprawie, więc nie zajmował stanowiska.

reformy, która w tym okresie czekała Polskę – poza gospodarką był to przede wszystkim szeroko pojęty obszar edukacji i nauki.

Jednak gdy objąłem ten urząd, zorientowałem się, że najpierw trzeba ratować finanse publiczne, bo były w stanie katastrofalnym – w takim stanie zostawił je wicepremier Leszek Balcerowicz.

Chodzi o niski poziom rezerw budżetowych?

Wszyscy do dziś uważają, że plan Balcerowicza odniósł wielki sukces, jednak jesienią 1991 r. Międzynarodowy Fundusz Walutowy ocenił stan finansów jako taki, który uniemożliwia współpracę z polskim rządem. Jedną z decyzji Balcerowicza podjętą jesienią 1991 r. było uruchomienie maszynki drukarskiej, czyli powrót do tego, co robił rząd Rakowskiego – rozpoczęcia druku pustego pieniądza. Gdy objąłem urząd premiera, zapytałem resort finansów, ile tego pustego pieniądza wydrukowano. ■

■ Nikt nie był w stanie podać mi dokładnych danych. Sumę tę szacowano między 30 a 60 bln zł.

Mówi się, że decydująca dla losów pana rządu była sprawa baz sowieckich.

Sprawę baz dziedziczyliśmy po poprzednich rządach, bo wtedy toczyły się – czy raczej były pozorowane – rozmowy na temat wyprowadzenia garnizonów rosyjskich z Polski. Sama zasada wydawała się bezsporna, ponieważ Rosjanie się do tego zobowiązali, ale zupełnie nie mieli chęci się wycofywać.

Potem Rosja ogłosiła: wycofamy się, jeśli na terenie byłych baz Armii Czerwonej powstaną eks-terytorialne spółki mające status ponadnarodowy.

Tak, taka propozycja ze strony Rosjan padła, gdy zaczęliśmy naciskać na koniec negocjacji w tej sprawie i domagaliśmy się, by wyraźnie określili termin ewakuacji baz z Polski. Oni wyznaczili

narodowej wypowiedział się w sprawie wzajemnych stosunków między nim a Biurem Bezpieczeństwa Narodowego prezydenta RP. Jednak w tym momencie za ważniejszą sprawę uznałem zablokowanie utworzenia spółek na terenie baz sowieckich. Siłą rzeczy sprawa ministra Parysa zeszła na drugi plan.

A jak wspomina pan czerwcową noc, kiedy pana odwołano? Pamiętam taką scenę, gdy jeden z posłów Unii Wolności dosyć obraźliwie krzyczał z ostatniej ławki pod pana adresem. Czy to było dla pana coś nowego?

Niczego nowego tam nie było, bo wszystko, co najgorsze, powiedziano mi lub wykrzyczano już wcześniej.

Dla pana jednak – człowieka Solidarności – ogłędanie ludzi, których pamiętał pan z czasów wspólnych inicjatyw w latach 80. w roli uczestników koalicji strachu przed teczkami, to chyba było coś nowego. Ci ludzie pokazali wtedy nowe oblicze.

To częste sytuacje, do których w czasie PRL byłem przyzwyczajony. Do pewnych ludzi trzeba podchodzić z pewną ostrożnością.

Jak dziś, z perspektywy czasu, patrzy pan na kłopoty obecnego rządu? Wtedy nikt nie wpadł na pomysł, by angażować w naszą sytuację zagranicę, dziś jest to na porządku dziennym.

To było bardzo trudne, bo robiono prawie wszystko, by ten rząd skom-

podnosić tu żadnych spraw, bo nasz rząd będzie bardzo krótko trwał.

W trakcie mojej wizyty w USA pan ambasador Kazimierz Dziewanowski, po skontaktowaniu się z prezydentem Wałęsą, zadzwonił do mnie i powiedział, że otrzymał polecenie, iż nie może wziąć udziału w rozmowach polsko-amerykańskich. To był sygnał dla Amerykanów, że nasz rząd nie jest miarodajny, że o wszystkim decyduje Wałęsa. Podczas naszej ostatniej rozmowy ambasador Dziewanowski powiedział mi szczerze: – Panie premierze, pan budzi taką sympatię, że aż pana szkoda.

Jak według pana wyglądają – generalnie rzecz ujmując – problemy obecnego rządu w porównaniu z tymi, z którymi musiał się borykać pana rząd?

Jako premier miałem wtedy nieporównanie mniejsze pole manewru. W tamtym rządzie trzy resorty – obrony narodowej, spraw zagranicznych i spraw wewnętrznych – mogły być obsadzone tylko za zgodą prezydenta.

W pana rządzie ministrem spraw zagranicznych był Krzysztof Skubiszewski, narzucony panu przez Wałęsę.

Nie do końca narzucony. Skubiszewskiego pamiętałem z okresu, gdy byłem doradcą w sekretariacie Episkopatu Polski, gdzie on też był. Od czasów rządu Mazowieckiego był on ministrem spraw zagranicznych i dlatego ja też zaproponowałem mu tę funkcję, ale on najpierw odmówił. Gdy dowiedział się, że mam na to miejsce kogoś innego – prof. Andrzeja Stelmachowskiego – w końcu się zgodził.

Długo trwały przygotowania do umowy regulującej stosunki między Polską a Federacją Rosyjską i nagle okazało się, że Wałęsa jest zaproszony do Moskwy, by ją podpisać. Kwestią zasadniczą był termin wycofania garnizonów sowieckich z terenu Polski. Kiedy Wałęsa przyjął zaproszenie do Moskwy, wyszło na jaw, że strona rosyjska zgłasza do tej umowy dodatkowy protokół. Wiązał on wyprowadzenie garnizonów rosyjskich z Polski z klauzulą przekazania tych terenów przedsiębiorstwom ponadnarodowym. W związku z tym zwołałem specjalne tajne posiedzenie rządu, które przyjmowało stanowisko wykluczające taką możliwość. Umowa była więc do podpisania, ale jeden z protokołów był nieuzgodniony. Dopiero parę dni przed wizytą dowiedziałem się drogą nieformalną, że ten dokument został paraflowany przez przedstawicieli MSZ mimo negatywnego stanowiska rządu.



Długo trwały przygotowania do umowy między Polską a Federacją Rosyjską...

FOT. WOJCIECH ŁASKI/EAST NEWS

termin, ale zastrzegali, że terytoria tych baz będą przekazane rosyjsko-polskim, mieszanym, autonomicznym eksterytorialnym spółkom.

Pan się na to nie zgodził.

Oczywiście, że nie. Rząd się nie zgodził.

Czasem pojawiają się zarzuty, że za słabo bronił pan Jana Parysa, który był atakowany przez Lecha Wałęsę. Co pan na to?

Niewątpliwie powinienem go bronić bardziej zdecydowanie, ale przyznam, że parę jego posunięć było ryzykownych, choćby takie, gdy jako minister obrony

promitować za granicą. Ze swoją pierwszą wizytą zagraniczną pojechałem do Watykanu, rozmawiałem z ówczesnym premierem Włoch Giulio Andreottim, który powiedział mi rzecz proroczą – dopóki kanclerzem Niemiec jest Helmut Kohl, który pamięta wojnę, dopóty jeszcze można wierzyć, że stosunki z Niemcami będą dobre. Kiedy jednak przyjdzie jego następca z innego pokolenia, będziemy mieli duże trudności. Dowiedziałem się wtedy, że w przededniu mojej wizyty w Rzymie nasz przebywający tam ambasador zwołał naradę swoich pracowników i poinformował ich, że nie należy

Zażądałem spotkania z Wałęsą, opowiedziałem mu o tej sytuacji, która nosiła znamiona zdrady stanu, przyznając, że nie mogę ustalić źródła tej decyzji. On niczego nie mówił wprost, ale dał do zrozumienia, że „chcą nas zrobić”, i sugerował, że sam też niczego nie wie. Żądałem spotkania z marszałkiem Sejmu i marszałkiem Senatu oraz ministrem spraw zagranicznych, aby uzyskać od nich kategoryczne potwierdzenie, że nie uznajemy żadnych spółek na terenie dawnych baz.

I wtedy rozpoczęła się historia: Olszewski swoimi groźbami doprowadził do ryzyka międzynarodowego skandalu.

Tak, ale marszałkowie Sejmu i Senatu podzielali milcząco moje zdanie. Chodziło o to, żeby wydobyć od Wałęsy zapewnienie, że nie podpisze w Moskwie umowy z tym niesłychanym zapisem.

Tymczasem nieprzychylnie panu media zaczęły budować kłamliwą narrację – paragraf o bazach jest nieważny, Olszewski wymyślił sobie jakieś zagrożenia i na złość Wałęsie o mało nie doprowadził do awantury z Rosjanami.

Wałęsa tak nie mówił. Twierdził, że sam to jakoś załatwi, gdy zostawi mu się wolną rękę.

Pan się obawiał tego „jakoś”.

Uzgodniliśmy, że protokół zawierający postanowienie o bazach jest nie do przyjęcia. Wałęsa może podpisywać różne rzeczy, ale na to się zgodzić nie wolno.

Jaka była reakcja Wałęsy?

Powtarzał, że jakoś to załatwimy. A ja żądałem ujawnienia tego, kto zgodził się na ten protokół.

Kto to był?

Parafował go jeden z wiceministrów spraw zagranicznych. Przekazano mi jego nazwisko, ale nie jestem pewny, czy ta parafka była na pewno złożona przez niego. Nie chcę wiązać jego nazwiska z tą sprawą, bo jestem pewny, że nie zrobił tego samowolnie, musiał mieć polecenie albo Skubiszewskiego, albo Wałęsy. Kiedy odprowadzałem Wałęsę do samolotu, mówiłem znów, że protokołu podpisać nie możemy, on przyjął to do wiadomości. Gdy wróciłem z lotniska, w sekretariacie pokazano mi aktualny komunikat z wypowiedzi rzecznika prasowego prezydenta – w czasie, gdy się żegnaliśmy, oni mieli konferencję prasową.



Najpierw trzeba było ratować finanse publiczne, bo były w stanie katastrofalnym... FOT. TOMASZ WIERZEJSKI/FOTONOWA

Dziennikarze pytali, czy to prawda, że istnieje sprzeciw rządu wobec protokołu w sprawie baz, który ma być podpisany z Rosją. On odpowiedział – nie, takiego zastrzeżenia nie ma, przynajmniej na piśmie.

A było na piśmie?

O tyle, że była uchwała rządu – nie wszyscy o niej wiedzieli. Podjąłem decyzję, by tę niejawną decyzję rządu przesłać szyfrowaną depeszą Wałęsie do Moskwy. I w rewanżu rozpięto awanturę.

Podczas naszej ostatniej rozmowy ambasador Dziewanowski powiedział mi szczerze: – Panie premierze, pan budzi taką sympatię, że aż pana szkoda

Wtedy poczuł pan ze strony Wachowskiego, że będzie zemsta.

Wachowski nie ukrywał, że odwoła rząd. Chyba jeszcze w samolocie oświadczył to publicznie.

Co to były za gigantyczne siły, które tak oddziaływały na Wałęsę?

Nie chcę mówić o roli Wachowskiego, ale wszyscy wiedzieli, kim on był. Wskazałbym jednak na księdza kapelana Wałęsy, Franciszka Cybulę.

Miał na niego wpływ?

Gdyby Wałęsa powołał na kapelana ks. Jankowskiego, byłby to oczywisty wybór. Jeśli nie on, to na Wybrzeżu było jeszcze paru księży, którzy angażowali się w strajki itd. Natomiast ks. Cybula to osoba, o której nikt wcześniej nic nie wiedział. Tymczasem kiedy chciało się rozmawiać z Wałęsą, trzeba było wcześniej zwrócić się do Cybuli. On zawsze był milczący, robił notatki.

Wachowski też zawsze był przy Wałęsie. Na ogół.

Panie premierze, kiedy patrzy pan na obecne problemy dzisiejszego rządu Beaty Szydło i naciski, jakim on podlega, widzi pan analogie do sytuacji sprzed 25 lat?

Metody prasowe, propagandowe są takie same.

A jakie są szanse przetrwania tego rządu?

Ten rząd w przeciwieństwie do tego z 1991 r. ma zdecydowaną większość w Sejmie. Ma też przyjaznego prezydenta. To niezwykle ważne.

Dziękuję za rozmowę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Niniejszy wywiad jest częścią książki Piotra Semki „Recydywa? Po 24 latach mówią: Kaczyński, Macierewicz, Olszewski, Parys, Glapiński, Kostrzewa-Zorbas” wydanej przez Editions Spotkania w 2016 r.

UOP kontra patrioci

Pułkownik Jan Lesiak – inwigilator
prawicy. Za PRL – w SB, za III RP
– w UOP FOT. ADAM JAGIELAK/WPROST



Adam Chmielecki

Trudno o lepszy dowód na to, że III RP w latach 90. była państwem postkomunistycznym, niż inwigilacja i dezintegracja prawicy prowadzone przez Urząd Ochrony Państwa wraz z częścią obozu postsolidarnościowego

Kontynuacją działań politycznych przeciwników rządu Jana Olszewskiego, po jego obaleniu, było przejęcie kontroli nad służbami specjalnymi, a później wykorzystanie ich do nielegalnych i nieakceptowanych w demokratycznych państwach działań wobec legalnie działającej opozycji politycznej. Już 5 czerwca 1992 r. nowym szefem Urzędu Ochrony Państwa zamiast Piotra Naimskiego został Andrzej Milczanowski, człowiek Lecha Wałęsy. Szybko, bo już w lipcu, został on ministrem spraw wewnętrznych w rządzie Hanny Suchockiej. Nowym szefem UOP stał się dotychczasowy zastępca Milczanowskiego, Jerzy Konieczny, ale sam Milczanowski zachował nadzór nad działalnością cywilnych tajnych służb.

PRAWICA NA CELOWNIKU

Pod rządami Milczanowskiego i Koniecznego UOP na szeroką skalę prowadziło działania operacyjne inwigilujące i dezintegrujące praktycznie wszystkie najważniejsze partie prawicowe znajdujące się w opozycji do rządu Hanny Suchockiej i prezydenta Lecha Wałęsy – Ruch dla Rzeczypospolitej, Ruch Trzeciej Rzeczypospolitej, Ruch Chrześcijańsko-Narodowy Akcję Polską i przede wszystkim Porozumienie Centrum. Działania te objęły także liderów tych ugrupowań: Jana Olszewskiego (RdR), Jana Parysa (RTR), Antoniego Macierewicza (AP) i Jarosława Kaczyńskiego (PC). Wśród inwigilowanych polityków znaleźli się również Adam Glapiński z PC, Romuald Szeremietiew z RdR i bezpartyjny Lech Kaczyński, w latach 1991–1993 poseł z listy PC. Co ważne, ten ostatni w latach 1992–1995 był również prezesem Najwyższej Izby Kontroli, jednak działania przeciw niemu prowadzono przed objęciem funkcji państwowej.

UOP prowadził działania także przeciw ugrupowaniom i politykom lewicy

– Polskiej Unii Socjaldemokratycznej oraz Polskiej Partii Socjalistycznej i jej liderowi Piotrowi Ikonowiczowi. Te środowiska szybko jednak stały się marginesem polskiej sceny politycznej lub wręcz z niej zniknęły. Nie można również wykluczyć, że włączono je do działań operacyjnych głównie dla dezinformacji i przykrycia faktu, że najważniejszym celem było rozbicie, skompromitowanie i trwale wyeliminowanie z życia publicznego najbardziej antykomunistycznej prawicy. W nieznacznym stopniu ówczesne działania UOP odnosiły się także do Socjaldemokracji RP i Konfederacji Polski Niepodległej.

INSTRUKCJA 0015/92

26 października 1992 r. w UOP powstała tajna instrukcja nr 0015/92, która (co prawda w zawaalowanej formie) mówiła o prowadzeniu działań operacyjnych wobec członków ugrupowań politycznych uznanych za ekstremistyczne i antypaństwowe. Dokument podpisał ówczesny dyrektor Biura Ana-

Z działalnością zespołu Lesiaka wiąże się m.in. wypadek samochodu Jarosława Kaczyńskiego pod Mławą

liz i Informacji UOP Piotr Niemczyk. Co charakterystyczne, ten funkcjonariusz służb był w swoim czasie związany ze środowiskiem politycznym najbardziej krytycznie nastawionym do działalności antykomunistycznej prawicy. Niemczyk w latach 2001–2004 był sekretarzem generalnym Unii Wolności.

Instrukcja 0015/92 została uchylona przez szefa UOP w maju 1993 r., ale była to tylko reakcja na ujawnienie

faktu jej istnienia przez Jarosława Kaczyńskiego, obliczona na uniknięcie większych reperkusji politycznych i medialnych. Z kolei dla polityków PC i pozostałych partii prawicy było to tylko potwierdzenie domysłów, które snuli już wcześniej. Podejrzane i niewyjaśnione incydenty z ich telefonami oraz samochodami sugerowały od jakiegoś czasu, że są podsłuchiwani i śledzeni. Z kolei poufne informacje „wyciekające” z rozmów w wąskim gronie wskazywały, że w środowiskach politycznych prawicy umiejscowione są „tajne osobowe źródła informacji”.

Uchylenie instrukcji 0015/92 było zabiegiem de facto marketingowym także dlatego, że to Biuro Analiz i Informacji prowadziło zasadniczo działania operacyjne przeciw prawicy (mimo że w tym biurze w 1993 r. powstał Wydział VI, który miał zajmować się „operacyjnym rozpracowaniem” opozycyjnych wobec rządu partii i związków zawodowych oraz organizowanych przez nich akcji).

W te działania zaangażowany był pion kontrwywiadu UOP, którego funkcjonariusze mieli np. zrywać plakaty informujące o wielkiej manifestacji przeciw prezydenturze Lecha Wałęsy w 1993 r. w rocznicę wydarzeń z 4 czerwca 1992 r. Szef Zarządu Kontrwywiadu UOP płk Konstanty Miodowicz (późniejszy polityk PO) jeszcze w lipcu 1995 r. podpisał notatkę służbową z poleceniem: „Proszę ponownie ustawić źródło na kierunek rozpoznać wewnątrz krajowych, a w szczególności środowisk prawicowych”.

SZAFA LESIAKA

Jednak głównym ośrodkiem zwalczania opozycyjnych wobec rządu Suchockiej i prezydenta Wałęsy środowisk prawicowych był Zespół Inspekcji i Operacji Gabinetu Szefa UOP, którym kierował płk Jan Lesiak. Zespół Lesiaka istniał od 1991 r. (jako zespół nieformalny, otrzymujący zadania bezpośrednio od szefa UOP, już od września 1990 r.). Początkowo miał zajmować się największymi aferami gospodarczymi, takimi jak sprawy Art-B i FOZZ. Jednak od czasu wydania instrukcji 0015/92 członkowie tego zespołu skupili się na działaniach wobec ugrupowań politycznych.

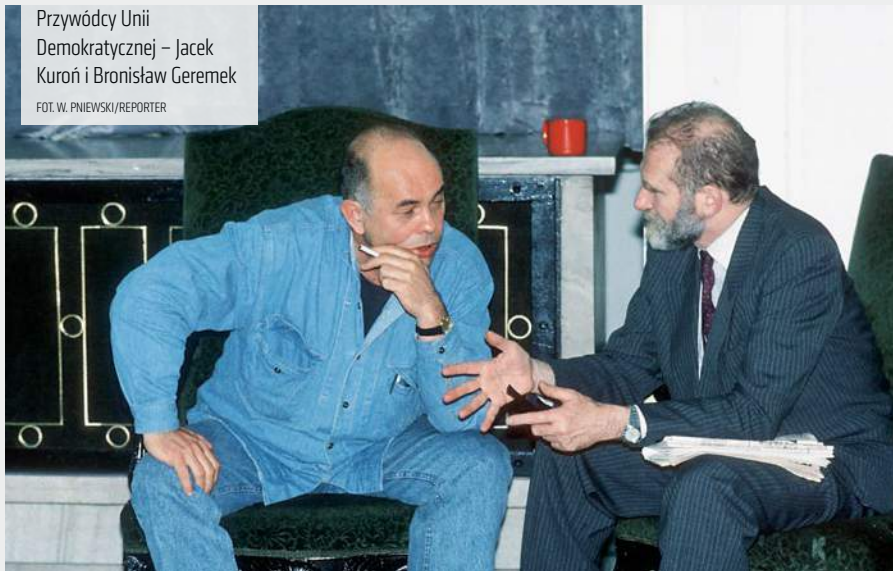
Zespół inspekcji i operacji prowadził inwigilację (m.in. z wykorzystaniem

środków techniki operacyjnej i plasowania agentury) oraz dezintegrację prawicy co najmniej do roku 1996 (a prawdopodobnie do roku 1997). Z marca 1996 r. pochodzą ostatnie dokumenty wytworzone przez osobowe źródła informacji oraz samego płk. Lesiaka. Taki zakres cezur działania zespołu wskazuje, że po wyeliminowaniu prawicy niepodległościowej z życia politycznego na poziomie parlamentarnym celem UOP stało się uniemożliwienie antywałęsowskiej prawicy zablokowania kandydatury Lecha Wałęsy na prezydenta lub chociażby wystawienia silnego alternatywnego kandydata dla urzędującej głowy państwa.

W zespole Lesiaka 11 lutego 1993 r. powstała „Ocena działalności niektórych ugrupowań politycznych”, w której stwierdzono, że działalność osób mających w nich istotne znaczenie „wykracza poza ogólnie przyjęte reguły walki politycznej” (sic!). Największe zagrożenie miała stanowić grupa osób skupiona wokół Jarosława Kaczyńskiego i Adama Glapińskiego. Zespół Lesiaka proponował podjęcie działań operacyjnych o „bardzo ograniczonym zakresie”. Jednak wbrew temu określeniu zakres proponowanych przedsięwzięć był dość szeroki i obejmował „wykorzystanie osobowych źródeł informacji byłej SB w celu infiltracji radykalnych ugrupowań, aktywne wyjaśnianie i dokumentowanie posiadanych już konkretnych danych, wykorzystywanie posiadanych informacji, inspiracje do publikowania artykułów prasowych, aktywne prowadzenie rozmów z niektórymi osobami w celu kamuflowania rzeczywistych źródeł informacji”.

Te działania UOP podsumował m.in. w notatce z 6 sierpnia 1993 r. dotyczącej „zrealizowanych przedsięwzięć operacyjnych w stosunku do niektórych radykalnych ugrupowań politycznych”. Z dokumentu wynika, że służby uznały za sukces m.in. dezintegrację RdR poprzez działanie dwóch „informatorów” (wywołanie konfliktów na linii młodzi działacze–kierownictwo partii oraz Romuald Szeremietiew–Jan Olszewski) oraz kolportaż opinii obciążających (fałszywie) Jana Olszewskiego, Antoniego Macierewicza i Jarosława Kaczyńskiego. „Czynności tego typu miały być operacyjnie kontynuowane”

Przywódcy Unii Demokratycznej – Jacek Kuroń i Bronisław Geremek
FOT. W. PNIEWSKI/REPORTER



Kierownictwo Porozumienia Centrum. Obok Jarosława Kaczyńskiego stoi Jacek MaziarSKI
FOT. ANDRZEJ IWANCIUK/REPORTER

– czytamy w notatce UOP.

Z działalnością zespołu Lesiaka wiąże się także niektóre wypadki z udziałem samochodów polityków prawicy. Takie niebezpieczne zdarzenia stały się m.in. udziałem Jacka Kurskiego (na początku lat 90. polityka PC), Jarosława Kaczyńskiego (wypadek pod Mławą) i Adama Glapińskiego. Powodem wypadków były przebite opony bądź przecięte przewody hamulcowe w sposób wskazujący na celowe działanie osób trzecich. Nadspodziewanie często zdarzały się także włamania do biur,

a nawet mieszkań prywatnych polityków partii prawicowych, które były na celowniku UOP. Nieznani, oczywiście, sprawcy włamali się m.in. do siedzib Ruchu Trzeciej Rzeczypospolitej i Akcji Polskiej, do mieszkania lidera RTR Jana Parysa oraz do biur mediów sprzyjających tej stronie sceny politycznej („Nowy Świat”, „Gazeta Polska”).

O ile działania prowadzone bezpośrednio wobec liderów i członków inwigilowanych ugrupowań prawicowych miały ich zastraszyć oraz zniechęcić do działalności

publicznej (wypadki samochodowe, włamania), skonfliktować personalnie i rozbić instytucjonalnie (politycznie) lub skompromitować (nieudane prowokacje mające skłonić do przyjęcia łapówek), o tyle działania z wykorzystaniem mediów (inspiracja tekstów, podrzucanie dokumentów i tematów) miały zbudować „czarne legendy” polityków prawicy jako osób kłótliwych, nieracjonalnych, niebezpiecznych, nieprzewidywalnych, a nawet o wątpliwej formacji moralnej, w ostateczności – miały udowodnić opinii publicznej, że to politycy przegrani, na których nie warto stawiać.

Najbardziej symbolicznym przykładem takich działań jest sfabrykowanie w UOP rzekomej „lojalki” Jarosława Kaczyńskiego z okresu stanu wojennego. Dokument opublikował dziennik „Nie” w maju i czerwcu 1993 r. Termin – tuż przed wielką manifestacją prawicy – nie był oczywiście przypadkowy. Rzekoma „lojalka” była sfalsyfikowaną kserokopią wytworzoną na podstawie... autentycznej odmowy podpisania „lojalki” przez Jarosława Kaczyńskiego 17 grudnia 1981 r. Jak przyznał później redaktor naczelny „Nie” Marek Barański, sfabrykowany dokument otrzymał od anonimowego oficera UOP. Z kolei ówczesny szef urzędu Andrzej Kapkowski zeznał w procesie sądowym w tej sprawie, że w UOP na początku lat 90. sfalszowano więcej niż jeden dokument dotyczący lidera PC.

To właśnie Jarosław Kaczyński był dla funkcjonariuszy UOP zaangażowanych w akcję rozbijania prawicy wrogiem publicznym numer jeden. W jednym z najważniejszych dokumentów wytworzonych w Zespole Inspekcjo-Operacyjnym Gabinetu Szefa UOP z 5 maja 1993 r. wytypowano aż 17 tematów, które mogły posłużyć do wytworzenia ewentualnych „haków” na tego polityka. W zestawieniu znalazły się bezpodstawne insynuacje i sugestie dotyczące m.in. życia prywatnego i dawnej działalności opozycyjnej.

ESBEK KURONIA

Kim był kluczowy dla operacji zwalczania prawicy oficer UOP? Kariera Jana Lesiaka jest kolejnym dowodem na stricte polityczny, a nie związany ze sprawami bezpieczeństwa państwa charakter działań operacyjnych UOP wobec Porozumienia Centrum i innych



Andrzej Milczanowski został szefem UOP miesiąc po obaleniu rządu Jana Olszewskiego

FOT. ADAM JAGIELAK/WPROST

partii prawicowych.

Lesiak był funkcjonariuszem MSW od 1969 r. W Służbie Bezpieczeństwa zajmował się „zwalczaniem zorganizowanej działalności antysocjalistycznej”. W latach 70., jako oficer Wydziału IX Departamentu MSW, rozpracowywał m.in. Komitet Obrony Robotników. Właśnie wtedy rozpoczął inwigilację Jacka Kuronia. W latach 1980–1987 Lesiak był oficerem prowadzącym sprawę operacyjną o krypt. Watra, w której ramach rozpracowywano m.in. Kuronia.

Podpułkownik Lesiak dobrze znał jednego z dawnych liderów KSS „KOR”. Nie chodziło tylko o wiedzę pozyskaną w wyniku działań operacyjnych (podśłuchy, agentura), lecz także o bezpośrednie spotkania z Kuroniem w latach 1985–1989. Oficjalnie były to tzw. rozmowy ostrzegawcze, na które SB często wzywała opozycjonistów. W przypadku Kuronia dla obu stron była to jednak przede wszystkim okazja do prowadzenia nieoficjalnego dialogu politycznego. Między innymi ten kanał „konsultacji” pozwolił pod koniec lat 80. wypracować model transformacji z udziałem starannie wyselekcjonowanej przez władze PRL grupy „konstruktywnej opozycji”.

Jak się okazało, była to „transakcja wiązana”, korzystna dla obu stron. Lesiak początkowo został negatywnie zweryfikowany podczas procesu przekształcania Służby Bezpieczeństwa w Urząd Ochrony Państwa (via Departament Ochrony Konstytucyjnego Porządku Publicznego, w którym również pracował), ale po interwencji właśnie

Jacka Kuronia, wówczas ministra pracy i polityki społecznej w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, został przyjęty do UOP. W urzędzie awansował na stopień pułkownika. Takie awanse, a także sama służba byłych funkcjonariuszy SB w UOP nie były niestety niczym wyjątkowym. W przypadku Jana Lesiaka dający do myślenia jest jednak zarówno tryb dostania się do służby w UOP (dawny figurant proteguje byłego oficera rozpracowywanego), jak i późniejsze powierzenie mu prowadzenia operacji dezintegracji prawicy niepodległościowej, która była traktowana jako główny przeciwnik (a wręcz wróg) przez obóz jego politycznych mocodawców.

Reprezentujący środowisko Ruchu Obywatelskiego Akcji Demokratycznej (później Unii Demokratycznej/Unii Wolności) Jacek Kuroń był dla Lesiaka prawdopodobnie najważniejszym, ale nie jedynym patronem, a zarazem „bezpiecznikiem” osobistej kariery. Miał on też dobrze znać Mieczysława Wachowskiego, ówczesnego szefa gabinetu politycznego prezydenta Lecha Wałęsy. Kancelaria Prezydenta RP była wówczas kolejnym ośrodkiem politycznym, który prawić niepodległościową, z Porozumieniem Centrum i Jarosławem Kaczyńskim na czele, traktował jako śmiertelnego wroga.

Chichotem historii i ponurym symbolem III RP pozostaje to, że kariera oficerska płk. Jana Lesiaka – szefa zespołu UOP inwigilującego i dezintegrującego ugrupowania prawicowe wywodzące się z najbardziej antykomunistycznych środowisk w PRL – rozkwitła pod rządami wywodzącej się z opozycji demokratycznej centroprawicy, a zakończyła w 1997 r. decyzją o wydaleniu ze służby wydaną przez postkomunistycznego koordynatora służb specjalnych w rządzie SLD Zbigniewa Siemiatkowskiego. W tym przypadku zatem to nie ludzie dawnego reżimu komunistycznego, ale część obozu postsolidarnościowego (przynajmniej z nazwy) zwalczała te środowiska polityczne, które chciały skończyć z postkomunizmem nad Wisłą.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Adam Chmielecki jest politologiem i publicystą, byłym pracownikiem Komisji ds. Likwidacji WSI oraz IPN, autorem książki „Wokół Solidarności”, współautorem dwutomowej biografii politycznej śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego.



PWPW

POLSKA WYTWÓRNA
PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

www.pwpw.pl

NASZ NARODOWY WYTWÓRCA



Przykładowe zabezpieczenia banknotu 500 zł



filigran
jednotonowy znak wodny



SPARKLIVE®
farba optycznie zmienna



wielotonowy
znak wodny

eprasa.pl 8730e4e843

NAJWYŻSZY NOMINAŁ
NAJNOWSZY BANKNOT
NAJLEPSZE ZABEZPIECZENIA



PIOTR GOCIEŁ

POCZYTANKI

Zło z Mokotowa

Choć autorka zastrzega się, że to nie kompendium wiedzy ani nie zapis dziejów gangu znanego jako grupa mokotowska, wydawca na okładce zanęca: „Historia najbardziej brutalnej grupy przestępczej w Polsce”. To ten gang wydał z siebie obcinaczy palców, to jego bossowie posuwali się do zlecenia zabójstw członków rodzin skruszonych bandytów.

Ewa Ornacka korzysta z akt sądowych, ale przede wszystkim rozmawia: z adwokatem, który pracował dla gangu, z Krzysztofem M. „Bajbusem”, wspomnianym skruszonym przestępcą (jego żona została zabita przed własnym domem). Z ofiarą (Michał porwany dla okupu, uszedł z życiem), wreszcie z samym Andrzejem H. ps. Korek, szefem grupy mokotowskiej siedzącym w więzieniu. Tym bardziej szkoda, że nie zdecydowała się na napisanie klasycznej pozycji non-fiction, historii gangu. Wiedzę ma ogromną, temat jest wstrząsający, jednak fakty proszą się o uporządkowanie, a wypowiedzi (zwłaszcza bandziorów) o zweryfikowanie. Zamiast tego otrzymujemy książkę niedokończoną, książkę patchwork – tu zdjęcia, tu rozmowa z policjantem, tam kawałek reportażu kryminalnego. Nawet w tej formie jest to jednak lektura zajmująca.

W książce Ewy Ornackiej najciekawsza jest strefa przenikania się świata przestępczego i państwa (szczególnie policji i wymiaru sprawiedliwości), czyli zjawisko, którego istnienie sprawia, że zamiast o zwykłym bandytyzmie możemy mówić o mechanizmach mafijnych. Gangsterzy trochę tak jak wspominający PRL esbecy próbują przedstawić się jako wszechwładni i wszechwiedzący. Czegóż to oni nie mogli?! Któż im nie donosił?! Policjanci kontruja – czarne owce były wyjątkami. Gdzie leży prawda, ocenić trudno, tak jak trudno zorientować się, na ile liczne kompromitacje stróżów władzy to rzeczywiście efekt korupcji czy układów z bandziorami, a na ile efekt tumiwizmu, amatorów i rozkładu panujących w państwie teoretycznym.

Oprócz tego jest też w książce wiele emocji i tu różni się od autorki punktem widzenia. Rozumiem dramat „Bajbusa” (i jego córki) rozżalonego na prokuraturę za przebieg śledztwa w sprawie zabójstwa żony (i matki). Każdy ma prawo oczekiwać od państwa pomocy w takiej sprawie. Bardziej jednak współczuję rodzinom tych, których bliskich gangsterzy wywozili do lasu, którym obcinali palce, których rozpuszczali w kwasie. Czyżby był nadmiernie staroświecki? ©



★★★★★
EWA ORNACKA
„KOMBINAT ZBRODNI”
REBIS 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Jak to możliwe, że tak konserwatywna idea jak troska o środowisko została przechwycona przez lewicę? Dlaczego lokalne inicjatywy są w tych kwestiach lepsze od wielkich rządowych projektów? Odpowiada znany filozof brytyjski.



ROGER SCRUTON
„ZIELONA FILOZOFIA”
ZYSK I S-KA

Podtytuł: „Debata polsko-żydowska”. Obszerny zbiór materiałów (rozmów, artykułów, wystąpień) ukazujących temat w sposób mocno odbiegający od politycznej poprawności, za to w zgodzie z faktami.



GABRIEL KAYZER
„KLINCZ?”
FRONDA

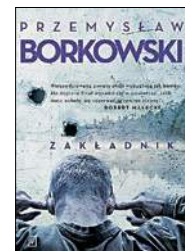
Rozszerzona wersja albumu znanego fotografa dokumentującego przemiany w Europie Środkowo-Wschodniej. Nie tylko chwile przełomu z roku 1989, lecz także fascynujące ujęcia z lat kolejnych – czasu narodzin nowego systemu.



CHRIS NIENTHAL
„1989”
WYDAWNICTWO BOSZ

Współtwórca Kabaretu Moralnego Niepokoju tym razem całkiem serio, w pierwszym tomie kryminalnego cyklu, którego bohaterami są psycholog Zygmunt Rozłucki i dziennikarka Karolina Jan-czewska. Obiecujące. ©

poleca Piotr Gocieł



PRZEMYSŁAW BORKOWSKI
„ZAKŁADNIK”
CZWARTA STRONA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Jay Asher, „Trzynaście powodów” (Rebis)** – śmierć nastolatki objaśniana przez nią samą na taśmach pozostawionych po samobójstwie. Także serial Netflixa.
2. **Paula Hawkins, „Zaplane w wodzie” (Świat Książki)** – nowa powieść autorki największego bestsellera ostatnich lat, czyli „Dziewczyny z pociągu”.
3. **Remigiusz Mróz „Deniwelacja” (Filia)** – czwarty tom serii kryminalnej. Komisarz Wiktor Forst kontra seryjny morderca z Podhala.
4. **Peter Wohlleben „Duchowe życie zwierząt” (Otwarte)** – autor „Sekretnego życia drzew” w kolejnej opowieści o tajemnicach natury.
5. **Marta Dymek „Nowa jadalnia” (Marginesy)** – roślinne przepisy z całego świata. Nowa książka specjalistki od kuchni węgierskiej i wegetariańskiej.

(Najchętniej kupowane książki w sieci salonów Empik między 1 a 15 maja 2017 r.)



KONTRA/BASEM

Twórcy odważni?

Bojkot festiwalu... (już nie opolskiego) to temat dla psychologów i analityków zarządzania emocjami przez media społecznościowe. Dzisiaj to się nazywa „postprawdą”, kiedyś mówiliśmy „Radio Erewań”. Podobny mechanizm widziałem przy czarnym proteście. Wtedy mobilizowano strachem przed Kaczyńskim, który będzie kobiety wsadzał do więzień już nie za aborcję, ale za antykoncepcję, badania prenatalne i naturalne poronienia. To, że w projekcie ustawy nic takiego nie było i nie napisał jej ani Kaczyński, ani PiS, nie jest istotne. Wszystkich środowisk laickich i liberalnych użyto jako oddziały szturmowe do walki z rządem. Gdy obnażano kłamstwa tej argumentacji,



FOT. MEDIAREGIONALNE

słyszałem od uczestniczek protestu: „Może i ma pan rację, ale przecież widzi pan, jaka jest atmosfera, co się w Polsce dzieje!”.

Teraz, gdy prezydent Opola, zrywając umowę z TVP, zagrał w otwarte karty, słyszę od artystów, którzy jawnie lub po cichu wycofują się z koncertów dla TVP: „No, wiesz... Zawsze było tak, że to szefowie decydowali o scenariuszu i listach wykonawców, ale sam widzisz, jaka jest atmosfera, co się w środowisku i w całej branży dzieje...”. Sprawa kapeli Dr Misio, która mimo regulaminu ukryła przed organizatorami skandalizujący przekaz piosenki, sprawiła, że zespół wycofano z koncertu. Wystarczył głupi pretekst, a reszty, metodą „Radia Erewań”, dokona-

ły orkiestra antypisu i skrajnie nielojalne zachowanie reżyserów koncertów, pracujących jednocześnie dla konkurencji.

Najsmutniejsze jest to, że artyści, którzy uważają się za wolnościowców, niezależnych, odważnych twórców, gdy pojawia się realny problem, są niezdolni do samodzielnej i uczciwej oceny sytuacji, pozwalając się rozgrywać specem od operacji propagandowych. Mając usta pełne zapewnień o apolityczności, jednocześnie opowiadają się po stronie totalnej politycznej opozycji. Wśród nich są uczniwi, myślący (wydawało mi się) artyści, z ugruntowaną marką i poważną pozycją finansową. Przykre, że zachowali się jak wystraszeni debiutanci. © ©



GRZEGORZ BRZOWICZ

NA SŁUCH

Młodszy dają radę

Osiecką przerabiali już wszyscy. Szczególnie ci, którzy przeżywali zastój twórczy. W tym przypadku młodzi, nie oglądając się na autorytety, zrobili to dobrze i po nowemu.

Album jest efektem ubiegłorocznej gali zorganizowanej z okazji 80. urodzin pani Agnieszki. Wzięli w niej udział wykonawcy o otwartych głowach, którzy wybrali nieoczywiste teksty. A pamiętajmy, że Osiecka napisała ponad 2 tys. piosenek i wierszy. Efekt jest momentami zachwycający. Aranżacje zespołu Przemka Borowieckiego kipią od pomysłów. Grupę wspomagały chóralnie The Voices oraz kwartet smyczkowy Grott. Każdy z wokalistów zaprosił do studia własnych muzyków i powierzył miks swojemu producentowi. Jedynie nagranie „Osiecka

x 5” w wykonaniu zespołu Czesław Śpiewa zostało zarejestrowane podczas koncertu. To wspaniała suita złożona z pięciu tekstów.

Klezmerska wersja „Chwalmy Pana” Krzysztofa Zalewskiego powala. Piotr Rogucki z grupy Coma zachwyca głosem w „Ja nie chcę spać”. Joanna Ewa Zawłocka brawurowo śpiewa „Karnawał raz w życiu”. Pozostałe panie (Brodka, Mela Koteluk, Natalia Grosiak, Misia Furtak, Natalia Przybysz, Justyna Święt) intymniej podeszły do zadania. Silna ekipa hiphopowa (L.U.C, DJ Feel-X & Gutek, Łona i Webber) udowodniła, że dobry tekst nie podlega degradacji z upływem czasu. Na koniec porywająca, instrumentalna wersja piosenki „Wymyśliłem Ciebie” zespołu Borowieckiego.

Można? Można. © ©



★★★★★
RÓŻNI
WYKONAWCY
„NOWOSIECKA”
WYDAWNICTWO
AGORA



★★★★★
VÖK
„FIGURE”
NOPAPER

Muzyka kwartetu reklamowanego jako islandzka odpowiedź na brytyjskie The xx zawiera znacznie więcej inspiracji. Tłuste, spowolnione elektroniczne beats i łagodnie depresyjny wokal przede wszystkim przywołują na myśl Portishead. Ciekawe. © ©



★★★★★
STEVE NASH
& TURNTABLE
ORCHESTRA
„OUT OF FADE”
POLSKIE RADIO

Lider gra na fortepianie i obsługuje komputery, w tle przygrywa Orkiestra Kameralna Cosmopolis, pięciu DJ-ów scratchuje na gramofonach, a w trzech utworach pojawiają się raperzy. Całość w sposób fenomenalny łączy jazz, klasykę i elektronikę. Nowatorskie. © ©



Katechiści z Afryki czekają na pomoc

Moja złotówka na rower dla katechisty w Afryce

Od czterech lat MIVA Polska organizuje pomoc na rowery dla katechistów w Afryce w ramach akcji uCZYNek WIARY.

Katechiści odgrywają bardzo ważną rolę zarówno we wspólnotach kościelnych, jak i w lokalnym środowisku. Jako bezpośredni współpracownicy wspierają misjonarzy przede wszystkim w nauczaniu i przekazywaniu wiary, a także przygotowując katechumenów do przyjęcia chrztu i innych sakramentów.

Jako ludzie z rodzimych kultur, znający miejscowe języki i zwyczaje, są ważnym ogniwem komunikacji z lokalnymi wspólnotami. Pełnią też funkcję liderów wspólnot, pod nieobecność kapłana prowadząc modlitwy i nabożeństwa. Są tłumaczami dla misjonarzy. Z poświęceniem i gorliwością angażują się w pomoc chorym i potrzebującym.



Wielką trudnością w ich pracy jest brak środków komunikacji. Braki w infrastrukturze drogowej i publicznym transporcie sprawiają, że wędrują do afrykańskich wiosek oraz osiedli wiele kilometrów pieszo. Rowery są dla nich wielką pomocą.

Zapraszamy do włączenia się w akcję pomocy katechistom afrykańskim.

W tym roku katechiści z RPA, Ghany, Togo, Zambii, Ugandy, Mozambiku, Tanzanii, Czadu, Kamerunu, Burkina Faso i Madagaskaru czekają na Twoją pomoc i każdą przekazaną złotówkę. Ogółem potrzeba 400 rowerów.

Ci którzy przekażą pomoc na zakup całego roweru (120 euro = 500 PLN), oprócz podziękowania otrzymają dyplom „Niosącego Chrystusa” i indywidualne podziękowanie od katechisty z Afryki. Dzięki poprzednim edycjom akcji udało się pomóc prawie 1000 katechistów.



Wsparcie przekaż na konto MIVA Polska
nr konta PeKaO SA I O/Warszawa 69 1240 1037 1111 0000 0691 6802
tytułem: **Rower do Afryki – Akcja uCZYNek WIARY**

MIVA Polska

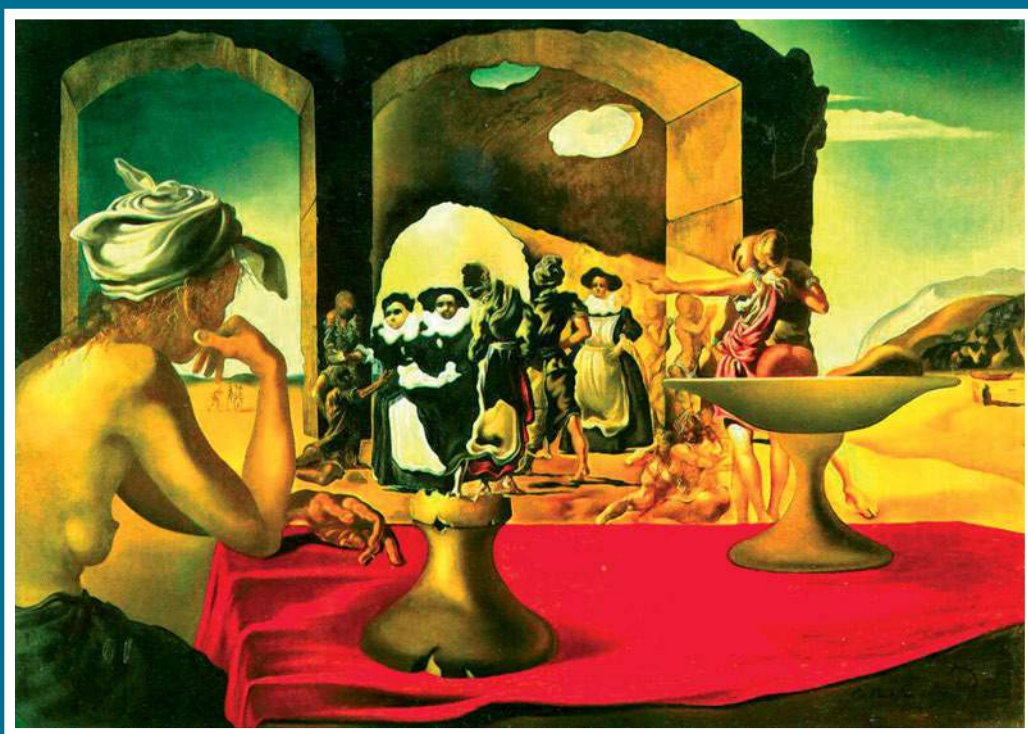
ul. Byszevska 1, skr. poczt 112, 03-729 Warszawa 4
tel. +48 22 678 59 83, e-mail: biuro@miva.pl

NIP 5242802131 REGON 364437048

www.miva.pl, www.facebook.com/MIVAPolska

Znikające popiersie Woltera

[w trzysetną rocznicę
wsadzenia Woltera do Bastylii]



Salvador Dalí, „Targ niewolników i znikające popiersie Woltera”

łacińskie: „*Sic transit gloria...*” [Tak przemija chwała...]

Wolter: „*To, co w jednej epoce uważano za prawdę,
w innej zostaje potępione jako bzdura lub błąd*”.



Waldemar
Łysiak

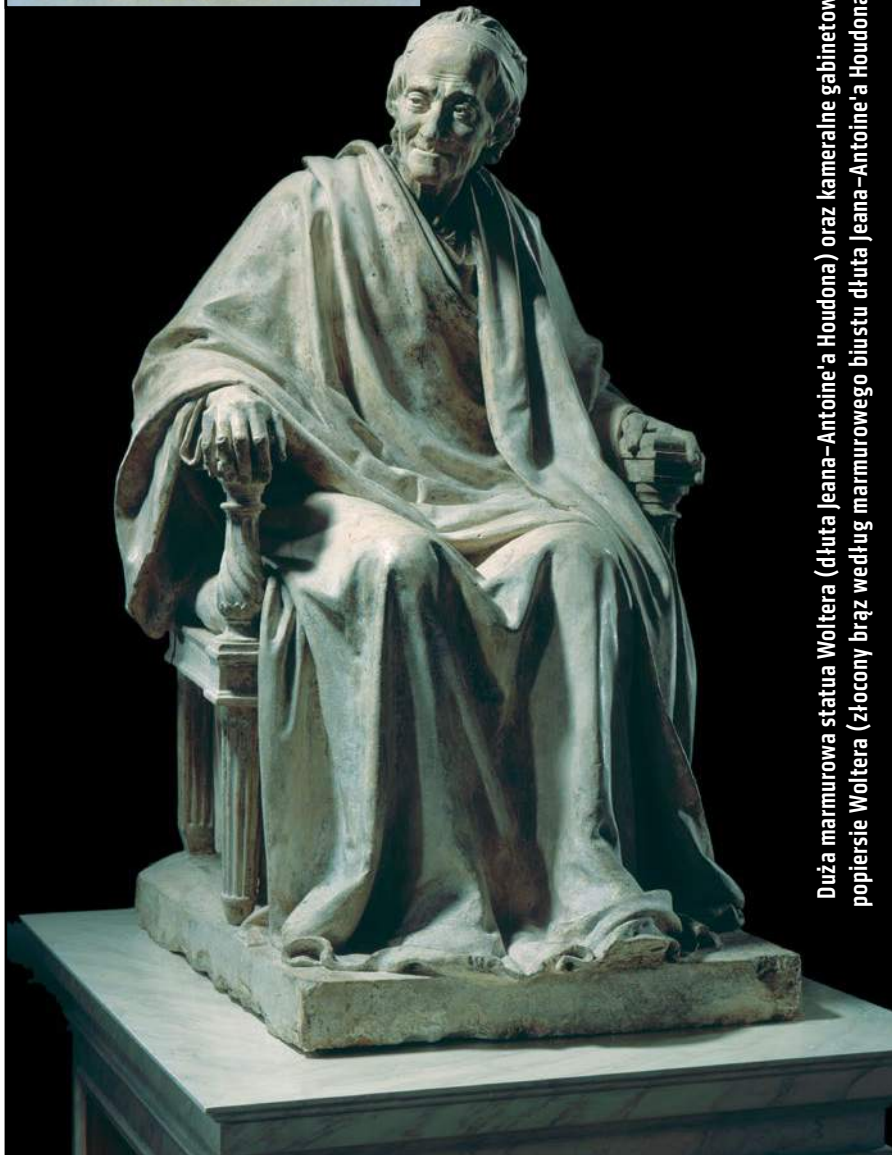
Salonowcom rodzimym (KOD-owi i partiom orbitującym wokół niego) nic nie doskwiera bardziej niż fakt, że w Warszawie brakuje tyrańskiego lochu, do którego z rozkazu dyktatora „Kaczora” pakowano by między piątą a szóstą rano szlachetnych obrońców demokracji, żeby jeszcze niewsadzeni ich koledzy mogli czarno na białym uzasadniać całemu światu przyczynę swego heroicznego buntu. W takiej tiumie, której mitologia szybko stałaby się równa mitologii tej historycznej Bastylli z Kastylii... pardon, nie mam pojęcia dlaczego zacząłem mówić językiem pana Petru... oczywiście: paryskiej Bastylli — zyskiwaliby stygmatyzację martyrologiczną autentyczną i nie musieliby już kłaść się na jezdni (jak w grudniu 2016) dla dowodzenia brutalności krwawego reżimu pisowskiego (co jest zawsze obciążone ryzykiem przypadkowego sfilmowania przez kogoś takiej hucpy). Tyle wstępu do dzisiejszego eseju. Pretekstem jego pisania stała się okrągła rocznica zapuszkowania w Bastylli pana Woltera, praojca dzisiejszych salonowców szerzących na globie kłamstwa polityczne, fałszywe historiograficzne i deprawację libertyńską. Monsieur Voltaire robił to dużo wcześniej i wypracował wszechstronny wzór tej zgnilizny, będący swoistym podręcznikiem dla obecnego Salonu.

EUFORIA I GLORIA

Co kojarzą dzisiejsze pokolenia (młodzi i wciąż młodzi) słysząc nazwisko: Wolter? To samo pytanie dałoby się chyba postawić à propos całych rzesz rodziców tej młodzieży. Czy „kumają” hasło „Wolter” lub hasło „wolterianizm” jakkolwiek? Zresztą i oświeceni lepiej niż pan Petru mogliby mieć tu kłopot. Można się przecież bardzo omylić słysząc lub czytając nazwisko jakiejś osoby. Usłyszawszy: „Kutas Komorowski” — większość rodaków miałaby proste/oczywiste skojarzenie, nie wiedząc, że jednak chodzi o figurę inną, z pierwszej połowy XIX wieku. Pisarz Zygmunt Kaczkowski w swoich memuarach („Mój pamiętnik z lat 1833–1843”, Lwów 1899) napomknął o tzw. „złotej



młodzieży” galicyjskiej tamtych czasów, wymieniając (jako jej wodzirejów) hulałów następujących: „Fredrowie, Stanisław Skarbek, obydwaj Batowscy, Nereusz Hoszowski, Kutas Komorowski, Adam Chołoniewski”. No właśnie — Wolter również należał do „złotej młodzieży” nim się postarzał (o jego młodzieńczym hulactwie salonowym za chwilę), a później stał się kolejno: wyłożoną ikoną francuskiego Oświecenia, nieformalnym królem Francji (najbardziej znanym i podziwianym we świecie Francuzem XVIII stulecia, nawet Rousseau i Diderot ustępowali mu pod tym względem), wreszcie „wiekopomnym” monumentem ateizującej postępowości „Wieku Światła”, czczonym przez tysiące



Duża marmurowa statua Woltera (dłuta Jeana-Antoine'a Houdona) oraz kameralne gabinetowe popiersie Woltera (złożony brąz według marmurowego biustu dłuta Jeana-Antoine'a Houdona)

biograficznych i monograficznych woluminów, encyklopedii nie wyłączając. Aż w pierwszych latach bieżącego stulecia cały ten gmach runął, chociaż nie głośno, tylko cicho (jak to domek z kart). Czemu runął? Za sprawą „Gwiazdy Dawida”.

Pod koniec jego życia (zmarł na raka prostaty w 1778 roku) Woltera — ulubieńca elit i tłumów, bliskiego przyjaciela czołowych monarchów europejskich — otaczało tak wielkie bałwochwalstwo (nie tylko krajowe, lecz i międzynarodowe), jakiego nie zaznał później (wcześniej też) żaden „człowiek pióra” (pisarz, publicysta, dramaturg). Przytoczę dwa ledwie spośród mnóstwa tych hołdów mu oddawanych. Gdy przyjaciele Woltera wpadli na pomysł wzniesienia jego pomnika — z miejsca zadeklarowały swój udział dwory: pruski, rosyjski, duński i polski. Gdy przyjechał na premierę swej sztuki „Irena” — wokół teatru wiwatowały nieprzebrane tłumy, członkowie Akademii Francuskiej witali go jak monarchę na schodach gmachu, jego marmurowe popiersie udekorowano laurami i obsypano kwiatami, ministrowie całowali mu dłonie, wniesiono go do łoża na rękach, skandowano żądanie założenia mu korony królewskiej, słowem: Paryż oszalał hołdowniczo. Tak też i cała Francja oraz cała Europa gloryfikowały Woltera przez kolejne 200 lat. Jeszcze w pierwszej połowie XX wieku znany historyk André Maurois zapewniał, iż „Wolter jest najślawniejszy spośród wszystkich figur stulecia XVIII”. Wtedy i po II Wojnie Światowej to nazwisko mówiło coś nawet ludziom, którzy wertowali tylko komiksy, a rozwiązując krzyżówki zawsze mieli wątpliwość:

czy to on, czy Szekspir był autorem „**Rigoletta**”? Lecz z upływem dekad nimb gasł i już u schyłku ery komunistycznej (1986) kolumbijski mędrzec Nicolás Gómez Dávila słusznie orzekł: „*Jedynym pisarzem XVIII wieku zmartwychwstałym za sprawą podziwu świata dzisiejszego jest Sade*”, dając tym dowód eliminacji Woltera ze świadomości powszechnej. Trwał wszak w świadomości elit intelektualnych, będąc starodawnym guru dla Salonu. Aż „*przyszła kryśka na Matyska*”. Redakcja „**Le Point**” skonstatowała smutno cztery lata temu (2013): „*Wolter uległ zapomnieniu za sprawą swych cech niezbyt sympatycznych*”. Było ich sporo (choć salonowcy wytykają mu zupełnie odmienne aniżeli kontrsalonowcy). Nim się przyjrzymy tym grzechom Woltera — przyjrzyjmy się jego aktywności publicznej:

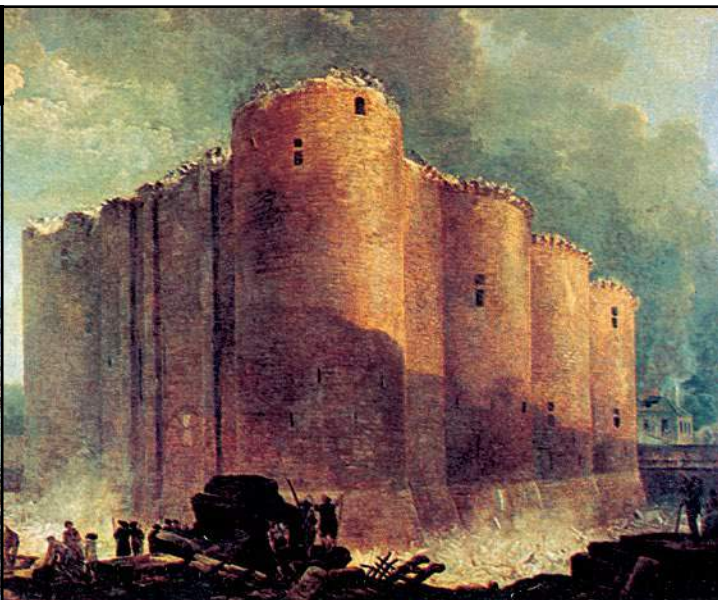
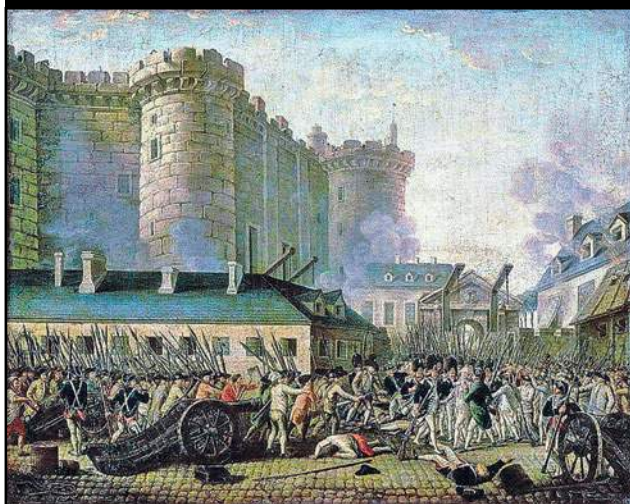
PRZESĄDOBÓJCA

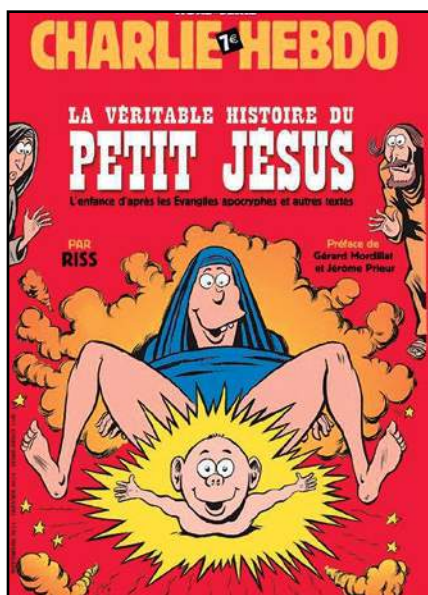
Urodzony w roku 1694 syn notariusza sądowego Franciszek Maria Arouet cierpiał z powodu swego mieszczańskiego pochodzenia, przybrał więc sobie fikcyjne szlacheckie nazwisko de Voltaire (później, gdy już był bogaty, kupił sobie herb szlachecki) i jako taki przeszedł do historii. Cierpiał również ilekroć krytyka wystarczająco nie oklaskiwała jego poematów i sztuk, marzyło mu się bowiem zde-tronizowanie kolegi ze Stratfordu. Jego współcześni lubili te wierszydła i sztucz-dła, potomność jednak była bezlitosna (Wiktor Hugo: „*Dzieła teatralne Woltera to najbardziej bezkształtne produkty stworzone przez ludzki umysł — świadczą o zupełnym upadku sztuki dramatycznej tamtych*

czasów”). Sławę międzynarodową zyskał tedy nie dzięki nim, lecz jako czołowy „*filozof Oświecenia*”, vulgo: jako mędrzek pocuczający ludzkość we wszelkich sprawach, szermierz tolerancji, obrońca uciśnionych, prawodawca zdrowego rozsądku i liberalizmu. Publikowane pod 137 pseudonimami (!) „*opowiastki filozoficzne*”, traktaty historiograficzne, pamflety polityczne, rozprawy polemiczne, zjadliwe eseje itp. („*Kandyd*”, „*Prostaczek*”, „*Traktat o tolerancji*”, „*Słownik filozoficzny*”, „*Listy filozoficzne*”, „*Dialogi filozoficzne*” i cała przebogata reszta) — bulwersowały Stary Kontynent, wnosząc fundamenty teoretyczne Rewolucji, a szerzej: bazę źródłową nowego światopoglądu, ściśle laickiego, a więc ultrapostępowego.

Mając naturę piniacza Wolter zaciekle zwalczał wiele rzeczy i wiele osób, lecz gdyby chciało się wskazać jego głównego adwersarza, wroga nr 1, to bez wątpienia trzeba byłoby wymienić: „*przesady*”. Tępił wszelkie możliwe „*przesady*”, od obyczajowych do artystycznych, jednak ze szczególną zawziętością i konsekwencją (w ciągu kilku dekad) pastwił się nad „*przesądem*” wiary religijnej (twierdził, że religia to „*święte kłamstwa zalewające kulę ziemską*”), nad Bogiem i nad Kościołem, zyskując u tradycjonalistów miano „*Antychrysta*” vel czołowego „*bezbożnika*” Europy. Wspomniana konsekwencja miewała czasami pragmatyczny antrakt, gdy Wolter dla interesu łagodził lub wręcz cofał swój antykatolicki trel (np. kiedy pragnął być przyjęty do Akademii, co nie było możliwe bez poparcia Wersalu i Watykanu, zaczął truć o swym szacunku wobec religii i Pana Boga: „*Filozofia dowodzi niezbicie, że Bóg*

Zdobywanie Bastylii (kolorowany sztych z epoki)
i rozbieranie Bastylii (obraz Huberta Roberta)





epoki) robiły mu blaskomiotną reklamę. Ludzie posiadający głębsze umysły nigdy nie traktowali Woltera serio. Wybitny francuski krytyk literacki Émile Faguet parsknął (1906) o „antykrykalizmie” Woltera: „Chaos jasnych myśli” („Chaos d'idées claires”). Tadeusz Boy-Żeleński (tłumacz „Kandyda”) cedził z pogardą: „Wolter nie jest zbyt oryginalnym myślicielem; większość myśli jego to obiegowa moneta filozofii tzw. encyklopedystów, ale celuje on, jak nikt inny, w sztuce ładowania pojęć «łopatą do głowy»” (1917). Rzeczywiście: było to skuteczne, tak bardzo, że zainfekowało najpierw libertynizujących „progresistów” wieku XIX, później zaś lewackie kręgi opiniotwórcze wieku XX (ówczesnym guru pseudointelektualnego goszyzmu, następcą Woltera, został stalinista, pseudofilozof Sartre), co pozwoliło głośnemu francuskiemu pisarzowi Michelowi Houllebecqowi diagnozować dzisiaj: „Przez cały XX wiek intelektualną debatę monopolizowała lewacka hołota, której występkę zostały zresztą zapowiedziane

już w XIX stuleciu” (2016). Ja bym tu tylko poprawił: w XVIII stuleciu, wysiłkiem pana Woltera.

MARTYROLOGIA KOMFORTOWA

Wysiłki pana Woltera robiły dużo szumu już wtedy, kiedy był niedojrzały. Debiutował bowiem jako niespełna dwudziestoletni młodzik, zaczynając bezzwłocznie od impertynenckich ataków na kogo tylko się dało. Ta arogancja pamphletarska przynosiła mu trochę kłopotów, jak okresowe relegowania poza Paryż, lecz każdorazowo owe banicie przebiegały rozkosznie, nie przestawał bowiem brylować w centrach podmiejskich zabaw salonowej socjety. Były to wesołe czasy Regencji po śmierci Ludwika XIV (według Woltera: „epoka szczęścia i pełnej rozkoszy, kiedy czyni się wszystko, wyjąwszy pokutę”), hulanki stały się modne, więc i on stał się hulaką. Nancy Mittford: „Należał do grupy intelektualistów bez zasad,

istnieje”, „Jeśli chcecie dowiedzieć się czy jest Bóg, musicie tylko otworzyć oczy”, etc., etc.), jednak potem szybko wracał na tory bluźniercze (sławny francuski Romantyk Alfred de Musset: „Wolterze, śmiechem swym ohydny próbowałeś beczceści krwawiące rany Chrystusa”). Cała późniejsza forsowna laicyzacja Francji i współczesne kontrkatolickie (straszliwie bluźniercze) okładki francuskiego periodyku „Charlie Hebdo” to w prostej linii spuścizna Woltera, jego ewidentne dziedzictwo.

Walcząca „filozofia” (czyli antytradycjonalistyczna, antykonserwatywna, antykościelna propaganda) Woltera—publicysty, bojownika o wszechstronne zliberalizowanie świata, zachwycała tłumy, i to ze wszystkich warstw, „mas ludowych” nie wyłączając, zwłaszcza że płytkie umysły półinteligentów grających intelektualistów (choroba każdej



■ zwanej *«Libertynami z Temple»*, przesiąkając ich odorem duchowym niczym perfumą. Bale, festyny, polowania i prowokacje stanowiły ich regularną rozrywkę” (1957). Dla Woltera regularną rozrywką były też pamflety i żarciki, które drukował, często wymierzane we władzę, czyli w regenta. Można rzec, iż ów regent, duc d’Orleans, sam się prosił o takie baty swoim zepsuciem (miał m.in. romans z własną córką), kasało go wtedy kilkunastu „pismaków”, jednak opinia publiczna większość tych anonimowych uszczypliwości przypisywała Wolterowi, co musiało się wreszcie skończyć w „pierdlu”. Niedzielnym rankiem (Zielone Świątki 1717) do sypialni Woltera wkroczyło dwóch żandarmów (on sam twierdził później, z właściwą mu prawdomównością, że dwudziestu — „dwadzieścia szukających żeru czarnych kruków”) i zabrano go do Bastylii. Spędził tam prawie rok (maj 1717–kwiecień 1718).

Libertynizujące lewactwo XIX i XX wieku pasjami przywoływało osadzenie

Woltera w Bastylii jako symboliczną/syndronomiczną wręcz ilustrację bestialstwa XVIII-wiecznego reżimu burbońskiego, który nim upłynęło to stulecie został obalony przez jakobinów, czyli przez Rewolucję Francuską, mającą dzięki wolnomyślicielskiej „filozofii Woltera” ideowe podstawy. Jednak gdy zna się realia — bredzenie o aresztanckiej martyrologii Woltera może wzbudzić wyłącznie śmiech. Nie tyle „siedział” w Bastylii, ile mieszkał, spędzając czas luksusowo/komfortowo. Tego typu więźniów zwano wówczas „gośćmi króla” lub „gośćmi regenta”. Mogli oni sami umeblować swoje „cele” (obszerne komnaty), stąpali po dywanach, spali na złotogłowie, odziewali się wytwornie, wędrowali swobodnie wewnątrz murów budowli, ceremonialnie się nawzajem wizytując, mieli orkiestry przygrywające wesoło, służbę uwijającą się wokół, uprawiali rozmaite sporty i gry hazardowe, a drogie wina, wykwintne jedzenie i światło (setki świec) dostarczał dwór, czyli rząd. Wolter był goszczony

sutymi wieczerzami przez naczelnika Bastylii i przyjmował huczne wizyty kompanów z zewnątrz, ergo: płaścił się hedonizmem, strugając równocześnie męczennika, ofiarę despotyzmu. Była to więc martyrologia typu: „żyć nie umierać”. Do tego swobodny seks...

Nie wiemy z kim Wolter sypiał w Bastylii, być może z jakąś aktoreczką (uwielbiał „emablować dziewczęta teatru”), ale wiemy, że wówczas libido mu jeszcze dopisywało bez wpadek. Później to się psuło z każdą dekadą (Maurois twierdzi, że „był zbyt wątpliwy do miłości cielesnej”), stąd kłownady w głównym (wieloletnim) miłosnym związku między Wolterem a panią du Châtelet. Zastaje ją pieszczącą tęgiego oficera, Saint-Lamberta, wyprawia brewerie, skamle, ona się usprawiedliwia ze wzruszającą otwartością („to wszystko dlatego, że cię bardzo kocham — chciałam tym sposobem zaoszczędzić trochę twoich sił, bo ci ich ostatnio nie dostaje, a twoje zdrowie jest dla mnie rzeczą najcenniejszą”), on godzi się z nią



W tym samym roku 1717, w którym Wolter trafił do Bastylii, Antoine Watteau namalował obraz wykpiwający salonową lubieżność Woltera i jego kompanii „filozoficznej”

i z Saint-Lambertem, powstaje komiczny trójkąt, szybko również czworokąt, gdyż ona niespodziewanie zachodzi w ciążę (mając 44 lata), więc wzywają pospiesznie jej małżonka, by we trójkę go ogłupiać, aż ten daje sobie wmówić, że jest szczęśliwym ojcem, itp., itd. Wolter jawi się tu figurą z Moliera, a nie z panteonu myślicieli.

Do Bastylii trafił jeszcze raz w 1726 roku (na niespełna dwa tygodnie), za sprawą kawalera de Rohan-Chabot, który wcześniej kazał swojej służbie obić Woltera kijami. Ta „*bastonada*” skutkująca bólem tyłkiem i bólem ego — to jedyna prawdziwa „*martyrologia*” Woltera. Przepisywanie mu roli męczeńskiej, roli ofiary reżimu autorytarnego — to nonsens. Zaś dotyczące jego wakacji w Bastylii stwierdzenie: martyrologia luksusowa — to oksymoron. Martyrologię serio przeżywa on dopiero dzisiaj, zepchnięty w otchłań „*niepoprawności politycznej*”.

DAWNE PRETENSJE

Trwający 200 lat kult Woltera był szerzony przez środowiska „*antyklerykalne*” i „*postępowe*” (czyli lewicujące) całego globu nie tylko opasłymi hagiografiami plus ciągłym wznawianiem jego dzieł, lecz również mnóstwem anegdot, które szeroka publiczność wchłaniała łatwiej niż „*filozofię wolterowską*” alias „*wolterianizm*”. Oto jedna z nich, nawiązująca do rozlicznych swego czasu międzynarodowych konferencji i sympozjów dotyczących twórczości Woltera:

Zaczynają się obrady. Przedstawiciele różnych państw i centrów naukowych chwalą swój wkład w materię tematyczną. Amerykanin ogłasza:

— Stany Zjednoczone zrealizowały pełną edycję listów Woltera kosztem kilkuset tysięcy dolarów!

Wstaje Anglik:

— Wielka Brytania, nie szczędząc nakładów, drukuje w Oksfordzie pełny zestaw prac Instytutu Woltera!

I tak dalej. Wreszcie wzrok wszystkich delegatów kieruje się ku przedstawicielowi Francji:

— A co Francja zrobiła w sprawie Woltera?...

Zaskoczony Francuz patrzy przez chwilę ze zdumieniem i odpowiada poirytowany:

— Panowie, Francja d o s t a r c z y ł a Woltera!

Dzisiaj Francja przeklina część spuścizny Woltera, wstydząc się go — „*Le Point*”: „*Był ikoną, chlubą Fran-*

cji, heroldem wolności, idolem, godłem Oświecenia, założycielskim symbolem Rewolucji Francuskiej, praojcem nurtu republikańskiego, a tymczasem okazało się, że nie był postacią kryształową, całkowicie godną podziwu” (2013). Gdy sobie to uświadomili arcykapłani politoprawności — miał przerąbane. Jego dzieła drukuje się teraz nie dość, że rzadko, to jeszcze ocenzone mocno, a jego wszechświatowy pomnik zdaje się niknąć, ginać, rozpyływać. Cudownie antycypował to Salvador Dali, malując (1940/1941) płótno „*Targ niewolników i znikające popiersie Woltera*” (cytowany „*Le Point*” ukazał je ze skróconym tytułem: „*Znikające popiersie Woltera*”, lepiej trafiającym w sedno, a zarazem unikającym sugerowania, że terror „*politycznej poprawności*” czyni dzisiejsze społeczeństwa Zachodu targiem marionetek). Pycha Woltera musi cierpieć (a był Narcyzem bardzo przesiąkniętym pychą, już jako młody człowiek głosił, że wiek XVIII to „*wiek Woltera*”), musi się on

w grobie przewracać, klnąć bez umiaru. Mógł lekceważyć wszystkie wcześniejsze ataki, tak polityczne, jak i kulturowe czy obyczajowe, lecz tego jednego, definitywnego, z ostatnich lat — nie mógł potraktować wzruszeniem ramion, bo to jest „*osinowy kołek*” dziurawiący szkielet wampira.

Gdy już napomknąłem wcześniejsze ataki, wcześniejsze próby zerwania mu laurów — warto przypomnieć, że pionierami byli tu Polacy. Pluli na niego, bo łasił się haniebnie do dyrygentów rozbioru Polski, zwąc ów rozbiór „*aktem sprawiedliwości dziejowej*” i radując („*Jakże się cieszę, iż dożyłem tak wielkiego zdarzenia!*”). Rwących zaborców pęta Polaków karcił („*Spiskowcy polscy, idźcie całować ręce Katarzyny Wielkiej!*”), a imperatorową zapewniał: „*chciałbym być Moskałem*”, dodając, że rozbiór Polski to „*chwała niesłychana*”. Autorowi pomysłu zaborów, królowi Fryderykowi II, gratulował: „*podział Polski jest koncepcją istic genialną*” (list z 18–XI–1772). Itd., itp. ■

Portret Woltera piszącego list w swoim gabinecie (kolorowany sztych z epoki)





Fotel roboczy Woltera
w paryskim Muzeum Carnavalet

■ W XIX wieku Polacy nie raz pisali o tej wredności człowieka lansującego się jako rycerz wolności, exemplum broszura Wacława Gasztowtta **„Poglądy filozofów francuskich XVIII wieku na sprawę polską”** (Paryż 1870).

O palmę pierwszeństwa w negliżowaniu Woltera mogliby rywalizować z Polakami historycy (m.in. taki autorytet jak Jules Michelet), którzy już przed połową XIX wieku (a przed jego schyłkiem bardzo intensywnie) wskazywali, że grający historiografa Wolter fałszował wszystko co tylko było mu niewygodne. Zwłaszcza jego sążniste rozprawy o Karolu XII i o Piotrze Wielkim grzeszą kuglarstwem faktograficznym (szczególnie prorosyjskim) nie do przyjęcia dla badaczy ceniących scjentyczną rzetelność. Tak zdemaskowano nieuczciwość Woltera, ale wiedza o tym była hermetyczna, wewnątrzgabinetowa akademicko, gdy na publicznej estradzie kapał się dalej w blasku glorii. Przez całe stulecie XX włos mu z głowy nie spadł. Na początku bieżącego został oskalpowany. Sprawdziła się jego własna maksyma, którą zamieściłem jako motto tego eseju.

COLLAPSE

Okazało się, że Wolter był „zwierzęciem” wprost antysemitą. Co długo ukrywano, nawet wówczas, gdy Holocaust wyniósł kwestię antysemityzmu ku wierzchołkowi dyskusji socjo- i politologicznych, mianując go główną rasistowską fobią wszech czasów. Dam wczesny (według mnie skandaliczny) przykład tego udawania niewiedzy na temat kontrżydowskości Woltera. Jego duchowy/ideowy prawnuk, Jean-Paul Sartre (też Francuz i też wielbiciel ruskiego totalitaryzmu), w swych poświęconych głównie francuskiemu Żydom **„Rozważaniach o kwestii żydowskiej”** (*„Réflexions sur la question juive”, 1946*) na stu kilkudziesięciu stronach przywołuje rozmaitych mądrali, od Platona do Hegla i Kierkegaarda, jak ognia unikając Wolte-

ra — nie wzmiankuje go ani jedną sylabą! Potem — do końca XX wieku — „strugano głupa” gwoili wdzięczności dla Woltera za jego libertyństwo stanowiące kolebkę wielu aspektów „politycznej poprawności” szerzonej terrorystycznie przez dzisiejszy Salon. Ale „co się odwleczę, to nie ucieczę”, bo „oliwa sprawiedliwa, zawsze na wierzch wypływa”.

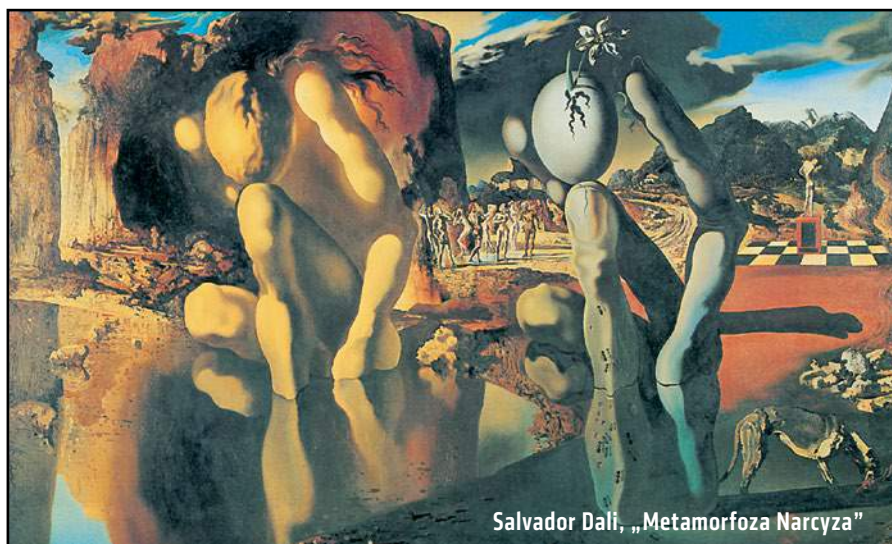
Kiedy wypłynęła na szerokie wody — Salon znalazł się z oboma rączkami w nocniku i skulił ze wstydu. Podkreślam: szerokie, gdyż dla literaturoznawców, historyków, erudytych antysemityzm chluby Oświecenia nie był żadną tajemnicą, niskonakładowe rozprawy scjentyczne, jak **„Historia antysemityzmu”** Léona Poliakova (1968), mówiły o tym wprost. Ale dopiero wydana w 2008 roku **„Judeofobia Nowoczesnych”** (*„La judéophobie des Modernes”*) Pierre'a-André Taguieffa, pełna drastycznych cytatów, przeniknęła wszędzie, nawet do mediów brukowych, kasując Woltera jako idola. Tych cytatów było dużo — daję jeden, dla przykładu: „Żydzi to nacja pod wieloma względami najbrzydlawsza ze wszystkich, kalająca ten świat (...) Plemię żydowskie okazuje bezlitosną wrogość wobec wszystkich innych plemion. Jest wiecznie pożądliwe cudzych dóbr, pełzające w nieszczęściu, a zuchwałe w szczęściu. Gdyby bóg żydowski wysłuchał modlitw swego ludu, to na Ziemi zostaliby sami Żydzi, bo ich prośby o zagładę wrogów są równoznaczne z błaganiem o wyniszczenie całej reszty gatunku ludzkiego”. Takie rzeczy pisywał Wolter w swych sztandarowych dziełach, ale spróbujcie znaleźć hasło „Żyd” w powojennych wydaniach jego **„Słownika filozoficznego”**. Nie ma — wszystkie współczesne edycje

tego „intelektualnego pomnika Oświecenia” zostały wyczyszczone z podobnych „brudów”.

Kiedy już „mleko się rozlało” — we francuskich mediach zaczęto grzmieć bez litości, że „superbohater zmienił się w supergnidę” (sic!). I żadnego alibi nie stanowił dlań fakt, że takie same opinie na temat Żydów wyrażało w Oświeceniu mnóstwo „humanistów” (nie mówiąc już o całym społeczeństwie), zaś elementem obciążającym dodatkowo stał się fakt, że bezpośredni intelektualni następcy Woltera małpowali jego fobię antyżydowską, exemplum znany niemiecki filozof Johann Gottfried Herder, który w swych **„Ideach filozoficznych”** (1785–1792) głosił: „Uniwersytet, gdzie toleruje się Żydów, stanowi bagno tak trudne do osuszenia jak Moczary Pontyjskie. Żydzi bowiem to społeczność frymarczyli i krwio pijców”. Uwalonemu już antysemityzmem Wolterowi przyklepiono natychmiast (dla dobicia) łąty mniejsze (mizogin, homofob, rasista wobec Murzynów), i było pozamiatane. Praojciec dzisiejszych salonowych „autorytetów” przeszedł demaskacyjną metamorfozę i jako „nonkoszer” runął do czarnej czeluści. Adieu!

* * * * *

Czytelników interesuje pewnie czy mam stosunek negatywny wobec wszystkiego co pisał Wolter. Nie, bo prócz draństw i głupot pisał też rzeczy bardzo słuszne i bardzo mądre, piórem czasami świetnym warsztatowo. Jako twórca aforyzmów i bon-motów był genialny. Pewna jego sentencja (wyrażona listem do encyklopedysty d'Alemberta) stała się nawet jedną z moich życiowych dewiz: „Idź zawsze drogą prawdy, sztydząc”. ©©



Salvador Dalí, „Metamorfoza Narcyza”



TYLKO U NAS!

WYWIAD Z EGZEKUTOREM AK, UCZESTNIKIEM AKCJI PRZECIWKO KOPPEMU

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

HISTORIA
DO RZECZY



NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Tomasz Konopka – **Badaniem szczątki Sikorskiego** / Piotr Zychowicz – **Co się stało z córką generała?** / Krzysztof Jasiewicz – **Sowiecki raj dla Żydów** / Eleanor Hancock – **Tajemnica nocy długich noży** / Sławomir Cenckiewicz – **Donosy Kiszczaka** / Marcin Bartnicki – **Polak, który chciał zabić Chruszczowa** / Mikołaj Iwanow – **Jak własowcy wyzwolili Pragę**

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl 8730e4e843

List otwarty do

S ANOWNY PANIE PREZYDENCIE!

1 maja, między dwiema turami francuskich wyborów prezydenckich, powiedział Pan swoim zwolennikom: „Znacie przyjaciół i sojuszników pani Le Pen. To reżimy panów Orbána, Kaczyńskiego i Putina. To nie są ustroje otwartej i wolnej demokracji. Codziennie łamane są tam liczne swobody, a wraz z nimi nasze zasady”. Wcześniej, w dzienniku „La Voix du Nord” z 27 kwietnia, obiecał Pan, że jeśli Francuzi wybiorą Pana na prezydenta, to będzie się Pan domagał szybkich sankcji przeciwko Polsce, ponieważ nie można tolerować kraju, „który w Unii Europejskiej rozgrywa różnice kosztów społecznych i który narusza wszystkie zasady Unii”. Powiedział Pan jeszcze: „W sprawie Whirlpoola, w ciągu trzech miesięcy po moim wyborze zostanie podjęta decyzja w sprawie Polski. Kładę na stole swoją odpowiedzialność. [...] Chcę, aby przypadkowi Polaki przyjrano się w sposób całościowy. I aby w kwestiach dotyczących praw i wartości Unii Europejskiej wprowadzono sankcje”.

Z Pańskich gróźb dotyczących Polski można wywnioskować, że zarzuca Pan temu krajowi, iż łączy dumping socjalny z łamaniem zasad Unii Europejskiej. Nie mówi Pan, o jakie zasady chodzi, ale Pańska przemowa pierwszomajowa pozwala lepiej to zrozumieć.

Tego typu zarzuty kierowane przeciwko innemu państwu Unii z powodu przeniesienia produkcji jakiegoś zakładu w wyniku decyzji prywatnej spółki, tj. firmy Whirlpool, przez prezydenta Republiki Francuskiej, który przez całą kampanię przedstawiał siebie samego jako zwolennika Unii Europejskiej, coraz ściślejszej integracji między krajami Unii, wolnego handlu i wolnej konku-



Emmanuel Macron

FOT. THOMAS TRUTSCHEL/GETTY IMAGE

rancji



Olivier
Bault
FOT. ARCHIWUM

rencji, to rzecz kuriozalna. Co prawda wynagrodzenia są w Polsce niższe niż we Francji, ale niższa jest też wydajność pracy, ponieważ Polska – podobnie jak inne kraje, które zostały poddane dyktaturze komunistycznej oraz sowieckiej okupacji

do przełomu lat 1989 i 1990 – nie nadrobiła jeszcze swojego opóźnienia ani nie osiągnęła poziomu rozwoju gospodarczego zachodniej części kontynentu. Chcę jednak przy okazji zwrócić Panu uwagę na fakt, że obecny polski rząd, kierowany przez panią premier Beatę Szydło z socjalno-konserwatywnej partii Prawo i Sprawiedliwość (PiS), wprowadził po raz pierwszy w Polsce minimalną stawkę godzinową (w wysokości 12 zł) oraz obowiązek płacenia pełnych składek na ubezpieczenie społeczne niezależnie od formy zatrudnienia. Dlaczego zatem miałby Pan oskarżać ten rząd o dumping socjalny, podczas gdy jako zastępca sekretarza generalnego kancelarii prezydenta Hollande’a, a potem jako minister gospodarki w rządzie premiera Vallsa nie miał Pan nigdy problemu z liberalnymi rządami premiera Donalda Tuska i premier Ewy Kopacz? Jest to o tyle dziwne, że po objęciu władzy w Polsce w 2007 r. pan premier Donald Tusk, który pełni obecnie funkcję przewodniczącego Rady Europejskiej, rozszerzył możliwości korzystania z umów opartych o prawo cywilne, które pozwalają omijać polskie prawo pracy i opłacać dużo mniejsze składki na ubezpieczenie społeczne.

A jeśli chodzi o „codziennie łamane liczne swobody, a wraz z nimi nasze zasady”, to niech mi będzie wolno powiedzieć, że jako prezydent Republiki Francuskiej widzi Pan żdźbło w oku bliźniego, a nie widzi Pan belki we własnym oku. To nie w Polsce, lecz we Francji istnieją strefy bezprawia, gdzie prawa obywateli nie są chronione. To nie w Polsce, lecz we Francji kobiety boją się wychodzić z domu w niektórych dzielnicach, także w stolicy, i nie mają prawa wstępu do niektórych kawiarenek. To również nie w Polsce,

lecz we Francji dochodzi praktycznie codziennie do celowego niszczenia i ataków na miejsca kultu religijnego, w szczególności chrześcijańskiego. To nie w Polsce, a zwłaszcza nie za rządów PiS, lecz we Francji policjanci dostawali rozkazy, aby twardo obchodzić się z pokojowymi protestami w obronie rodziny i aby nie interweniować w przypadku zniszczeń oraz aktów politycznej przemocy ze strony grup skrajnej lewicy. Liczne protesty antyrządowe, które mają miejsce w Polsce, odkąd PiS doszedł do władzy, odbywają się bez incydentów, podobnie jak protesty na rzecz liberalizacji aborcji czy te, które stawiają sobie za cel wprowadzenie większej ochrony życia, protesty pronijne i te o patriotycznej wymowie czy choćby wielki marsz środowisk narodowych 11 listopada, który również nie stwarza żadnych problemów, odkąd PiS wygrał wybory 25 października 2015 r. To także nie w Polsce, lecz we Francji mordowanych jest co roku w świetle prawa 220 tys. dzieci w fazie prenatalnej i to we Francji represjonuje się tych, którzy chcieliby zaproponować różne formy pomocy kobietom będącym w trudnej sytuacji pod pretekstem, że ogranicza się wtedy wolny dostęp do aborcji poprzez wywieranie presji na ciężarne kobiety!

A może mówiąc o łamanym swobodach i autorytarnym reżimie w Polsce, miał Pan na myśli oskarżenia Brukseli dotyczące reformy polskiego wymiaru sprawiedliwości oraz konfliktu wokół Trybunału Konstytucyjnego? Jeśli tak było, to czy na pewno zna Pan wszystkie szczegóły i okoliczności tej sprawy? Może jednak po prostu – biorąc pod uwagę to, jak bardzo Panu pomogli w wygraniu wyborów prezydenckich prokuratorzy i sędziowie francuskiej prokuratury finansowej stworzonej przez władzę socjalistyczną – nie przeszkadza Panu fakt, że wymiar sprawiedliwości jest za bardzo upolityczniony i skorumpowany? Tak czy owak powinien Pan, jeśli jest Pan przywiązany do idei demokracji, zostawiać rozwiązywanie własnych problemów polskim wyborcom. Znają oni

język, kulturę, obecną sytuację i historię swojego kraju, są zatem w lepszym niż Pan położeniu, aby rozwiązać polskie konflikty. Wydaje mi się zresztą, że ma Pan wystarczająco dużo do zrobienia na własnym podwórku. Proszę pamiętać, że ta część polskiej opozycji, która domaga się nałożenia zagranicznych sankcji na własny kraj, powiela niestety starodawną, nieszczęsną polską tradycję, której nie znamy we Francji i która Polskę już raz kosztowała utratę niepodległości pod koniec XVIII w. „Kijem tego, co nie pilnuje swego”. Niech Pan będzie mimo wszystko prezydentem Francuzów i nie próbuje być także prezydentem Polaków oraz Węgrów, gdyż oni Pana nie wybierali!

Prawdą jest, że organizacje – takie jak Reporters sans frontières i Freedom House – gorzej oceniają wolność słowa i mediów w Polsce, odkąd rządzi PiS. Proszę jednak zwrócić uwagę na to, że Freedom House wyjaśnia, iż nawet polityka społeczna PiS (zasiłki rodzinne, darmowe leki dla seniorów) narusza demokrację, gdyż sprowadza się do wykorzystywania „finansowych możliwości państwa dla osiągnięcia celów jednej partii” (raport „Freedom in the World 2017”). Nie ma też co się temu dziwić w przypadku lewicowej organizacji Reporters sans frontières, która nie miała nic złego do powiedzenia, gdy rząd Donalda Tuska wyrzucał prawników dziennikarzy z mediów publicznych czy interweniował, aby wpływać na linię redakcyjną prywatnych gazet („Rzeczpospolita”, „Fakt”...). Mówmy lepiej o wolności mediów we Francji, gdzie wszystkie duże media popierały Pana zgodnie przed drugą turą wyborów prezydenckich i wszystkie przyjęły Pana wygraną z entuzjazmem bardziej typowym dla reżimów totalitarnych.

Mówi się we Francji i w Europie, że w Polsce PiS przejął kontrolę nad mediami publicznymi. A w jaki sposób zostali wybrani obecni członkowie francuskiej rady mediów (CSA), a także w konsekwencji szefowie francuskich mediów publicznych? Czy Francuzi nie zobaczyli, jak przed debatą prezydencką pani prezes France Télévisions, Delphine Ernotte, całowała Pańską żonę Brigitte jak starą przyjaciółkę? Zamiast zajmować się pluralizmem w polskich mediach publicznych, które nie były mniej prorządowe, gdy premierem był Donald Tusk (co nikomu w Europie nie przeszkadzało), niech się Pan zajmie pluralizmem mediów publicznych we Francji. W tym miejscu nie omieszkam Panu

Prezydentowi zasugerować zapoznania się z petycją Collectif des usagers du service public de l'audiovisuel (organizacji widzów i słuchaczy mediów publicznych) na rzecz poszanowania pluralizmu w mediach finansowanych z abonamentu audiowizualnego. Wszyscy we Francji dobrze wiedzą, że pluralizm ideowy francuskich mediów publicznych rozciąga się od liberalnej lewicy, którą Pan reprezentuje, do skrajnej lewicy zbliżonej do pana Mélanchona.

A co do francuskich mediów prywatnych, niech Pan Prezydent mi wybacz, ale wszystkie one są w rękach Pańskich przyjaciół – miliarderów, żeby nie powiedzieć oligarchów, którzy są bardziej zainteresowani własnymi interesami gospodarczymi i finansowymi, które Pan obiecał chronić, aniżeli uczciwością, obiektywnością i różnorodnością informacji: Patrick Drahi, który mógł dzięki Pańskim wpływom w charakterze zastępcy sekretarza generalnego Pałacu Elizejskiego wykupić operatora telefonii komórkowej SFR i który odwdzińczył się Panu za wsparcie podczas kampanii prezydenckiej w swoich mediach (BFM TV, Radio RMC, gazety „Libération”, „L'Express”, „L'Expansion”) oraz oddelegowując do Pana sztabu prezesa swojej grupy medialnej Bernarda Mourada; Pańscy przyjaciele Vincent Bolloré (Canal+) i Xavier Niel („Le Monde”), a także wszyscy ci, którzy otwierali Pana popierali w trakcie kampanii, jak Pierre Bergé („Le Monde”, „L'Obs”, „Huffington Post”, „La Vie...”), który liczy na Pana, aby zalegalizować proceder matek surogatów, czy Arnaud Lagardère (Europe 1, „Paris Match”, le JDD, RFM) i jego okładki poświęcone Panu oraz Pańskiemu małżeństwu w „Paris Match” itp., itd. Nawet Serge Dassault, którego dziennik „Le Figaro” popierał François Fillon przed pierwszą turą wyborów, musiał Pana wesprzeć przeciwko kandydatce zapowiadającej odejście od euro i może nawet wyjście z Unii Europejskiej. Jest to oczywiście zrozumiałe, ale czy można tu mówić o wolności i pluralizmie mediów, skoro wszystkie duże francuskie media prywatne są w rękach wąskiej grupy biznesmenów miliarderów, broniących mniej więcej takich samych interesów?

Polski prezydent Andrzej Duda i rząd Beaty Szydło nie mogą liczyć na tak szerokie poparcie w polskich mediach. Wręcz przeciwnie! Jeśli chodzi o telewizję, poza kanałami publicznymi, są jeszcze dwie duże grupy medialne – TVN i Polsat.

Obie nie ukrywają swojej niechęci do obecnej władzy w Polsce. Podobnie rzecz się ma w radiu i w prasie – tu największe gazety należą do niemieckich koncernów medialnych. Są także co prawda gazety o profilu konserwatywnym, gdyż prasa polska cieszy się większą różnorodnością niż francuska. Tak było już za czasów poprzednich rządów liberałów, choć wydawcy konserwatywnych tytułów nie mieli łatwego życia, ponieważ ówczesna władza wywierała presję na reklamodawców, aby odciąć ich od źródeł finansowania. Dzisiaj największy dziennik („Fakt”), jeden z największych tygodników („Newsweek”) i największy portal internetowy (Onet.pl) należą do niemiecko-szwajcarskiego koncernu Ringier Axel Springer i ich linia redakcyjna jest bardzo krytyczna wobec polityki PiS, jego wizji Unii Europejskiej jako Europy narodów i jego konserwatywnego obyczajowego.

W naszych francuskich wyborach parlamentarnych trzech kandydatów startuje z obietnicą poparcia dla Pańskich rządów w moim okręgu (VII okręg Francuzów mieszkających za granicą – Europa Środkowo-Wschodnia): socjalista (PS), centrysta (UDI) i oficjalny kandydat Pańskiej Partii (LREM). Jeśli chodzi o kandydata centroprawicy (LR), to przedstawia się on co prawda jako opozycja, ale nie jest wykluczony, że będzie popierał Pański rząd, jeśli zostanie posłem. Aby mieć pewność, że oddam swój głos opozycji, mógłbym zagłosować na kandydata Frontu Narodowego. Jednak jeśli wierzyć wszystkim mainstreamowym mediom francuskim, to Front Narodowy to partia skrajnie prawicowa, nacjonalistyczna, która sieje nienawiść i doprowadzi rychło kraj do wojny. Obecny podział sceny politycznej i propaganda na rzecz Pana i Pańskich zwolenników przypominają jako żywo sytuację w Polsce. Tę sprzed 1990 r.

A zatem, Panie Prezydencie, jeśli koniecznie chcemy ukarać kraje unijne, w których – jak nam się wydaje – „codziennie łamane są liczne swobody, a wraz z nimi nasze zasady”, to nie Polska i Węgry powinny zostać objęte sankcjami w pierwszej kolejności. Powinna być to Francja.

**Z poważaniem
Olivier Bault**

Korespondent w Polsce katolickiego dziennika „Présent” oraz portali Réinformation TV i Visegrád Post. Dziennikarz tygodnika „Do Rzeczy” i portalu Boulevard Voltaire.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Francuska wersja listu na stronie DoRzeczy.pl.

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017



*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest
godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



V EDYCJA NIEZWYKŁEJ NAGRODY

PARTNERZY STRATEGICZNI:



PARTNER GŁÓWNY:



PARTNER WYDARZENIA:



MECENAS:



WIĘCEJ INFORMACJI NA
www.dorzeczy.pl/straznik-pamieci/
epraśa.pl 8730e4e843





IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Brawa dla dzieci i młodzieży

Kilka wypadków uruchomiło ostatnio kolejną falę zwyczajowego narzekania na młode pokolenie. Faktycznie, nagromadziło się trochę smutnych faktów. W Warszawie maszerowali jacyś goście, którzy hajlowali. W Trójmieście nastolatki znęcały się nad rówieśniczką. W Gazecie.pl ukazał się anonimowy list millenialsa, który aspirował do bycia głosem pokolenia, a który był groteskową grafomanią, od której albo bolały zęby (jeśli ktoś potraktował ją poważnie), albo uda (jeśli ktoś bił się po nich z uciechy).

W młodych walą i z lewa, i z prawa. Z lewa – bo młódzież jest irytująco patriotyczna, tatuuje sobie na łydkach znak Polski Walczącej (aczkobywa, że na drugiej łydce jest Che Guevara), lubi Kuzia, chodzi na pogrzeby „Inki” i innych wykletych oraz nie czyta „Gazety Wyborczej”. Słyszałem nawet, że kiedyś podczas zebrania w Agorze, po przemówieniu Michnika, jakiś młodziak spytał teatralnym szeptem, co to za facet, który się tak jąka. No cóż, młodzi zerwali się z liberalnej smyczy, więc trudno ich lubić.

Natomiast konserwatyści krytykują po konserwatywnemu. Że młodzież coraz głupsza, że bydlęcieje w gimnazjach, że siedzi w komputerach i smartfonach, że nie zachwyca się „Potopem” i nie rozumie, co znaczy słowo „imponderabilia”. Czyli z grubsza narzekają na to samo, na co zawsze narzekali starzy, idealizujący swoje czasy, w których narzekano na nich, kiedy byli młodzi.

Co do mnie – i zapewniam, że nie uwodzę chwilowo żadnej nastolatki, nawet pełnoletniej – uważam, że obecne dzieciaki są wspaniałe. Wygolonych dresiarzy, którzy w latach 90. złopali w tramwajach piwsko i głośno przeklinali, wyparli sympatyczni ludzie, którzy namiętnie ustępują miejsca staruszkom. Te młodziaki wnoszą w nasz świat sporo barwności i uśmiechu, ale też bardzo dużo kultury osobistej. W moim bloku-molochu kłaniają mi się nawet te nastolatki, które ledwo kojarzę. Wyjątkiem jest jedna dziewczucha, w której domu – by sparodiować teksty z czasów początku programu „500+” – czyta się „Newsweeka”.

Nie powiem, że za moich czasów było lepiej. Owszem, może bardziej interesowaliśmy się historią XVII w., ale z drugiej strony wielu moich kolegów z otwockiego osiedla wybrało po roku 1989 karierę bandyty. Dzisiaj jest to, zdaje się, rzadka ścieżka rozwoju osobistego. Mity zaś, jakoby dzisiejsza młodzież została pokiereszowana przez wirtualną rzeczywistość i nie jest w stanie nawiązać prawdziwej przyjaźni czy koleżeństwa, to pseudosocjologiczne bzdety, w które może wierzyć tylko ten, kto nigdy nie pił piwa nad Wisłą i nie widział, co tam się dzieje. Jak cudowna atmosfera tam panuje.

Uwielbiam młodych ludzi. Po prawdzie pewnie także dlatego, że to moje dzieło. To znaczy nie tylko moje. Jednak to myśmy ich tak fajnie wychowali. Co nie? ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Polityka realna

Wbrew tym, którzy chcieliby jak najszybciej spisać Trumpa na straty, uważam, że ich marzenia prędko się nie spełnią. Trump, nowicjusz w polityce, uczy się błyskawicznie, wyciąga wnioski z popełnianych błędów, naprawia je i idzie dalej. W odróżnieniu od swego poprzednika, który awansem dostał Nobla za coś, czego nigdy nie zrobił, Donald chce uprawiać politykę realną. A ta nie zależy od zaklęć, pobożnych życzeń ani powoływania się na wartości.

Trump jest biznesmenem dbającym o sukces powierzzonego mu interesu

Clinton rozpoczął wycofywanie Ameryki z roli żandarma świata, Bush zobaczył dobro w oczach kagebisty Putina, a Obama zafundował światu arabską wiosnę, po której państwa Bliskiego Wschodu do dziś nie mogą się pozbierać. Na jakiej podstawie wymyślił, że Arabowie, jeśli się im podaruje demokrację, wybiorą wartości Zachodu, a nie skrajny islamski fundamentalizm – nie wiadomo.

Co zatem robi Trump? Obwąchuje i znaczy swoje terytorium – rozmawia z silnymi: Chińczykami, Brytyjczykami, Izraelem, Iranem, polazł do jaskini lwa

– Rijadu w Arabii Saudyjskiej, wylegarni i sponsora wszelkiego terroryzmu.

Na tyle, na ile poznał politykę, wie, że liczy się w niej marchewka dla jednych, kij dla drugich. Silnych się nienawidzi, ale i szanuje, słabymi się nie przejmując i gardzi. Stąd pogrozenie „matką wszystkich bomb” i lotniskowce na Morzu Południowochińskim.

Wielkim błędem jest postrzeganie Trumpa jako konserwatywnego ideologa. On jest przede wszystkim biznesmenem, dbającym o sukces powierzzonego mu interesu.

Amerykański prezydent nie chce zbawiać świata na siłę, on chce zadbać o własny kraj. Nie wpuści islamskiej zarazy, zbuduje mur przed niekontrolowanym napływem Latynosów, odbuduje potęgę przemysłową USA... I nie zazdroszczę tym, którzy zechcą mu przeszkodzić.

Nie wiem, na ile zna historię, ale myślę, że na tyle, by wiedzieć, iż aborcje, pedastwo i zatrata cnót męskich zgubiły Rzym. A relatywizm obywatelstwa człowieka i czyni go niezdolnym do działania. Świat, który w jego imię wyrzeknie się silnych wartości, nie ma szans przetrwać w zderzeniu cywilizacji. Wspomniany Rzym górował pod każdym względem nad otaczającymi go barbarzyńcami – kulturowo, cywilizacyjnie, militarnie. Upadł, kiedy Rzymianie stracili ochotę walczyć i się rozmnażać.

Prawdopodobnie w tej dekadzie zdecyduje się i nasz los. ©©

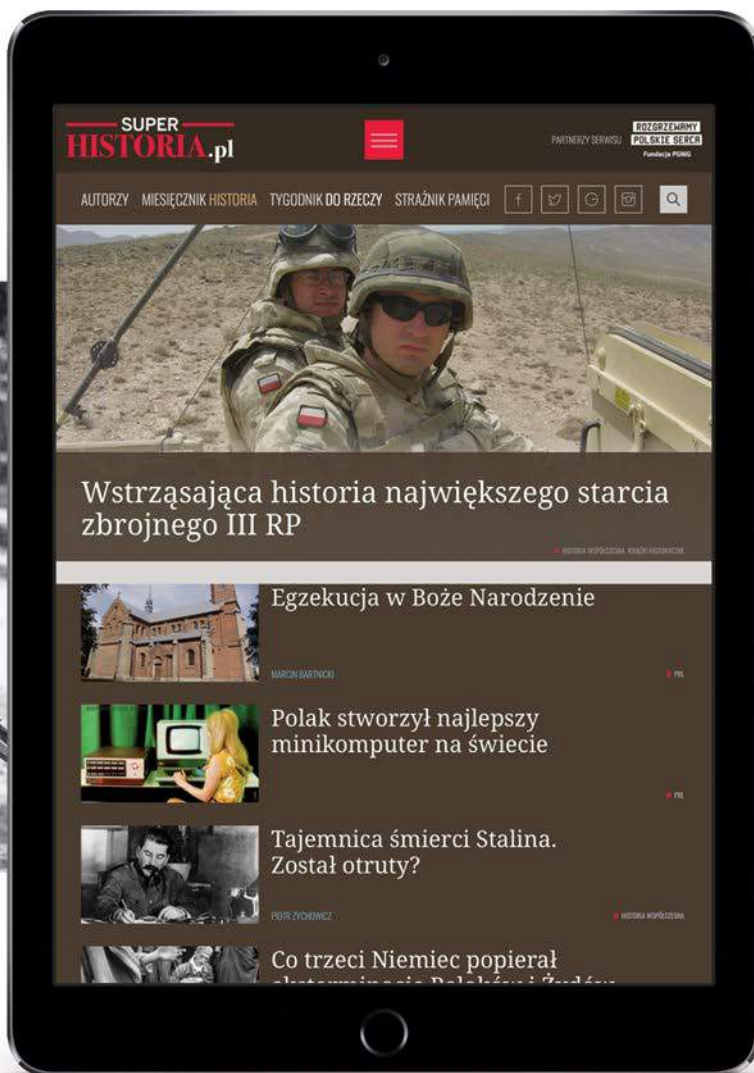
SUPER HISTORIA.pl

NAJMŁODSZY PORTAL HISTORYCZNY W POLSCE

1863
1918



1989
1683
1939



1989



1791

ARTYKUŁY I KOMENTARZE NAJLEPSZYCH PUBLICYSTÓW HISTORYCZNYCH
O NAJWAŻNIEJSZYCH WYDARZENIACH Z HISTORII POLSKI I ŚWIATA.
RECENZJE I FRAGMENTY KSIĄŻEK HISTORYCZNYCH.

PARTNERZY SERWISU:



Fundacja PGNiG

eprasa.pl 8730e4e843



„Nie” dla gloryfikacji



Piotr Zychowicz

Polska nigdy nie kolaborowała z Sowiecami, ale żołnierze LWP byli wielkimi bohaterami – trudno nadążyć za meandrami polityki historycznej PiS

Antoni Macierewicz wygłosił niedawno przemówienie z okazji rocznicy zakończenia II wojny. Zgromadzonemu na uroczystości słuchaczom ogłosił, że Polacy „nie zniżyli się do kolaboracji”. – Polska była jedynym narodem, jedynym państwem, które nigdy nie kolaborowało ani z sowieckim, ani z niemieckim zaborcą, które nie

stworzyło w czasie II wojny światowej rządu kolaborującego – mówił minister obrony.

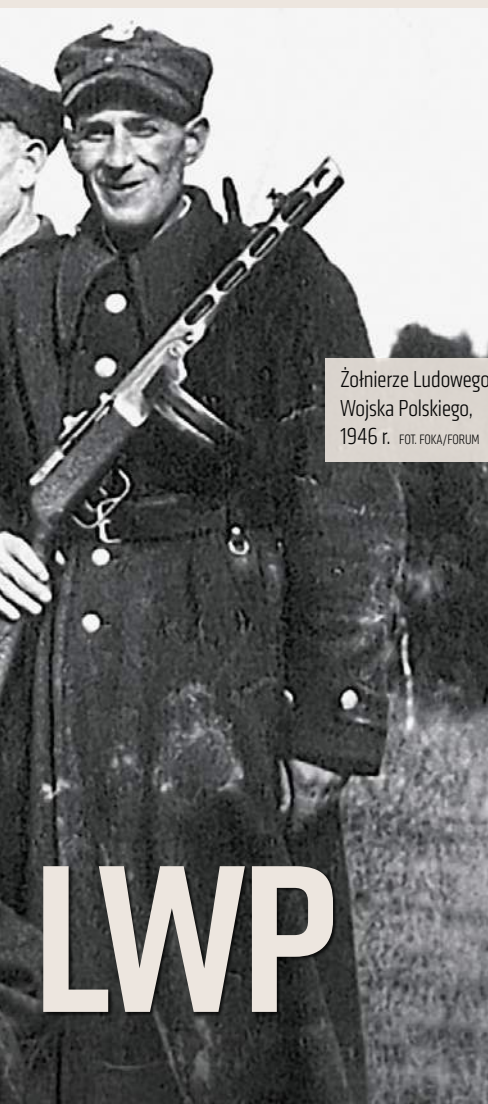
Trudno nie opatrzyć tych słów komentarzem. W rzeczywistości bowiem jedną z podstawowych przyczyn naszej klęski było nierówne traktowanie obu naszych okupantów. O ile wobec Niemców Polacy rzeczywiście zachowali postawę niezłomną, o tyle II wojna światowa w naszym wykonaniu była całym pasmem kompromisów, układów, ustępstw, umizgów i aktów kolaboracji z bolszewikami.

Gdy Niemcy 1 września zaatakowali Polskę od zachodu, Wojsko Polskie stawiało im mężny opór. Gdy bolszewicy 17 września zaatakowali Polskę od wschodu, marszałek Edward Śmigły-Rydz wydał rozkaz: „Z Sowiecami nie walczyć!”. Mało tego, Polska nawet nie wypowiedziała wojny agresorowi,

który na nią napadł i odebrał jej połowę terytorium.

O ile pod okupacją niemiecką niemal żaden liczący się polski intelektualista nie poszedł na kolaborację z wrogiem, o tyle pod okupacją sowiecką było odwrotnie. Czołowi polscy pisarze masowo zapisywali się do związku literatów sowieckich i pisali obrzydliwe peany na część Stalina. Związek Walki Zbrojnej pod okupacją niemiecką dzielnie stawiał czoła gestapo, a ZWZ pod okupacją sowiecką szybko dostał się pod kontrolę bolszewików.

„W walce między ZSRS a Niemcami naród polski powinien stanąć przy boku ZSRS – deklarował na Łubiance aresztowany przez NKWD pułkownik Leopold Okulicki. – Zwycięstwo ZSRS da narodowi polskiemu możliwość życia i rozwoju narodowego, kulturalnego, gospodarczego i politycznego, zeznanie swoje



Żołnierze Ludowego
Wojska Polskiego,
1946 r. FOT. FOKA/FORUM

LWP

napisałem i deklaruję chęć dalszej pracy. Będzie Polska czerwona, dobrze, byle tylko była. Zrobi to jej zresztą dobrze, wyzwoli i odkryje nowe, nieznane dotąd siły Narodu”.

Gdy w 1941 r. wybuchła wojna między Hitlerem a Stalinem, Polska już ostatecznie porzuciła papierową zasadę „dwóch wrogów”. Mimo przerażających bestialstw i aktów ludobójstwa, jakich bolszewicy dopuścili się na Polakach w latach 1939–1941, polski rząd podpisał pakt z Sowietami.

„Sojusz” ten trwał w najlepsze aż do 1943 r., gdy Niemcy odnaleźli ciała naszych oficerów pomordowanych w Katyniu. Czy oburzony tym Sikorski zerwał stosunki dyplomatyczne z Sowietami? Skądże! To bolszewicy zerwali stosunki z Polską. Mimo to Polacy nadal nie przestali umizgiwać się do sowietarzy. Dotychczasową formułę „sojusznik”

zastąpili jedynie określeniem „sojusznik naszych sojuszników”.

W efekcie, gdy Armia Czerwona zaczęła w 1944 r. zalewać Polskę, oddziały AK otrzymały rozkaz ujawnienia się przed mordercami z katyńskiego lasu i podjęcia z nimi współpracy. Mowa oczywiście o akcji „Burza”, czyli jednym z najbardziej tragicznych, a zarazem pożałowania godnych epizodów w naszych dziejach.

Wymieniać by tak można jeszcze długo. W świetle tych faktów teza, że Polacy nie kolaborowali z okupantem sowieckim, jest – delikatnie ujmując – trudna do obrony. To, co jednak najbardziej zaskakuje, to fakt, że wygłosił ją akurat Antoni Macierewicz.

Polityk, o którym wiem, że nie tylko zna się na historii, lecz także – co jest w tej grupie zawodowej bardzo rzadkie – ma rozsądne podejście do okresu II wojny światowej. To przecież Macierewicz w podziemnym wydawnictwie „Głos” drukował „rewizjonistyczne” książki prof. Jerzego Łojka. Przyjaźnił się również z prof. Pawłem Wieczorkiewiczem.

Gdy zapytałem jednego ze współpracowników ministra o wyżej wspomniane wystąpienie, westchnął ciężko i powiedział: „Polityka...”.

No tak, polityka. Słowa o tym, że Polacy nigdy nie zniżyli się do kolaboracji, padły dzień po wyborach we Francji i miały być prztyczkiem w nos Emmanuela Macrona. Ja też nie należę do fanów nowego francuskiego prezydenta, trudno jednak dopatrzeć się logiki w takiej formule: marszałek Petain podpisujący w 1940 r. pakt z Hitlerem jest paskudnym kolaborantem – gen. Sikorski podpisujący w 1941 r. pakt ze Stalinem jest nieskazitelnym bohaterem i mężem stanu.

H ŁD LWP

Słowa Antoniego Macierewicza to jednak nic w porównaniu z nowym kierunkiem polityki historycznej, jaki obrał prezydent Andrzej Duda. Do tej pory PiS trzymał się twardej antykomunistycznej retoryki, ale prezydent postanowił poszerzyć „bazę” i zrobić ukłon w stronę elektoratu postkomunistycznego.

Mowa o udziale w obchodach 72. rocznicy forsowania Odry przez Ludowe Wojsko Polskie i Armię Czerwoną, które odbyły się na Cmentarzu Wojskowym w Siekierkach. Prezydent wystosował list do uczestników uroczystości, który równie dobrze mógłby wyjść spod pióra Władysława Gomułki czy Edwarda Gierka.

„Na tym Cmentarzu Wojennym spoczywa dwa tysiące naszych rodaków, którzy oddali życie za sfinansowanie Odry, za otwarcie drogi na Berlin, za zwycięstwo nad hitlerowskimi Niemcami – napisał prezydent. – To od tamtego zwycięskiego kwietnia 1945 r. wznoszą się nad Odrą graniczne słupy, wyznaczające zachodni kraniec naszego państwa”.

A oto fragment przemówienia wygłoszonego przez prezydenta podczas samych uroczystości:

„Jesteśmy tu, na tym cmentarzu, gdzie w dostojności i ciszy spoczywają żołnierze, z których krwi powstała wolna Polska, ta, która jest tu i teraz, dzisiaj. Nie byłoby jej tutaj na tej ziemi, gdyby nie tamta krew przelana. [...] Krew przelana za ojczyznę jest jedna, krwi przelanej za ojczyznę nie wolno w żaden sposób dzielić i nie wolno w żaden sposób dzielić tych, którzy za ojczyznę polegli. [...] Czy szli ze Wschodu, czy z Zachodu, ci żołnierze szli po to, by Polska była wolna – o nią walczyli i za nią ginęli”.

Myślę, że spora część elektoratu PiS – który partia ta wychowuje w kulcie żołnierzy wyklętych i bezkompromisowej walki z komuną – czytała te słowa w osłupieniu. Nagle okazało się bowiem, że komunistyczne wojsko zasługuje na szacunek i uznanie. To samo komunistyczne wojsko, które w zaciekły sposób tropiło i zwalczało ukrywających się po lasach żołnierzy podziemia.

Chociaż nasi cudowni politycy przyzwyczaili nas już do rozmaitych wygibasów i łamańców myślowych, to ten należy do jednych z najbardziej karłowatych. Nie da się bowiem pogodzić kultu antykomunistycznych żołnierzy wyklętych z kultem komunistycznego Ludowego Wojska Polskiego. Albo – albo. Trzeba się na coś zdecydować. Albo najazd sowiecki lat 1944–1945 uważamy za nową okupację, albo za „wyzwolenie”.

OFIARY KOMUNY

W wystąpieniach prezydenta pojawiły się trzy zasadnicze tezy. Wszystkie są mocno dyskusyjne.

Teza 1: „Z ich krwi powstała wolna Polska”

Trudno zrozumieć, w jaki sposób wolna Polska – która istnieje od 1989 r. – mogła powstać dzięki forsowaniu Odry przez żołnierzy LWP w roku 1945. Między tymi wydarzeniami nie ma żadnego związku przyczynowo-skutkowego. Dzięki żołnierzom LWP nie powstała „wolna Polska”, tylko PRL.

LWP nie było bowiem wojskiem niepodległej Rzeczypospolitej. Było zbrojnym ramieniem bolszewickiego Związku Patriotów Polskich, a później marionetkowego PKWN, a więc instytucji wrogich idei wolnej Polski. Stworzenie LWP było działaniem bezprawnym, elementem kampanii propagandowej Stalina mającej legitymizować przyszły zabór i sowietyzację Polski.

Na froncie LWP biło się pod dowództwem oficerów oddelegowanych z Armii Czerwonej i agentów NKWD. Nad polityczną „prawomyślnością” żołnierzy czuwali zaś politrucy. Wojsko to walczyło u boku naszego śmiertelnego wroga – Armii Czerwonej. Nie realizowało interesów Polski, ale interesy Moskwy.

Teza 2: Dzięki walce LWP komunistyczna Polska otrzymała tzw. ziemie odzyskane.

Znowu są to dwie niemające ze sobą nic wspólnego sprawy. To nie żołnierze LWP – jak powiedział prezydent Duda – „wnosili nad Odrą graniczne słupy”. Słupy te wznosił Stalin. O powojennym kształcie terytorialnym Europy Środkowo-Wschodniej sowiecki dyktator decydował zaś, kierując się swoimi geopolitycznymi kalkulacjami, a nie uznaniem dla dokonań sił zbrojnych PKWN. W momencie, gdy żołnierze LWP forsowali Odrę, zasadniczy przebieg granicy przyszłej komunistycznej Polski był już ustalony.

Teza 3: Żołnierze LWP walczyli o wolną Polskę tak samo jak polscy żołnierze na Zachodzie.

Prezydent Duda, stawiając tę tezę, wypowiedział hasła od lat używane przez środowiska postkomunistyczne: „Krwí przelanej za ojczyznę nie wolno dzielić”; „czy szli ze Wschodu, czy z Zachodu, szli po to, by Polska była wolna”.

Na podobne postawienie sprawy nie może być zgody. Tylko ci, którzy szli z Zachodu, walczyli bowiem o to, żeby Polska była wolna. Ci, którzy szli ze Wschodu, walczyli o to, żeby Polska była komunistyczna. Jest to różnica zasadnicza. Nie można stawiać znaku równości między wojskiem Niepodległej – armią z kampanii 1939 r., armią gen. Władysława Andersa czy AK – a jednostkami stworzonymi przez Stalina.

Oczywiście w LWP służyło wielu zwykłych Polaków, którzy akces do komunistycznych sił zbrojnych uważali za sposób na ucieczkę z Sowietów lub – co było znacznie częstsze – zostali w ich



Prezydent Andrzej Duda przemawia podczas uroczystości z okazji 72. rocznicy forsowania Odry FOT. ANDRZEJ SZKOCKI/POLSKA PRESS/EAST NEWS

szeregi wcieleni siłą. Dla Stalina, Bieruta, Bermana i innych bolszewickich komisarzy ludzie ci byli tylko mięsem armatnim. Dowodzeni po sowiecku – czyli w sposób dyktancki, bez liczenia się z życiem żołnierzy – krwawili się w walce o cele, z którymi często się nie utożsamiali.

Krytyczna ocena tej formacji nie oznacza oczywiście potępienia tych zwykłych żołnierzy. Nie róbmy z nich jednak od razu wielkich bohaterów walki o wolną Polskę. Traktować ich należy tak samo jak Bogu ducha winnych Rosjan, Ukraińców czy Białorusinów wcielonych do Armii Czerwonej. Czyli jako ofiary komunizmu.

O nastrojach panujących w LWP dużo mówią protokoły przesłuchań berlingowców wziętych do niewoli przez Niemców. Oto fragment zeznania kaprała Henryka Gwisa opublikowanego w tomie IPN „Powstanie Warszawskie 1944 w dokumentach z archiwów służb specjalnych”:

„Nastroje wśród nas, żołnierzy, są złe – mówił. – Większość dowódców i politruków to Żydzi, którzy stale na nas krzyczą i pędzą nas do walki. O co właściwie walczymy, nie wiemy. Wyżywienie było złe. Dostawaliśmy tylko dwa razy dziennie zupełną małą puszkę konserwy mięsnej na dziewięciu ludzi. Masło lub smalec otrzymywaliśmy niezwykle rzadko. Podczas marszu do Warszawy tylko raz polska ludność cywilna witała nas trochę serdeczniej. Poza tym patrzono na nas krzywym okiem. Raz się zdarzyło, że ludzie wołali do nas: »Jakie z was polskie wojsko, jeżeli macie żydowskich dowódców!«”.

Skoro Polacy w 1944 r. nie uważali LWP za wojsko polskie, to dlaczego mamy to robić dziś?

SOWIECCY OFICEROWIE

Co ciekawe, władze polskie zdawały sobie sprawę z ryzyka związanego z wizytą prezydenta Dudy w Siekierkach. Świadczyć może o tym choćby wystosowane przed uroczystościami pismo wicewojewody zachodniopomorskiego Marka Subocza do Wojskowego Biura Historycznego. Prosił on w nim o udzielenie informacji na temat oficerów LWP, którym miał złożyć hołd prezydent.

Przeprowadzona kwerenda archiwalna dała ciekawe wyniki. Wśród poległych „polskich bohaterów” znaleźli się bowiem m.in.:

- ppłk **Sergiusz Raskow**, *Rosjanin oddelegowany z Armii Czerwonej, na co dzień mieszkający przy ulicy Leningradzkiej w Moskwie;*
- mjr **Borys Maleszek**, *weteran walk w Leningradzie i Stalingradzie, absolwent sowieckiej Kijowskiej Szkoły Artyleryjskiej z 1937 r.;*
- ppłk **Ignacy Goranin**, *kawaler orderu Czerwonej Gwiazdy, żołnierz Armii Czerwonej od 1928 r., absolwent szkoły wojskowej w Ordżonikidze;*
- por. **Aleksander Rybaczonek**, *politruk;*
- kpt. **Jan Gomze**, *deklarujący narodowość białoruską oficer oddelegowany do LWP z sowieckiej szkoły wojennej w Omsku;*
- kpt. **Michał Rackow**, *pochoźący z okolic Witebska absolwent sowieckiej szkoły oficerskiej w Smoleńsku, weteran Armii Czerwonej.*

Do tego jeszcze dwóch „polskich patriotów” – mjr Mikołaj Pawlenko i kpt. Borys Lubimow.

Właśnie dlatego bliższe od stanowiska prezydenta Dudy jest mi stanowisko gen. Sikorskiego, który uznał LWP za „polską dywizję komunistyczną, o charakterze dywersyjnym”, a jej twórcę – gen. Zygmunt Berlinga – za „zdrajcę, który zdezerterował z Wojska Polskiego”.

Podobnego zdania był gen. Anders: „Tradycja oręza polskiego jest tak wielka i tak stara jak nasza tysiącletnia historia. Są w niej zwycięstwa, są i klęski, ale nie może być w niej zdrady narodowej. Lepiej nie mówić o tradycji oręza polskiego tam, gdzie oddziały formował nasz wróg i najeżdźca Polski”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Występujący w artykule termin „Ludowe Wojsko Polskie” to powszechnie stosowana, nieoficjalna nazwa polskiej armii sformowanej przez Stalina.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Naród pod bronią

Niemcy – począwszy od Prus Fryderyka Wilhelma, a skończywszy na III Rzeszy Adolfa Hitlera – przedstawiane są często jako naród zmilitaryzowany. Kraj ten miał w przeszłości przypominać znakomicie zorganizowaną maszynę wojenną, której zdyscyplinowani obywatele karnie wykonywali wolę przywódców.

Choć nasz zachodni sąsiad rzeczywiście miał świetne siły zbrojne, stereotyp ten nie jest prawdziwy. Niemieccy żołnierze nie byli bowiem żadnymi cyborgami, tylko zwykłymi ludźmi. Pełnymi emocji, wątpliwości i strachu. Część z nich szła na front z patriotycznym – a później narodowosocjalistycznym – uniesieniem, ale część wprost przeciwnie. Po prostu starała się przeżyć.

I właśnie o tym jest błyskotliwa książka Nicholas Stargarda. Brytyjski historyk dotarł do wielkiej liczby dzienników, listów, pamiętników i innych osobistych źródeł. I na ich podstawie przedstawił II wojnę światową nie z perspektywy Hitlera i jego generałów, ale zwykłych żołnierzy. Przeciętnego Müllera czy Schmidta, którzy zostali powołani do wojska i rzućni do walki setki kilometrów od domu.

Jak ludzie ci reagowali na ekstremalne

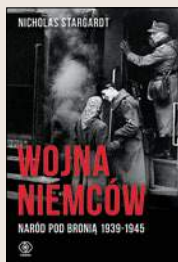
warunki panujące na froncie i – przede wszystkim – jak przyjmowali popełniane przez ich współbraci zbrodnie? Okazuje się, że różnie.

Część była w stanie zachować swoje człowieczeństwo, a część zamieniała się w zwierzęta. Stargardt pokazuje to choćby na przykładzie masakr dokonanych jesienią 1939 r. na włączonych do Rzeszy terenach Polski.

Część żołnierzy z ciekawością przyglądała się mordom, pomagała esesmanom w zakopywaniu trupów i robiła fotografie zamordowanym. Niektórzy nawet dołączali do plutonów egzekucyjnych. Inni z kolei doznawali moralnego wstrząsu i starali się protestować.

Choćby pewien lekarz z 4. Armii, który był tak oburzony zbrodniami, że zebrał wstrząsające relacje świadków i – cóż za naiwny człowiek! – wysłał je Hitlerowi.

Stargardt w swojej książce ukazuje nie tylko destrukcyjny wpływ, jaki wojna miała na psychikę wystawianych na front „zwykłych Niemców”, lecz także postawy ich pozostawionych w Rzeszy rodzin. A wreszcie tragiczny finał roku 1945 – gdy rozpoczęta przez Hitlera wojna dobiegła do Niemiec. ©



★★★★★
NICHOLAS STARGARDT
„WOJNA NIEMCÓW.
NARÓD POD BRONIĄ
1939–1945”
REBIS



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Aktorzy i alkohol

Wczasach PRL alkohol towarzyszył aktorom właściwie zawsze i wszędzie, a prawdziwych abstynentów z tego środowiska można było policzyć na palcach jednej ręki. Trunki w dużych dawkach były także obecne podczas realizacji filmów, a niektórzy reżyserzy nie widzieli w tym niczego złego. Gdy Kazimierz

nadzwyczaj ciekawe historyjki. Żwawo do nich dołączyłem. Nie minęło może pół godziny, gdy weszła moja żona, podeszła do mnie i publicznie dała mi w pysk. Znając mnie, czym prędzej odwróciła się na pięcie. Starła się iść demonstracyjnie, z godnością, ale jednocześnie na tyle szybko, żeby umknąć przed rowerem, którym w nią rzuciłem. Kazio zdążył tylko krzyknąć:

– Jezus!

Rower (bo był to jego rower) już frunął, ale trafił w zamykające się za Moniką drzwi. Rozleciał się w drobny mak”.

Dla Małgorzaty Braunek „Skok” stał się furtką do kariery. Niebawem Andrzej Wajda zatrudnił ją w „Polowaniu na muchy” i rola ta uczyniła z aktorki gwiazdę. Realizacja filmu początkowo napotykała pewne problemy, Wajda nigdy wcześniej nie współpracował z Braunek i nie mógł z nią dojść do porozumienia. Poprosił o radę Kutza i kolega wyjaśnił, jak należy prowadzić panią Małgorzatę na planie:

„Andrzeju kochany, to jest motylek. Co ja mówię, motylek... To jest właściwie niteczka babiego lata, ta Margaret Braunek. Należy ją otoczyć ciepłym zefirkiem. Patrzeć, na rękach nosić, dmuchać i chuchać delikatnie, żeby ona mogła kołysać się w zachodzącym jesiennym słończku. I z tego wynikną najpiękniejsze rzeczy, wierz mi...”

I po tym poemacie Kutz dodaje:

– A nie jest źle przed ujęciem dać jej setkę!... ©

Przychodzili na plan w strasznym stanie; te czerwone oczka...

Kutz (mający, jak wiadomo, bardzo pozytywny stosunek do alkoholu) realizował „Skok”, pozwalał swoim podwładnym na wyjątkowo wiele.

„[Daniel Olbrychski] do picia potrzebuje kompana – tłumaczyła Małgorzata Braunek. – A jak znajdzie kogoś, kto mu dorównuje! Kiedy kręciliśmy »Skok«, razem z Opanią mieli tak zwane trzydniówki. Po prostu nie mogli skończyć. Przychodzili na plan w strasznym stanie; te czerwone oczka... No, trudno się dziwić, bo pili do czwartej czy szóstej nad ranem, a za godzinę rozpoczynaliśmy pracę. Mieli żelazne zdrowie!!!”.

Pracę nad filmem utrudniały również awantury między Danielem Olbrychskim a jego pierwszą żoną, Moniką Dzienisiewicz.

„Kutz i Opania – wspominał Olbrychski – w towarzystwie jakichś statystek popijali wódeczkę, opowiadając sobie

Dzieci na celowniku



Jacek Przybylski

Zamachy powszednieją. Terrorysty naruszyli więc kolejne tabu. W najtragiczniejszym od 12 lat ataku na Wyspach celowo uderzyli tak, by zabić jak najwięcej jak najmłodszych

Ze zdjęć uśmiecha się pogodna mała szatynka o ciemnych oczach. Niewinna dziewczynka ma zaledwie osiem lat. Fotografie Saffie Rose Roussos – która na koncert do Manchesteru przyjechała z mamą i ze starszą siostrą – upubliczniła rodzina, desperacko próbująca ją odnaleźć po zamachu. Wzruszających apeli rodziców, którzy poszukiwali swoich dzieci, było w ubiegłym tygodniu bardzo wiele.

Saffie już nigdy się nie uśmiechnie. Brytyjscy policjanci zidentyfikowali ją jako najmłodszą z 22 ofiar zbrodni dokonanej przez muzułmańskich terrorystów. Na liście zamordowanych przez islamistę dzieci są też: 14-letnia Sorrell Leczkowski oraz 15-letnia Olivia Campbell. Szczęśliwa Olivia zdążyła jeszcze tuż po koncercie podziękować matce za to, że pozwoliła jej pójść na tak fantastyczne wydarzenie. W zamachu zginęło też dwo-

je Polaków – rodzice dwóch córek, które przyjechali odebrać po koncercie.

Sam zabójca, islamski ekstremista, miał zaledwie 22 lata. Salman Abedi to syn pary, która do Wielkiej Brytanii uciekła z Libii przed okrutnym reżimem Muammara Kaddafiego. Abedi celowo uderzył w najbardziej niewinnych. Wiadomo było bowiem, że to oni będą wśród publiczności Ariany Grande, 23-letniej amerykańskiej piosenkarki znanej głównie widzom

dżihadu



Ośmioletnia Saffie Rose Roussos (fotografia z lewej) jest najmłodszą z 22 ofiar zamachowca z Państwa Islamskiego. FOT. GETTY IMAGES

telewizyjnego kanału dla dzieci i młodzieży Nickelodeon. Przez kilka godzin mógł obserwować nawet beztróską zabawę swoich przyszłych ofiar. Zaatakował dopiero po koncercie, gdy szczęśliwe dzieci i nastolatki zmierzały w kierunku domów.

BEZ PANIKI

Bestialski atak przeprowadzony przez „żołnierza kalifatu” – jak nazwali go przedstawiciele tzw. Państwa Islamskie-

go, które przyznało się do zorganizowania ataku – był najkrwawszy od czasu zamachów na londyńskie metro w 2005 r. (zginęło wówczas 56 osób, a niemal 800 zostało rannych). Jego islamscy towarzysze na portalach społecznościowych nie ukrywali radości z uderzenia w „zgromadzenie krzyżowców w Manchesterze”. Matka i siostra ośmioletniej Saffie trafiły do szpitali. Podobnie jak niemal 120 innych osób zostały trafione

odłamkami. Terrorysty celowo umieścili bowiem w bombie śruby i gwoździe, aby ranić jak największą liczbę osób.

Tym łatwiej jest więc zrozumieć nie tylko papieża Franciszka, który wyraził smutek z powodu „barbarzyńskiego ataku”, lecz także słowa przywódców Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Premier Theresa May celnie oświadczyła, że atak w Manchesterze był „potwornym i odrażającym aktem tchórzostwa wymierzonym w niewinnych ludzi”. Amerykański prezydent Donald Trump trafnie określił zaś zamachowca z Manchesteru mianem „diabelskiego życiowego nieudacznika”.

Zamachy w krajach zachodnich coraz bardziej jednak powszednieją. Po atakach z 11 września 2001 r. na giełdach panowała panika. Inwestorzy gwałtownie reagowali również na kolejne zamachy. Dochodziło nawet do tego, że w USA indeksy spadały przed Dniem Niepodległości, ponieważ inwestorzy obawiali się, iż podczas święta może dojść do jakiegoś ataku. Obecnie gracze przywykli już jednak do wiadomości o zamachach terrorystycznych w Europie czy USA. Na atak w Manchesterze globalne rynki niemal nie zareagowały. Co więcej, główny wskaźnik giełdowy w Londynie (FTSE 100) we wtorek i tak minimalnie wzrósł. Paniki na światowych parkietach nie było zresztą widać ani po ubiegłorocznym zamachu w Nicei, ani po ataku na jarmarku bożonarodzeniowym w Berlinie.

GROŹNIEJSZA KĄPIEL NIŻ TERROR?

Według Charlesa Kurzman z Uniwersytetu Karoliny Północnej w 2016 r. prawdopodobieństwo śmierci z rąk islamskiego terrorysty wynosiło w Stanach Zjednoczonych jeden na sześć milionów. Liberalni felietoniści próbują zaś wskazywać, że dużo bardziej niebezpieczne są kąpiele w wannie, bo topi się w nich średnio 335 Amerykanów rocznie. Statystycznie groźniejsze od islamistów są też schody czy pioruny. Oczywiście można by też napisać, że w Polsce tylko w długi majowy weekend na drogach zginęło aż 30 osób, a ponad 470 zostało rannych. Takie argumenty są nie tylko cyniczne, lecz także niebezpieczne. Wykorzystywanie tego typu statystyk może bowiem wpłynąć na błędne decyzje polityczne, doprowadzić do bagatelizowania zagrożenia

■ i aroganckich decyzji zarówno rządów, jak i całych społeczeństw.

„Mężczyźni Zachodu. To wasze żony. Wasze córki. Wasi synowie. Powstańcie. Domagajcie się działań. Nie traktujcie tego jako coś normalnego. Przestraszeni” – za ten wpis jeden z użytkowników Twittera zgłosił felietonistkę Katie Hopkins na policję za podżeganie do przemocy. Zgłaszane były też inne wpisy uznawane za „rasistowskie” czy „islamofobiczne”, bo choć Zachód nie potrafi poradzić sobie z radykalnym islamem, to dumnie dba o to, by tuż po krwawym zamachu żaden muzułmanin nie poczuł się przypadkiem urażony. Teoretycznie słusznie. Stosowanie odpowiedzialności zbiorowej jest niebezpieczne. Zła jest też polityka nienawiści do uchodźców. Politycy muszą jednak zrozumieć, że wojny z terroryzmem i religijnym ekstremizmem nie da się wygrać politycznie poprawnymi frazesami, wielotysięcznymi marszami solidarności ani symbolicznym podświetleniem po atakach najbardziej znanych budowli świata. Aby służby mogły lepiej zapobiegać zamachom, muszą mieć do dyspozycji więcej ludzi i pieniędzy. Między innymi po to, aby dokładniej prześwietlać tych, którzy znaleźli w Europie schronienie, by

spośród imigrantów i ich dzieci szybko oraz skutecznie wyłuskiwać potencjalnych terrorystów. A także by bacznie obserwować tych obywateli UE, którzy walczyli po stronie islamistów w Syrii. Na liście islamskich ekstremistów agencji brytyjskiego kontrwywiadu MI5 umieściłi ponad 3 tys. nazwisk.

Tylko w ciągu ostatniego półrocza brytyjski kontrwywiad udaremnił kilkanaście ataków. Krwawe zamachy, którym w tym roku nie udało się na Wyspach zapobiec, pokazują jednak wyraźnie, że sprawność służb jest niewystarczająca. Tragedii w Manchesterze można by przecież uniknąć, gdyby służby baczniej obserwowały poczynania rodziny Abedich. Zatrzymany już po ataku w Libii brat 22-letniego zamachowca, Hashem, przyznał, że wiedział o planowanym zamachu, a także potwierdził, że wraz z bratem należeli do tzw. Państwa Islamskiego. Salman Abedi nie tylko miał zaś bywać w Libii, lecz także podróżował również do Syrii. Dopiero po zamachu za kratki trafił też ojciec braci-terrorystów: Ramadan. Niestety – jak podał w ubiegłym tygodniu „The Economist” – brytyjskie służby mają odpowiednie środki, aby przez całą dobę monitorować zaledwie... 40 z po-

dejranych islamistów. Do skutecznej obserwacji jednej osoby trzeba bowiem nawet 18 oficerów, których ograniczają surowe przepisy ściśle wyznaczające czas, przez który można prowadzić tak intensywną inwigilację danej osoby.

Zachodnie rządy, wzorem władz Wielkiej Brytanii, powinny też domagać się od szefów największych mediów społecznościowych, takich jak Facebook i Twitter, aby bardziej stanowczo włączyły się w walkę z ekstremistycznymi treściami. Obecnie islamisti chętnie wykorzystują bowiem te platformy nie tylko do wychwalania „męczenników” tuż po udanym ataku, lecz także do pozyskiwania i radykalizowania nowych zwolenników.

To osłabienie zachodnich służb jest szczególnie niepokojące, zważywszy na to, że tzw. Państwo Islamskie najprawdopodobniej szykuje się do nowej ofensywy w Europie. Islamiści ponoszą bowiem coraz większe straty w Syrii i Iraku. Na Stary Kontynent uciekać więc będą tysiące doświadczonych bojowników z unijnymi (w tym z polskimi) paszportami w kieszeniach oraz islamską propagandą w głowach, chętni, by po powrocie do dawnych domów zabić jak najwięcej osób.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

7 kwietnia 2017 r.

W centrum Sztokholmu zamachowiec prowadzący ukradzioną ciężarówkę wjechał w centrum handlowe, zabijając cztery osoby.

22 marca 2017 r.

52-letni islamski ekstremista Khalid Masood – urodzony i wychowany w Wielkiej Brytanii – wjechał SUV-em w grupę ludzi na moście Westminster w Londynie. Zabił trzy osoby, a następnie wyskoczył z samochodu i za pomocą noża zamordował policjanta przed brytyjskim parlamentem.

19 grudnia 2016 r.

Tunezyjczyk Anis Amri, siedząc za kierownicą

ukradzionej 40-tonowej ciężarówki, wjechał w tłum na bożonarodzeniowym jarmarku w Berlinie. Zabił 12 osób i ranił niemal 50. Jedną z ofiar islamskiego terrorysty był Polak, 37-letni Łukasz Urban – kierowca porwanej ciężarówki. Terrorysta udało się uciec. Został jednak zastrzelony przez włoskich policjantów w Mediolanie.

14 lipca 2016 r.

Podczas obchodów święta Dnia Bastylli Tunezyjczyk Mohamed Lahouaiej Bouhlel – mieszkający na stałe we Francji – wjechał ciężarówką w tłum na promenadzie w Nicei na południu Francji. W ataku, do którego przyznało się ISIS, zginęło 86 osób.

22 marca 2016 r.

Na podbrukselskim lotnisku Zaventem oraz na stacji metra Maelbeek w Brukseli trzej terroryści zabili 32 osoby i raniłi niemal 350.

13 listopada 2015 r.

Islamscy ekstremiści w serii zamachów w Paryżu – m.in. na salę koncertową Bataclan – zabili w sumie 130 osób i raniłi ponad 350. Do zorganizowania ataku przyznało się tzw. Państwo Islamskie. Było to najtragiczniejsze wydarzenie we Francji od zakończenia II wojny światowej.

14 lutego 2015 r.

W Kopenhadze 22-letni Duńczyk pochodzenia palestyńskiego Omar

El-Hussein zabił 55-letniego reżysera i scenarzystę Finna Noergaarda i ranił trzech policjantów. Później ten sam terrorysta – który przysiągł wierność tzw. Państwu Islamskiemu – zaatakował przed synagogą: zabił strażnika i ranił dwóch policjantów. Niedługo potem sam został zastrzelony.

styczeń 2015 r.

7 stycznia w Paryżu muzułmańscy terroryści zaatakowali redakcję satyrycznego magazynu „Charlie Hebdo”, zabijając 12 osób. Następnego dnia jeden z islamistów zabił policjantkę, a następnie wziął zakładników w sklepie z kosztowną żywnością. Zginęły wówczas cztery osoby.



FOT. BRIAN SNODER/REUTERS.FORUM

JOGA Z KOZAMI

Jeśli ktoś w ogóle ma ochotę wyginać się na podłodze, to jednym z najlepszych rozwiązań są zajęcia jogi z piwem, które opisywaliśmy już kiedyś w tej rubryce. Tym razem stało się coś nowego i ćwiczenia fizyczne połączyły się z sieciowym eksperymentem (selfie) oraz głupotą (czyli selfie inscenizowane w określony sposób i powtarzane przez wszystkich do znudzenia). I tak jak niedawno przez sieć przeleciała moda na umieszczanie zdjęć z wakacji z opuszczonymi majtkami, tak teraz część ludzi namiętnie publikuje zdjęcia ze swoich „nietypowych” zajęć jogi. W tym trendzie trzeba być wciąż kreatywnym i odkrywczym oraz modnym, a także należy wiedzieć, kiedy przerzucić się z robienia ćwiczeń z kotem (przebrzmiało) na robienie sobie zdjęć na zajęciach, w trakcie których skaczą po nas kozy, ewentualnie liżą nam twarz (modne). Gdyby państwo chcieli dołączyć do tego internetowego grona, to zastrzegamy, że tygodnik ze względu na proces wydawniczy może już nie obejmować najnowszych propozycji – polecamy więc przemyśleć ćwiczenie z kozą połączone z weganizmem, czyli podczas skłonów z kozą na grzbiecie razem z nią pogryzać trawę.

KRZYŻ SIĘ WYWYŻSZA

Niemcy odbudowują w Berlinie dawną siedzibę pruskich władców, którą zburzono w 1950 r. na polecenie władz NRD (widziały w niej „symbol pruskiego militarysty”). Cztery lata temu postanowiono zamek zrekonstruować, wiernie odtwarzając barokowe fasady, a w środku stworzyć nowoczesną konstrukcję do prezentowania eksponatów muzealnych i dzieł sztuki (czy nie przypomina to odbudowy zawalonego właśnie Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie?). W środku tej odbudowy swoje stanowcze „nie” powiedzieli Lewica i Zieloni. I nie, nie dlatego, że zmieszają się tam historyczna zabudowa z nowoczesnością. Otóż nie podoba się im, że na kopule zamkowej ma się znaleźć... krzyż. To zdaniem postępców uniemożliwi otwarty dialog kultur, bo jeśli na szczycie będzie symbol chrześcijański, to nastąpi „hierarchizacja kultur i religii”. Wytykają więc, że będzie to „sprzeczne z humanistyczną wizją tego projektu”. Nie wiadomo, czy dadzą się przekonać

minister stanu ds. kultury, która tłumaczyła, że chrześcijański obraz człowieka należy właśnie do kultury „otwartości, wonności i miłosierdzia”. Prawdziwa otwartość jest przecież taka zamknięta, nowoczesna, nieprawdaz?

UTALENTOWANA NOŻOWNICZKA

24-lletnia studentka medycyny na Oksfordzie pokłóciła się ze swoim chłopakiem poznanym na Tinderze (tak, tak, jest już nawet aplikacja do błyskawicznego znajdowania partnerów kręcących się w okolicy). Były narkotyki, alkohol i ostre spięcie, które skończyło się tym, że Lavinia dźgnęła wybranka nożem w nogę, a potem rzuciła w niego laptopem, słoikiem i szklanką. Takie ekscesy zwykle przed sądem kończą się karą więzienia. Tym razem jednak brytyjski sędzia odłożył wydanie werdyktu o cztery miesiące. Zasugerował, że studentka nie powinna trafić za

kratki ze względu na jej „nadzwyczajny talent” medyczny (jest członkinią elitarnego kolegium Christ Church i ma już na koncie kilka publikacji naukowych z kardiologii). Brytyjskie mamy zyskały więc nowe powiedzenie dla swoich dzieci: ucz się, ucz, to i od więzienia będziesz się mógł wymigać.

ODDAJĄ MEDALE

Sportowcy zwracają olimpijskie medale z Rio. Tym razem nie jest to protest przeciwko działaniom prezydenta Andrzeja Dudy oraz PiS-owskiemu dyktatorowi. Ponad sto krążków wróciło do organizatorów igrzysk, bo zostały źle wykonane i zaczęły pojawiać się na nich przebarwienia, a nawet ślady korozji. Rzecznik igrzysk zapowiedział, że wszystkie medale zostaną naprawione przez brazylijską mennicę i ponownie przekazane właścicielom. ©

STONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI

Dzień zwycięstwa nad resztą świata



Gabriel Michalik

W rosyjskim świętowaniu jedni widzą dowód na głęboką chorobę społeczeństwa, drudzy – świadectwo jego śmierci, trzeci zaś uważają, że Rosja się odrodziła. Z tym że jej obecna hipostaza stanowi syntezę diabelstwa i zombie

Słowiańskie braterstwo, ostrożność oraz element przyzwoitości nakazują, aby przed przystąpieniem do wyciągania źdźbła z oka Rosji poszukać najpierw belki w oku własnym i przyznać, że ze wspólnotowym świętowaniem także w Polsce bywa problematycznie. Zarówno ze względu na tzw. wojnę polsko-polską, jak i z powodu doboru dat świąt państwowych. Zwłaszcza 3 maja, rocznica uchwalenia konstytucji zmieniającej ustrój państwa

z na wpół demokratycznego na absolutystyczny, więc autorytarny, obchodzony obecnie jako święto demokracji, może budzić w naturach skłonnych do refleksji pewne zdumienie, łagodzone wszelako świadomością, że w końcu XVIII w. termin „absolutyzm” brzmiał dla szerokich rzesz równie ponętnie jak dzisiaj „demokracja”. Aliści i wtedy obrońców samej demokracji nie brakowało. Podręczniki historii, a nawet szubienice z czasów insurekcji nie pozostały obojętne na ich działalność.

Belkę we własnym oku pomacaliśmy, śmiejemy się tedy możemy babrać się w sąsiedzkim oczodole.

OSTATECZNE ROZWIĄZANIE KWESTII INWALIDÓW

Bogatego materiału do rozważań nad kondycją rosyjskiego społeczeństwa dostarczają niedawne obchody rocznicy zakończenia II wojny światowej, świętowane w Rosji jako rocznica zwycięstwa. Historia tego święta jest dość ponura.



FOT. SERGE BOBILYEV/IAS/GETTY IMAGES

zsyłając do łagrów (lub w najlepszym wypadku daleko od wielkich miast) tych, którzy mieli okazję przyjrzeć się życiu w „zgniłym kapitalizmie” i teraz mogli siać niezdrowy ferment, a w końcu poddając nieludzkemu traktowaniu miliony inwalidów wojennych (ogólna liczba ciężko okaleczonych, beznogich, bezrękich, ociemniałych, pozbawionych narządów płciowych, sparaliżowanych itp. przekraczała 10 mln osób!). Ostateczne rozwiązanie tzw. kwestii inwalidów nastąpiło w roku 1950, w piątą rocznicę Pobjedy. Gdy przebąkaliwali coś o podniesieniu głodowych rent wojennych, po prostu wygnano ich z Moskwy, kierując się tyleż niechęcią do uczynienia zadość oczekiwaniom finansowym, co względami natury estetycznej. Jak tu bowiem świętować zwycięstwo w towarzystwie takich np. „samowarów”, jak bezceremonialnie określano osoby pozbawione wszystkich kończyn (według tajnego referatu marszałka Iwana Koniewa tak straszliwie okaleczonych żołnierzy było blisko 86 tys.!).

W czasach sowieckich Pobjedę świętowano dwutorowo. Oficjalne obchody, które nabrały cyklicznego charakteru w połowie lat 60. XX w., skupiały się na oddawaniu czci zwycięzcom z Kremla, a na marginesie życia, gdyż w warunkach totalitarnych prywatność była li tylko marginesem życia, wspomniano w rodzinach tych, których zabrała wojna, i starano się choćby w sprawach drobnych ulżyć doli weteranów. Oficjalnemu świętowaniu weterani przeszkadzali i przeszkadzają nadal.

Z tym sposobem świętowania jakoś w końcu pogodziła się także demokratyczna opozycja wychodząca z założenia, że 9 maja nie jest z pewnością jej świętem.

DZISIAJ KRYM, JUTRO RZYM

W ostatniej dekadzie, a szczególnie silnie po aneksji Krymu, kalekie święto kalekiej Pobjedy wpadło w tryby mechanizmu rynkowego, który wszelkie formy świętowania wplata w tkaninę plastikowej kultury masowej. Z tego to powodu w zachodnim świecie najciężiej ucierpiał Boże Narodzenie (w Wigilię urodził się, jak wiemy, Santa Claus z etykiety Coca-Coli, czyż się ten fakt od połowy listopada każdego roku, peregrynując na wzór „sześciu Królów” do galerii handlowych). Z zebranych przez opozycyjnych publicystów obrazków świętowania Pobjedy największe wrażenie robią uliczne tańce w oświęcimskich psiakach. Reszta, choć

nie tak zaskakująca, jest jednak tyleż śmieszna, co straszna.

I tak działające pod przykrywką saun i klubów nocnych domy publiczne ogłaszają, że każdy, kto wstąpi w ich progi 8 i 9 maja ze wstążką w barwach zwycięstwa (georgijewskaja lenta), uzyska zniżkę na usługi cór Koryntu w wysokości 30 proc. Tymiz barwami dekoruje się gumowe świnki w sklepach mięsnych. Wielką popularność zyskały kombinezony dla niemowląt w barwach partyzanckich; podobnie staniki i męskie majtki push-up (cokolwiek by to znaczyło) z lułą czołgu w odpowiednim miejscu. Są i zwycięskie szczoteczki do zębów (opakowanie ozdobione portretem Stalina), limitowane serie wódki, piwa, chipsów, lodów, dezodorantów oraz papieru toaletowego.

W kampanii z bieżącego roku zwracają uwagę dwie rzeczy: natężenie seksualnego elementu przekazu w reklamach wykorzystujących symbolikę zwycięstwa i zamiana samej symboliki: coraz częściej georgijewskaja lenta bywa wypierana przez sierp i młot.

Seks zaś o tyle jeszcze jest obecny, że motłoch przypominał sobie o sui generis nagrodzie za zwycięstwo. I tak obok buńczucznych hasła: „Dzisiaj Krym, jutro Rzym”, wymalowanego na prywatnych samochodach, znaleźć możemy i takie: „Na Berlin! Do Niemek!”, w którym masowe zgwałcenia dokonywane przez czerwonoarmistów zyskały aprobatę i były dowodem na gotowość nowych pokoleń do walki także na tym odcinku stosunków międzynarodowych. Trudno opędnąć się od podsuwanego przez wyobraźnię widoku „samowara” przyglądającego się z odali, jak prostytutka pospółu z dresiarzem zyskali w postaci Dnia Pobjedy dodatkową okazję do bachicznych uniesień.

Abstrahując od „samowara”. W żadnym kulturalnym człowieku ten sposób czczenia rocznicy zakończenia najkrwawszej w dziejach hekatombi nie może budzić sympatii. Stąd też rosyjska opozycja podniosła po 9 maja rwetes. Wyrażany był m.in. postulat, aby w ogóle zaniechano obchodów zwycięstwa, skoro nie sposób świętować go godnie. Apele te spotkały się z taką mniej więcej reakcją większości społeczeństwa jak próby wyprowadzenia pijaka z wesela.

I to, co może najistotniejsze: Jak udało się zamienić obchody wspomnienia tragedii w karnawał? Co jest jego istotną treścią? Jaka jest miara kłamstwa, które sprzyja obecnemu zdziczeniu obyczajów?

8 czy (ze względu na różnicę zegarową) 9 maja 1945 r. nie wydarzyło się ani nie rozpoczęło nic, co mogłoby się stać powodem do radości dla żołnierzy biorących udział w wojnie. Wojny bowiem nie wygrali Rosjanie ani Sowietci, których na froncie i na tyłach zginęło co najmniej 42 mln, lecz zwyciężyli Stalin i jego aparat władzy. Zaraz zresztą dano to odczuć samym żołnierzom, represjonując najciężej tych, którzy cudem przeżyli niewolę w niemieckich obozach,

■ Spytajcie wypacykowanego w bolszewickie barwy nastolatka na ulicy Moskwy, z kim Rosja wygrała wielką wojnę ojczyznianą.

– Jak to z kim? Z Ameryką!

Śmielszy odpowie: „Z Zachodem”.

W sercu zaś czuć będzie, że z resztą świata.

ŚWIĘTO JEDNOŚCI. Z KIM?

Błędnie przyjmuje się w Polsce, że kierunek polityki Kremla pozostaje niezmiennie zamordystyczny, ekstensywny i imperialny od początku rządów Władimira Putina oraz jako taki określony był już u zarania kremłowskiego panowania zasłużonego pułkownika KGB. Tymczasem w pierwszych latach prezydentury Putina znacznie silniejsze od imperialnych były tendencje integracyjne. Polityka prezydenta Rosji w pierwszej kadencji zorientowana była na modernizację Rosji i stowarzyszenie jej ze strukturami euroatlantyckimi.

Przyjmuje się, że zmiana nastąpiła na przełomie lat 2004 i 2005. Trudno rozstrzygnąć, czy była to zmiana polityki, czy może tylko zdjęcie maski. Najzłośliwsza część moskiewskiej opozycji uważa, że ważnym czynnikiem reorientacji Putina było odkrycie, iż w zachodnich strukturach kradnie się w inny niż w Rosji, a zarazem niezbyt wygodny sposób. Nieco trafniejsze wydaje się potraktowanie Putina jak swego rodzaju zakładnika oligarchicznych elit, którym wcale do Europy nie było spieszno, i postsowieckiego społeczeństwa, którego nie udało się z dnia na dzień, ani nawet z dekady na dekadę, przekształcić w społeczeństwo obywatelskie. Przyczyn obecnej agresywnej polityki Kremla, jeśli spróbować popatrzeć na jej koryfeusza z nadmierną może empatią, warto poszukać w nieuchronności zjawisk historycznych, a nie w pierwotnym zamiarze odrodzenia Związku Sowieckiego. Rosja, której stery obejmował u progu XXI w., przypominała bowiem (i to się nie zmieniło nawet w czasach naftowej hossy), gdy szukać polskich analogii, upadły PGR, z tym że rozciągał się on od Smoleńska do Władywostoku. A przecież nie w ludzkiej mocy jest awansować PGR na Szwajcarię.

Ostatnim aktem modernizacyjnej przedimperialnej polityki Putina, jakkolwiek by się to z polskiej perspektywy jawiło paradoksem, było zastąpienie państwowego święta rocznicy rewolucji

październikowej (7 listopada) Dniem Jedności Narodowej (4 listopada). Dla Polaków i nacjonalistycznie zorientowanych Rosjan dzień ten stanowił rocznicę wygnania z Kremla polskiej załogi. Zamysł był jednak głębszy.

Nie chodziło o świętowanie zwycięstwa nad Polakami, ale o uczczenie chwili, w której po latach tragicznego zamętu i wojny domowej Rosjanie potrafili przezwyciężyć indywidualne oraz stanowe egoizmy oraz urządzić władzę w Moskwie na sposób solidarystyczny; o uczczenie zwycięstwa nad warcholstwem i chwili odzyskania niepodległości. Święto to miało nie tyle zastąpić rocznicę rewolucji, ile stać się jej antytezą: 4 listopada 1612 r. naród potrafił ukonstytuować legalne władze, gdy stany były gotowe do dialogu i ustępstw, a 7 listopada 1917 r., wewnątrz skłócony, opętany wzajemną nienawiścią, resentymentem i chciwością, popełnił zbiorowe samobójstwo, oddając władzę nad krajem w ręce szajki krwawych kryminalistów.

Taki duch świętowania określały wywody prezydenckich komisji historycznych, co znamienne – w tamtych czasach złożonych w dużej mierze z byłych dysydentów i antykomunistów, a cel propagandowy miał polegać na przypomnieniu wszystkim Rosjanom, zarówno masom żyjącym w stałym niedostatku, jak i elitom opływającym w luksusy, że stanowią jeden naród i tylko w solidarnej jedności mogą odtworzyć życie społeczne.

Świeckie postsowieckie okazje do wyzerki i wypitki skutecznie wyparły dawne prawosławne obrzędy świąteczne

Święto to jednak się nie udało. Od 12 lat jego treść pozostaje zrozumiała jedynie dla garstki dawnych doradców Putina, dzisiaj najbardziej zajadłych opozycjonistów, a naród traktuje 4 listopada jako dzień wolny od pracy, który dostał mu się tytułem odszkodowania za zlikwidowane święto Wielikiego Oktiabria.

Jeśli trwać jeszcze przez chwilę w nieco naiwnej wierze w dobre z początku intencje Putina, to można spekulować, że to, iż Święto Jedności nie przyjęło się, a Rosjanie nie nabrali ochoty do jednoczenia się, było jednym z czynników przysądzają-

cych o radykalnej zmianie putinowskiej polityki, a w każdym razie sygnałem, że z tym społeczeństwem państwa solidarystycznego budować się nie da. To, czy Putin istotnie chciał takie społeczeństwo budować, pozostanie na razie tajemnicą rosyjskiego prezydenta i jego kierownika duchowego, o. Tichona Szewkunowa, który zgodnie z obecną atmosferą na Kremlu kręci filmy propagandowe z wielomilionowymi budżetami. Prezentuje w nich Rosję jako Trzeci Rzym, a penitenta mnicha-filmowca jako nowego cesarza Bizancjum.

Dzisiaj z okazji Święta Jedności pije się wódkę i je sałaty z majonezem. I tyle.

PAN, CZASY DAWAJ!

Świąteczne menu w rosyjskich domach jest podobne w każde święta. To samo jada się i pije z okazji Dnia Zwycięstwa, z okazji Święta Jedności, Dnia Kobiet, 1 Maja i Nowego Roku. Świeckie postsowieckie okazje do wyzerki i wypitki skutecznie wyparły dawne prawosławne obrzędy świąteczne. Jeśli wraca cokolwiek z rekwizytów przedrewolucyjnej Rosji, to najwyżej są to tylko ulotne dekoracje bez znaczenia dla świątecznej treści. W planie rodzinnym i towarzyskim te święta podobne są do siebie jak „dwie krople wody”.

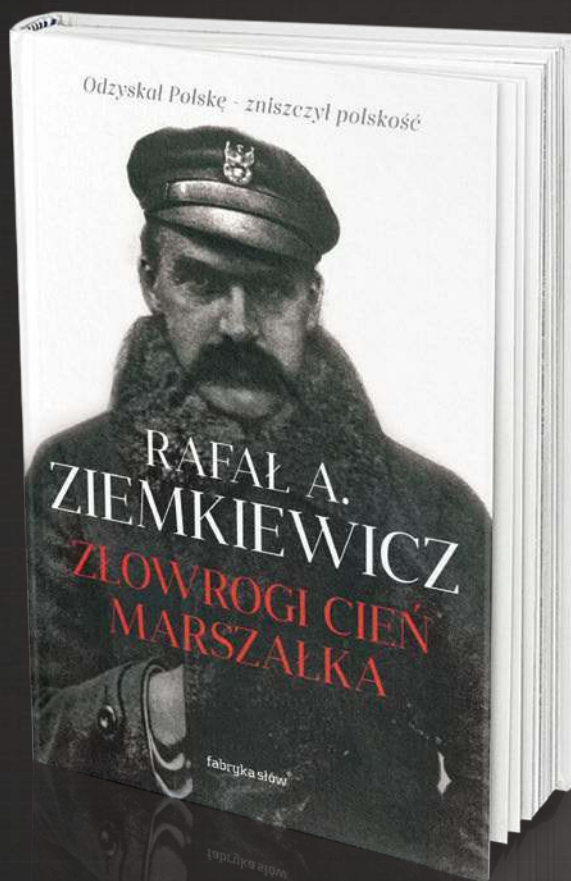
O smutnej kondycji dzisiejszego rosyjskiego społeczeństwa świadczyć może jednak doniosłość święta Pobjedy, z pewnością najważniejszego obok Nowego Roku dnia tego świeckiego kalendarza liturgicznego. To, że obchodzi się ten dzień w zaprawionej pornografią estetyce agresji wobec reszty świata, stanowić ma – zdaniem pesymistów z kręgu historyka Andrieja Zubowa i lidera Partii Narodnej Swobody, Michaiła Kasjanowa (w czasach przedimperialnych, w latach 2000–2004, Kasjanow był premierem Rosji) – dowód na to, że wczepiony w odbiornik telewizyjny rosyjski zombie całkiem oddał się we władanie diabłu. Dla wyjaśnienia dodajmy, że Zubow i Kasjanow w ostatnich wyborach do Dumy uzyskali mniej niż 2 proc. głosów, a zatem ich chrześcijańsko-demokratyczny program nie spotkał się z szerokim poparciem.

Ci, którzy pamiętają, na czym nad Wisłą polegało wyzwolenie przez Armię Czerwoną, mogą gorzko powiedzieć: nihil novi sub sole. Wszak znamieniem zwycięzców-wyzwolicieli i wtedy były, najdelikatniej mówiąc, seks oraz agresja. Pozostaje jeszcze ewentualnie kwestia zegarków. To już jednak sprawa trudnych stosunków polsko-rosyjskich.

© 2016 Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ KSIĄŻKA RAFAŁA A. ZIEMKIEWICZA „ZŁOWROGI CIEŃ MARSZAŁKA”



„Rzucam na Polskę za duży cień”, miał ponoć powiedzieć Marszałek, z właściwą swej starości megalomanią. Duży czy mały – nie w tym rzecz, ale w tym, że jest to cień, w którym nic dobrego nie może wyrosnąć. W którym kwitnąć może tylko wiara w prymitywne recepty, w to, że wszystko stać się może siłą ducha i mocą słuszności, że trzeba tylko znaleźć wodza, oddać mu się całą duszą i bić kurwy i złodziei, które On do bicia wskaże.

Odurzeniu postacią Józefa Piłsudskiego zawdzięczmy do dziś marność naszej niepodległości i to wszystko, co do cna nam ją obrzydza. niesprawność państwa, bezkarność i wszechwładzę politycznych sił, chroniczny stan niemożności, a nade wszystko plemienność życia politycznego, spowodowanego do podjudzania Polaków przeciwko sobie.

140 zł

oszczędność 84 zł

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

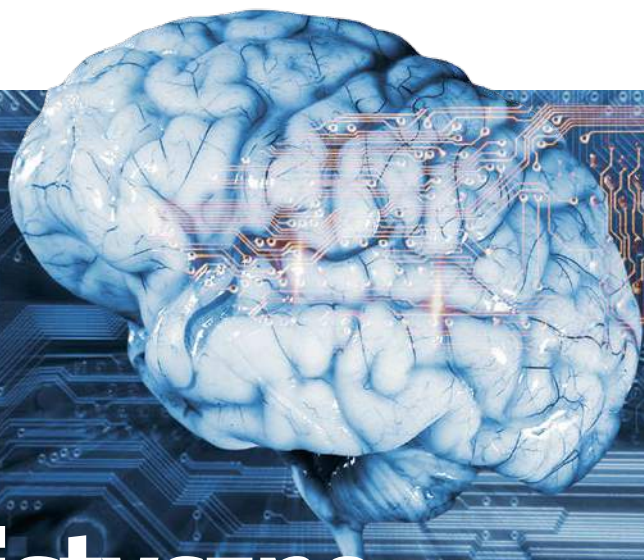
WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę,
a prezent wyślemy z najbliższym
wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl 8730e4e843



Transhumanistyczne złudzenia



Tomasz P. Terlikowski

Marzenie o połączeniu ludzkiego mózgu z globalną siecią nie ustaje. Ta nowa transhumanistyczna wiara niesie ze sobą wiele zagrożeń

Jeśli transhumanizm, a może tylko wiara w możliwość połączenia ludzkiego mózgu z siecią komputerową lub komputerami, jest nową religią (a wiele wskazuje na to, że jest), to jej prorokiem pozostaje twórca PayPal'a i miliarder Elon Musk. To on, od jakiegoś czasu, w kolejnych wywiadach buduje wizję połączenia człowieka z komputerami, a także – co jeszcze istotniejsze niż gadanie – stworzył firmę, która ma umożliwić taką fuzję. Twórca PayPal'a podkreśla przy tym, że w jego badaniach nie chodzi tylko o rozgłos ani o pieniądze (te bowiem na razie

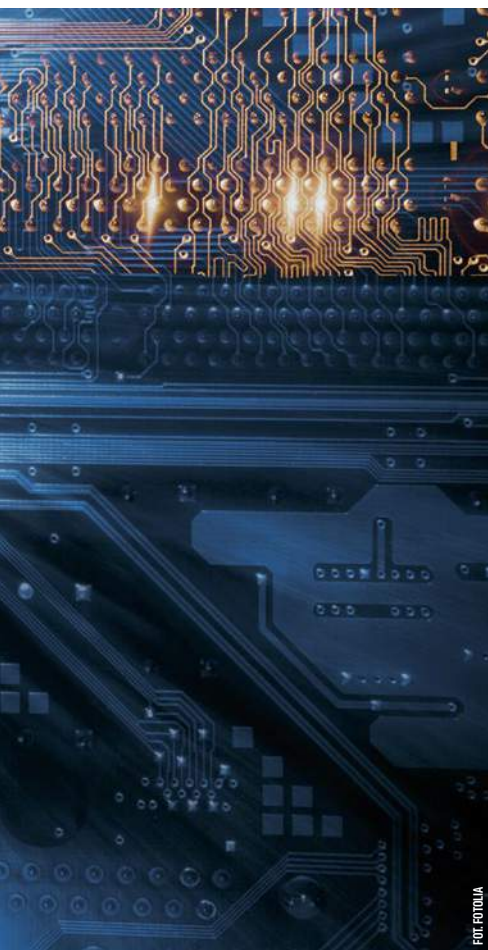
głównie wydaje), ale o to, by uratować ludzkość. – Sztuczna inteligencja rozwija się tak szybko, że jeśli niczego się nie zrobi, to ludzie mogą skończyć jako zwierzaki domowe dla robotów – straszył Musk podczas ubiegłorocznej konferencji w San Francisco. – Musimy stać się cyborgami i wspierać naszą inteligencję upgrade'em z Internetu. Ktoś to musi zrobić, niekoniecznie ja. Jeśli jednak ktoś tego nie zrobi przede mną, to ja prawdopodobnie to zrobię – dodawał.

LECZENIE UPOŚLEDZONYCH?

I rzeczywiście kilka tygodni temu powstała nowa firma, której jedynym celem jest zrealizowanie tego właśnie pomysłu Muska. Neuralink powstała w tym roku, a jej celem jest przetestowanie specjalnych siatek połączonych z mózgiem, które mają umożliwić pełną synchronizację ludzkiego umysłu z Internetem, a także potęgą komputerów. Celem badaczy – jak podkreślają autorzy oświadczenia na stronie Neuralink – jest

opracowanie „ultraszybkich interfejsów mózg-maszyna”, które miałyby „połączyć ludzi i maszyny”. W tym projekcie już teraz pracują „wyjątkowi naukowcy i inżynierowie” z talentem oraz pasją.

Jak to zwykle bywa w przypadku takich pomysłów, ich twórcy przekonują, że chodzi im przede wszystkim o pomoc osobom z uszkodzonym – w efekcie udaru lub operacji – mózgiem. Nowa technologia ma umożliwić im odzyskanie wszystkich utraconych możliwości umysłowych. Na tym jednak, czego trzeba mieć świadomość, nie koniec. Neuralink, a konkretniej Elon Musk, mają bowiem większe ambicje. Ich celem jest stworzenie „interfejsu całego mózgu”. Dzięki sieci połączeń i tej technologii można by łączyć się z Internetem bez potrzeby komunikacji słownej czy pisanej. Mózg byłby umieszczony w specjalnej siatce łączącej go automatycznie z siecią, co prowadziłoby do stworzenia swojego rodzaju cyborga, człowieka-maszyny.



FOT. FOTOLIA

Ten rodzaj połączenia mózgu z maszyną to rzecz jasna pieśń dalekiej przyszłości. Wielu badaczy przekonuje, że w ogóle nie jest pewne, czy kiedykolwiek będzie to możliwe, a inni – choćby specjalista od sterowanych przez mózg egzoskieletów Miguel Nicolelis – uzupełniają, że także wiara w to, iż komputery, niezależnie od tego, jak zaawansowane i skomplikowane, kiedykolwiek przewyższą możliwości ludzkiego mózgu, jest zwyczajną bujdą. Nie ma na to dowodów, a ludzki mózg jest tak skomplikowany, że nic nie wskazuje na to, byśmy mogli go, choćby w minimalnym stopniu, zastąpić komputerami. W niczym nie zmienia to faktu, że próby łączenia człowieka z siecią już trwają i to mimo licznych – wcale nie motywowanych religijnie – moralnych zastrzeżeń do takich pomysłów.

ZACHIPOWANI PRACOWNICY

O czym mowa? O pomysłach jednej ze szwedzkich firm, która zaczęła chipować swoich pracowników. Procedura jest pro-

sta. Igła, strzykawka, jedno przyciśnięcie i... gotowe: pracownik jest już zachipowany. Szwedzka grupa start-upowa Epicenter od jakiegoś czasu chipuje swoich pracowników i współpracowników. Według jej liderów to bardzo wygodne rozwiązanie, bo dzięki jednemu małowielkiemu chipowi można otwierać drzwi, drukować, a nawet kupować napoje. Wszystko poruszając ręką z wszczepionym chipem. – Największą korzyścią jest wygoda – przekonuje w rozmowie z „The Telegraph” Patrick Mesterton, współzałożyciel i dyrektor zarządzający Epicenter. Jego zdaniem w ten sposób za pomocą jednego urządzenia można zastąpić karty kredytowe, klucze, karty wejściowe i wiele innych urządzeń codziennego użytku.

Rozwiązania nie są wcale nowe, tyle że dotąd stosowano je w przypadku zwierząt domowych, które były chipowane, by się nie zgubić. Obecnie wszczepia się je ludziom. I wbrew temu, o czym przekonują założyciele firmy, nie jest to wcale kwestia bezproblemowa. Wcale nie chodzi tylko o kwestie duchowe, chociaż warto przypomnieć, że wielu prawosławnych i katolików ostrzega przed wszczepianiem sobie chipów, sugerując, że może to być odczytywane jako znamie bestii, przed którym ostrzega Apokalipsa, ale o zwyczajne bezpieczeństwo. Chip zbiera przecież dane o tym, gdzie jesteśmy, co robimy, co kupujemy, a w odróżnieniu od telefonu nie można się z nim łatwo rozstać. Wszystko to wiąże się z ogromnym niebezpieczeństwem, że ktoś może się o nas dowiedzieć bardzo dużo. Zbyt dużo, a my nie będziemy w stanie tego kontrolować.

PYTANIA DO MUSKA

Oczywiście te same zastrzeżenia można mieć do karty bankomatowej czy komórki (która zbiera o wiele więcej danych niż chip), ale – i to jest podstawowa różnica – w przypadku komórki dość łatwe jest pozbycie się jej, zmiana czy pozostawienie w domu (jeśli chcemy robić coś, o czym wolelibyśmy, by inni nie wiedzieli). Odchipowanie się, choć oczywiście możliwe, jest jednak o wiele trudniejsze. A to oznacza, że człowiek staje się o wiele mniej wolny.

Jeszcze więcej pytań i wątpliwości budzi pomysł Muska. Pierwszym i zupełnie podstawowym jest to, jak zamierza on testować swoje rozwiązania, szczególnie gdy chodzi o łączenie mózgu ludzi zdrowych z siecią. O ile można próbować

usprawiedliwić tego typu badania w sytuacji ludzi mających głęboko uszkodzony mózg, którym ewentualne wyniki mogą jedynie polepszyć sytuację, o tyle trudno sobie wyobrazić, by jakkolwiek komisja bioetyczna wydała zgodę na łączenie mózgu i sieci, wszczepiania jakichś siatek neuronalnych u osób zdrowych. Procedura taka byłaby zwyczajnie śmiertelnie niebezpieczna dla poddawanej jej osoby, a potencjalne korzyści byłyby – z perspektywy medycyny – żadne. Trudno bowiem uznać, że korzyścią jest ucieczka przed stanem się „zabawką robotów”.

Trudno też nie zadać pytania, jak uniknąć przejmowania informacji z mózgu przez hakerów. Elon Musk, tak jak wszyscy inni, ma świadomość, że głównym zagrożeniem w sieci jest obecnie hakowanie, przejmowanie danych, kasowanie ich itd. Połączenie mózgu z siecią oznacza, że na dokładnie to samo niebezpieczeństwo (oczywiście w innym wymiarze) będzie wystawiony system połączony z Internetem mózgu. Nie trudno sobie też wyobrazić ewentualne zhakowanie takiego układu i kierowania jeśli nie człowiekiem, to przynajmniej jego danymi, w sposób całkowicie od niego niezależny. Nie wspominając już o całkowitym końcu prywatności takich osób. Włamanie się do czyjegoś mózgu przez hakerów to dopiero jest moralna masakra.

Istotnym zagrożeniem byłoby również wykorzystanie przez państwa czy globalne, ponadnarodowe korporacje zawartości naszego mózgu, a przynajmniej zawartości tego, co powstało na jego styku z siecią. Jak sprawić, by państwo/korporacja nie przejmowały tej treści ani nie wykorzystywały jej do celów, które mogą być sprzeczne z naszymi najlepszymi interesami?

Na pytania te warto odpowiedzieć, zanim podejmie się tego rodzaju badania. Tak się bowiem składa, że – jak przypomniał wybitny niemiecki etyk Hans Jonas – uczeni ponoszą odpowiedzialność także za te skutki swoich odkryć, które można było przewidzieć. A wszystkie rzeczy, o których jest tu mowa, można przewidzieć bez większych wątpliwości. Można oczywiście powiedzieć, że wszystko to są problemy dalekiej przyszłości, ale... gdy technicy zaczynają pracować nad pewnymi rozwiązaniami, rolę filozofów i etyków jest zadawanie pytań o ich moralną dopuszczalność!

Bezkarny rosyjski monopolista



Agnieszka Łakoma

Komisja Europejska ma duże doświadczenie w walce z monopolistami i karała już takich gigantów jak Microsoft. Jednak wobec Gazpromu jest wyjątkowo łagodna



European Commission
Commission européenne

Trwające od blisko pięciu lat postępowanie antymonopolowe wobec Gazpromu jest bliskie finału. Jednak chociaż nadal jest wiele wątpliwości co do tego, co w efekcie będzie musiał zrobić rosyjski gigant, to nie tylko nie grozi mu najbardziej spektakularna kara – do 10 proc. wartości przychodów – lecz także nawet żadna grzywna. I wiele wskazuje też na to, że zobowiązania nałożone na koncern nie

będą ani bolesne, ani trudne do spełnienia. Świadczy o tym choćby projekt ugody przedstawiony do konsultacji przez brukselskich urzędników. Strona polska go oficjalnie skrytykowała.

Rzecz w tym, że ugoda ma nastąpić na warunkach stawianych przez Gazprom, bo projekt dokumentu, jaki przedstawiła Komisja Europejska, częściowo opiera się właśnie na propozycjach władz rosyjskiego giganta. To tym bardziej

zaskakujące, że urzędnicy Brukseli już dwa lata temu przyznali (uznali), iż faktycznie Gazprom jako dostawca gazu do Europy Centralnej i krajów nadbałtyckich wykorzystuje swoją dominującą pozycję i na tym zarabia, a jego odbiorcy tracą. A zatem formalnie – jak inne firmy nadużywające pozycji monopolistycznej – powinien być ukarany. Rosyjski gigant tym się nie przejął, nie zmienił swojej polityki, a jedynie wykorzystał do mak-



UE nie kwapi się do ukarania Gazpromu. Na zdjęciu Margrethe Vestager, komisarz ds. konkurencji w Komisji Europejskiej

FOT. LIEVEN CREEMERS/EC

tam gazu, a w kontraktach stosuje zapisy nie do przyjęcia – np. zakazuje odsprzedaży swojego gazu. Na dodatek ceny w umowach są obliczane według notowań z rynku naftowego, a nie w odniesieniu do rynku gazowego, chociaż klienci Gazpromu z Europy Zachodniej mają taką możliwość. – Zarzuty są poważne, a rosyjski potentat mógł tak działać przez lata, gdyż każdy z tych krajów jest uzależniony od jego dostaw – mówi Andrzej Sikora z Instytutu Studiów Energetycznych. – Dopiero w ostatnich dwóch latach ta sytuacja się nieco zmieniła, np. Litwa ma pływający terminal gazu skroplonego, a Polska gazoport – dodaje.

Unijna komisarz ds. konkurencji Margrethe Vestager liczy, że ugoda przyniesie efekty – gaz będzie płynął swobodnie w Europie Środkowej i Wschodniej, ceny będą konkurencyjne, a Rosjanie zmienią zapisy w kontraktach z klientami na lepsze.

– Gdy startowało śledztwo we wrześniu 2011 r. i zaczęło się od kontroli dokumentów spółek Gazpromu w Unii oraz jego kluczowych klientów w Europie Centralnej i Wschodniej, m.in. w Polskim Górnictwie Naftowym i Gazownictwie oraz spółce EuRoPol Gaz, to wydawało się, że Gazprom w końcu będzie musiał zmienić podejście. A w efekcie te kraje zaczęły nareszcie być traktowane przez Rosjan jak równi partnerzy – mówi mec. Paweł Grzejszczak z kancelarii DZP. – Tak się nie stało i to jest największe zaskoczenie, bo Komisja Europejska powinna stać na straży ochrony konkurencji i jednakowego traktowania odbiorców na wspólnym rynku. To jedna z podstawowych zasad. Tymczasem minęło pięć lat pracy urzędników i góra urodziła mysz. Dla Gazpromu w otoczeniu rynkowym praktycznie niewiele się zmieni.

Zdaniem Andrzeja Sikory Gazprom wykona te postulaty, które są dla firmy wygodne, zwłaszcza że z części zapisów – jak choćby tych o zakazie reeksportu gazu – już się wycofał. – Kłopot polega na tym, że praktycznie nie ma konkretnych zaleceń na przyszłość dla Gazpromu. I ta swoista bezradność Komisji Europejskiej jest szokująca – mówi Sikora.

Kary dla Gazpromu domaga się PGNiG, którego szef Piotr Woźniak przypomniał kilka dni temu, że pomimo zarzutów Komisji Europejskiej Gazprom nie przestał wykorzystywać swojej pozycji monopolistycznej. I aby temu zapobiec, zarząd PGNiG zaproponował Brukseli dodatko-

simum dany czas na ustosunkowanie się do zarzutów, czyli wymianę korespondencji z Brukselą.

METODA GRUBEJ KRESKI

Komisja Europejska zarzuca Gazpromowi, że wykorzystuje swoją pozycję na rynkach w ośmiu krajach: Bułgarii, Czechach, Estonii, na Litwie, Łotwie, Słowacji i Węgrzech, a także w Polsce. W praktyce koncern zawyża ceny eksportowanego

KSIĘGARNIA



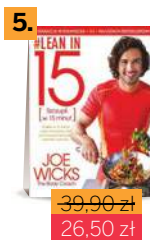
WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA

PREZENT



Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 4 czerwca 2017 r.



ZAMÓW:

www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78

■ we zapisy do ugody. Chodzi np. o to, by nie płać za cały zakontraktowany gaz, ale tylko za wykorzystany (ograniczenie formuły „bierz lub płać”, czyli „take or pay”, do 75 proc.). Jednak też o to, żeby w gazociągach łączących dwa kraje (tzw. interkonektorach) gaz mógł płynąć w obu kierunkach i by Gazprom nie miał możliwości kontroli nad rurociągami w Europie. – To szczególnie ważne w kontekście faktu, że rosyjski gigant może na przykład wpływać na transport gazu rurociągiem łączącym Polskę z Ukrainą – mówi Andrzej Sikora. I przypomina, że Rosjanie chcą kontrolować całkowicie gazociąg, który biegnie we wschodnich Niemczech wzdłuż granicy z Polską. I będą mogli praktycznie według własnego uznania przesyłać nim ogromne ilości gazu, dostarczanego rurociągiem Nord Stream 1 i 2 pod Bałtykiem. – Warto dodać, że już budowany Turecki Potok (stary South Stream) też będzie gotowy do końca 2019 r. – zaznacza Sikora. – Zatem mając taką kontrolę i wpływ na sieci ukraińskich rurociągów, Gazprom może dowolnie rozgrywać cały środkowoeuropejski rynek gazu, zapewnić sobie dominację na rynku niemieckim oraz „zwiększać bezpieczeństwo i dywersyfikację dostaw” do Holandii, Francji i Wielkiej Brytanii.

Najbliższe miesiące pokażą, czy Komisja Europejska weźmie pod uwagę opinię PGNiG. Zdaniem Pawła Grzejszczaka Bruksela nie może całkowicie zignorować polskich postulatów, zwłaszcza że służą poprawie bezpieczeństwa energetycznego w całym regionie, a to jeden z priorytetów unijnych. A gdyby tak się stało, to nie można wykluczyć, że strona polska podejmie skuteczną próbę zaskarżenia ugody do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości.

– Patrząc na propozycję ugody z Gazpromem i niechęć komisji do nałożenia kary finansowej w ogóle, mam wrażenie, że Bruksela chce zamknąć i oddzielić przeszłość grubą kreską, tak jakby przez te kilka ostatnich lat prawo europejskie, które naruszał Gazprom, w ogóle nie obowiązywało – dodaje Paweł Grzejszczak. – Czyli że to już minęło i nie ma sensu do tego wracać, a teraz trzeba na nowo ułożyć relacje z rosyjską firmą. Niestety, bez gwarancji, że sytuacja się nie powtórzy – dodaje.

MILIARDY DOLARÓW STRAT

PGNiG nie ujawnia, ile kosztowała nas wszystkich polityka Gazpromu od 2004 r. Rosyjski gigant bardzo skutecznie

windowwał ceny wobec Polski, bo przez lata mógł sobie na to pozwolić, a nasz kraj był bezradny. Tylko jedną trzecią potrzeb pokrywały krajowe złoża (w ostatnim czasie to ok. 25 proc.). Resztę trzeba było sprowadzić – przede wszystkim z Rosji, gdyż z Europą Zachodnią łączył Polskę tylko jeden gazociąg. A Gazprom słynie z wykorzystywania sytuacji. Tak było np. w 2006 r., gdy podniósł cenę gazu o 10 proc. Powód? Wygasła umowa, jaką miał PGNiG na dostawy od zarejestrowanej w Szwajcarii spółki pośrednika (w połowie należącej do Gazpromu). Polska firma znalazła się pod ścianą i – aby nie zabrakło w kraju paliwa – musiała zgodzić się na podwyżkę. Ponoć jeden z ówczesnych szefów PGNiG ze złości połamiał pióro, którym złożył podpis pod dokumentami w tej sprawie.

Gazprom przez część polityków z największych państw europejskich uważany jest za bardzo wiarygodnego i pewnego partnera

Każda podwyżka cen gazu z importu to dodatkowe miliony wydatków PGNiG. Gdy na początku 2015 r. agencja Interfax ujawniła ceny, po jakich Gazprom sprzedaje paliwo w Europie poszczególnym krajom, w Polsce zawrzało (choć już wcześniej pojawiały się informacje, że grubo przepłacamy w porównaniu z Niemcami czy Włochami). Okazało się, że np. w 2013 r. rosyjski gaz dla Polski był o 63 dol. (na 1 tys. m³) droższy niż dla Niemiec, a rok później droższy o 56 dol. Gdyby ceny były jednakowe dla obu krajów, to PGNiG zapłaciłby Rosjanom w ciągu tych dwóch lat w sumie o miliard dolarów mniej.

WIELKIE INTERESY

Czasami pada pytanie: Dlaczego rosyjska firma jest tak łagodnie traktowana w porównaniu choćby z Microsoftem, Apple czy Google? Gdyby zadać je przedstawicielom KE, zapewne byłiby zdziwieni. W cieniu pięcioletnich działań brukselskich urzędników są jednak i geopolityka, i wielkie interesy. Choć wiele osób związanych z branżą zdaje sobie z tego sprawę, to głośno o tym nie mówią.

Mówią za to fakty. Podstawowy to taki, że Gazprom przez część polityków z największych państw europejskiej wspólnoty uważany jest za bardzo wiarygodnego i pewnego partnera. I tej opinii nie zmienił nawet kryzys 2009 r., gdy Gazprom zakręcił kurek gazowy dla Ukrainy i w efekcie w środku zimy zabrakło gazu w kilku krajach unijnych. Na dodatek powiązania gospodarcze i inwestycyjne między takimi państwami jak Niemcy, Włochy czy Francja a Rosją opiewają na wiele miliardów euro.

Dla Gazpromu pracuje były kanclerz Niemiec Gerhard Schröder, który przez ponad 10 lat kierował komitetem akcjonariuszy (odpowiednik rady nadzorczej) pierwszego konsorcjum Nord Stream, a od roku jest szefem rady dyrektorów spółki Nord Stream 2. Dołączyła też do niej ostatnio jedna z wysokich ragą urzędników niemieckiego ministra gospodarki, a i sam minister Sigmar Gabriel znany jest z opinii wspierających budowę Nord Stream 2. Warto też wspomnieć, że niemiecki koncern E.ON (a wcześniej Ruhrgas) to jedyny zagraniczny udziałowiec Gazpromu ze znaczącym, bo kilkuprocentowym, pakietem akcji. A były już szef Ruhrgasu, Burkhard Bergmann, jako jedyny obcokrajowiec przez kilka lat zasiadał w radzie nadzorczej rosyjskiego potentata (gdy w 2011 r. z niej ustąpił – został doradcą prezesa Aleksieja Millera i otrzymał wysokie rosyjskie odznaczenie państwowe).

Gazprom ściśle współpracuje z największymi firmami zachodnioeuropejskimi, i to nie tylko jako dostawca gazu. Nie tylko E.ON, lecz także RWE, BASF, włoski koncern ENI, austriacki OMV czy holenderski Shell wspierają go przy budowie gazociągu Nord Stream (pierwsza nitka już biegnie z Zatoki Fińskiej po dnie Bałtyku do wybrzeży Niemiec). Teraz w planach jest druga nitka, a w związku z tym w perspektywie wstrzymanie przesyłu gazu rosyjskiego tranzytem przez Ukrainę i zapewne rurociągiem jamalskim przez Polskę. Choć Nord Stream 2 to rurociąg europejskiej niezgody, to Rosjanie są bliscy rozpoczęcia realizacji. Koszty to prawie 10 mld euro, ale przy okazji są lukratywne kontrakty na budowę czy wykonanie rur, o które zabiegają europejskie firmy.

© All rights reserved

Autorka jest ekspertką Centrum Gospodarczego im. Mikołaja Kopernika.



**PAŁAC
NA
WODZIE**

EMOTIONS & THERMAL SPA

Zainwestuj w Apartament w funkcjonującym hotelu
Zarabiaj już dziś



7%
stopa zwrotu

10 lat
umowa najmu

14 dni
pobyt właścicielski



Baseny termalne



Thermal SPA



Restauracja



Prywatny staw

Pałac Na Wodzie Emotions & Thermal SPA

jedyny aparthotel w Polsce z własnym ujęciem wody termalnej, położony w samym sercu Karkonoszy



22 299 11 44

apartamenty@palacnawodzie.pl

apartamenty.palacnawodzie.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu Art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego.

Stopa zwrotu liczona od wartości netto apartamentu, w przypadku korzystania z pobytu właścicielskiego wynosi 6%

eprasa.pl 8730e4e843



PYTE L

PROSTO ZYGZAKIEM

Euro w Polsce?
Być może

Euro nie tylko nie jest lekarstwem na jakiegokolwiek i czyjekolwiek kłopoty, lecz przeciwnie – wprowadzenie go w państwach o tak zróżnicowanym poziomie rozwoju gospodarczego, jak choćby Grecja i Niemcy, wywołuje kryzys za kryzysem. To oczywista oczywistość, której nie chcą uznać już tylko odpowiedzialni za uruchomienie tego projektu politycy, świetnie żyjący ze słabszej niż ich dawna marka eurowaluty Niemcy oraz zacządzeni euroizmem euroentuzjaści i zawodowi euroentuzjaści – eurokraci.

Inaczej mówiąc: nie tylko do Greków zdążyło już dotrzeć, że przyjęcie euro oznacza ryzyko, a ryzyko zawsze oznacza koszt. Jak wielki? I w związku z tym, czy nie nazbyt duży, by warto było go ponosić? Oto pytanie, którego – wbrew pozorom – w żadnym razie nie powinno się zbywać krótkim i kategorycznym: nie warto. Zwłaszcza gdy się leży w tym miejscu świata, w którym leży Polska. Nie tylko w sąsiedztwie coraz bardziej nieprzyjaznej oraz nieprzewidywalnej Rosji, lecz także w sąsiedztwie Niemiec, które niezależnie od epok znajdują jakąś niesłychaną łatwość, a może i przyjemność, w robieniu interesów z Rosją kosztem Polski – podobno ich sojusznika z NATO i UE; tak jak teraz – budując „wspólnie i w porozumieniu” z Kremlm jeden Nord Stream po drugim, co drastycznie obniża poziom bezpieczeństwa energetycznego, a więc bezpieczeństwa ogólnego, naszego państwa.

To główne powody, które przemawiają za tym, by pochopnie nie odrzucać, a przeciwnie – nieustannie spokojnie ważyć projekt przystąpienia do strefy euro. Rzecz jasna pod warunkiem, że ona przetrwa, a to przecież jest więcej niż wątpliwe. Dla strefy wspólnego pieniądza nie ma bowiem najmniejszego uzasadnienia w obecnych warunkach politycznych – bez istnienia europejskiego superpaństwa, a jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, by w dającej się przewidzieć perspektywie Francuzi, Niemcy, Holendrzy itd. chcieli przystać na pozbawienie się prawa do realizowania swej suwerenności w ramach własnych państw narodowych.

Na wypadek jednak, gdyby z jakichś powodów ów pozbawiony sensu twór, jakim w obecnej postaci jest euroland, przetrwał – i istniał za lat pięć, siedem czy piętnaście – Polska powinna sobie zostawić dość otwartą drogę. Czyli nie ulegać ani presji eurosceptyków, wzywających do natychmiastowego ogłoszenia decyzji o nieprzystępowaniu do strefy euro, ani naciskowi eurokratów, domagających się jak najszybszego włączenia do niej naszego kraju. A więc także szantażowi komisarzy z Brukseli, którzy – jak wieść niesie – zamierzają narzucić rok 2025 jako datę graniczną wstąpienia do eurolandu krajom, które zobowiązały się to kiedyś zrobić, a na razie tego nie uczyniły. Czyli także Polsce.

Eurorealizm opłaca się nam dużo bardziej od eurosceptycyzmu i euroentuzjazmu. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Budżet
zerowy

Raz na kilka lat każda organizacja oraz rząd powinny przeprowadzić ćwiczenie, które nazywa się „budżet zerowy”. To oznacza, że budżet na kolejny rok nie jest ustalany według reguły „budżet bieżącego roku plus korekty”, ale wyłącznie na podstawie zadań i celów kolejnego roku. Każdy dyrektor jednostki organizacyjnej (albo każdy minister, gdy dotyczy to budżetu kraju) powinien przedstawić uzasadnienie wydatków oraz dokonać rynkowej weryfikacji wysokości tych wydatków

**Każda organizacja
(w tym rząd)
powinna wprowadzić
motywacje,
które zachęcają
do oszczędności**

(tzw. benchmarking). Ta metoda jest bardzo skuteczna w eliminowaniu zbędnych wydatków i zbędnych zadań.

Ponadto każda organizacja (w tym rząd) powinna wprowadzić motywacje, które zachęcają pracowników do oszczędności. Na przykład pewien procent uzyskanych oszczędności mógłby zwiększać wartość premii wypłacanych autorom tych oszczędności. Wówczas uruchamia się oddolny proces efektywności wydatków, który przynosi świetne rezultaty.

Na poziomie kraju taką funkcję powinien pełnić budżet zadaniowy, który od

wielu lat funkcjonuje w Polsce, ale niestety swojej roli nie odgrywa. Obecnie budżet zadaniowy jest dodatkowym procesem administracyjnym, który zwiększa liczbę raportów i roboczogodzin, ale nie generuje ww. efektów.

Są dostępne technologie, które pozwalają na zbieranie danych mogących służyć takiej analizie, a strategia cyfryzacji kraju powinna uwzględniać wdrażanie takich technologii. Na przykład szeroko rozumiana pomoc społeczna (instrumenty wydatkowe i podatkowe) jest w Polsce źle adresowana, korzystając z niej w dużym stopniu osoby, które nie są biedne. Nie są stosowane kryteria majątkowe w adresowaniu pomocy społecznej, mimo że takie dane są dostępne, ale nie są odpowiednio analizowane. Analiza scoringowa banków może być instrumentem wykorzystywanym w polityce społecznej. Proces, który jest obsługiwany przez sektor publiczny, może kosztować kilkakrotnie więcej niż jego wycena rynkowa. Wiele zadań jest duplikowanych dlatego, że informacja o tym, iż dane zadanie było już wielokrotnie realizowane, nie jest dostępna. I tak dalej.

Starzenie się społeczeństwa i wdrażanie nowych, drogiej polityk, takich jak polityka prorodzinną, powinny wymusić większą efektywność wydatków publicznych. Wdrożenie wskazanych w tym artykule działań powinno przynieść spodziewane efekty. ©©

Autor jest rektorem Narxoz University w Alma Acie w Kazachstanie

TEST „DO RZECZY”: WOOLET 2.0 – INTELIGENTNY PORTFEL

Przmiotów typu smart wciąż przybywa w błyskawicznym tempie. Są już inteligentne telewizory, zegarki, żarówki, a nawet inteligentne szczotki do włosów, buty, T-shirty i eleganckie koszule. Powstanie portfela w wersji smart było więc tylko kwestią czasu. Niemal każdemu zdarzyło się przecież wyjść z domu bez niego lub – co gorsza – zostawić go w restauracji, kawiarni albo na biurku w pracy.

Woolet, produkt wymyślony przez Polaków, którzy pieniądze na jego stworzenie zebrali na serwisie Kickstarter, ostrzega roztargnionych użytkowników, gdy ci próbują wyjść z domu lub z pubu bez swojego portfela. W jaki sposób? Portfel komunikuje się ze smartfonem swojego właściciela za pomocą Bluetooth. Miniaturowe czujniki cały czas sprawdzają, czy Woolet znajduje się w zasięgu telefonu. Natychmiast wychwycą więc, jeśli zapomnimy portfela albo go zgubimy. Na ekranie telefonu pojawi się wówczas stosowne ostrzeżenie. Za pomocą aplikacji (dostępnej na systemy Android oraz iOS) można sprawdzić ostatnią zapamiętaną lokalizację Wooleta (dzięki temu, jeśli nagle w pracy odkryjemy, że nie mamy portfela, możemy spokojnie sprawdzić, czy zguba została w mieszkaniu lub pokoju hotelowym). Można też zdalnie uruchomić ukryte w portfelu malutkie



głośniczki, które emitując sygnał alarmowy o mocy do 90 dB, pomogą odnaleźć zgubę lub nawet – jeśli będziemy działać wystarczająco szybko – wskazać złodzieja, który próbuje oddalić się z naszymi pieniędzmi. To rozwiązanie przydaje się także wtedy, gdy portfela teoretycznie nie zgubiliśmy (bo przecież wiemy, że musi być gdzieś w domu lub samochodzie), ale musimy szybko znaleźć go w torbie/torebce lub między fotelem a skrzynią biegów.

Woolet 2.0 zazwyczaj działa niezłe, choć nie w 100 proc. Czasem zdarzają się bowiem niepotrzebne powiadomienia o utracie połączenia,

i to nawet jeśli portfel oraz smartfon znajdują się tuż obok siebie. Na szczęście takie sytuacje nie zdarzają się zbyt często, a producent umożliwia utworzenie tzw. strefy ciszy (np. w mieszkaniu), gdzie nawet jeśli odejdziemy z telefonem daleko od portfela, powiadomienia w danej lokalizacji nie będą wysyłane. Inną wadą Wooleta jest brak dodatkowych przydatnych i innowacyjnych funkcji.

Zaletą jest z kolei to, że na pierwszy rzut oka portfel w wersji smart w ogóle nie przypomina elektronicznego gadżetu. Wygląda bowiem po prostu jak tradycyjny, elegancki, solidnie wykonany portfel z włoskiej licowanej skóry. Zaszyta wewnątrz elektronika jest kompletnie niewidoczna.

Do wyboru są dwa kolory (czarny oraz brązowy) oraz dwa rozmiary (mały i XL). Według producenta bateria na jednym ładowaniu może pracować przez pół roku. Jeśli się rozładuje, to można skorzystać z bezprzewodowej ładowarki (nie ma jej jednak w zestawie).

Niestety, inteligentny portfel to drogi gadżet. Za ten w wersji XL (jest na tyle duży, że mieści się w nim paszport) trzeba zapłacić ok. 550 zł, a za Wooleta w mniejszej wersji niemal 480 zł. Ewentualnie można go kupić w zestawie z padem do ładowania za ok. 750 zł. ©

Jacek Przybylski

POŚCIGAMY SIĘ?

Kiedy byłem małym chłopcem, chciałem być żołnierzem. A także kowbojem, policjantem i... pragnąłem ścigać się na gokartach. Żadne z tych marzeń się nie spełniło, nigdy nie wsiadłem do wyścigówki, podobnie zresztą jak nie udało mi się zostać Indianinem. Posiadanie własnego gokarta dziś jest jednak w zasięgu ręki prawie każdego – w zależności oczywiście od tego, jak bardzo ma wypchaną kieszeń. I od razu podpowiem – najlepszym rozwiązaniem jest opcja „bardzo”. Aby stać się szczęśliwym posiadaczem elektrycznego gokarta Daymak C5 Blast Go-Kart, trzeba wyłożyć równowartość 60 tys. dol., nie licząc dodatkowych wydatków na strój ochronny, zabezpieczenia ani kosztów energii elektrycznej. W zamian jednak można stać się szczęśliwym (albo i nie) właścicielem elektrycznej wyścigówki, która – jak twierdzi jej kanadyjski producent – rozpęda się do setki w półtorej sekundy. Gadżet jest napędzany bezszczotkowym silnikiem 10 kW karmiącym się energią z 12 baterii (każda o pojemności 5 tys. mAh). Są też (w najdroższej wersji Ultimate)

te napędy tunelowe zwiększające docisk. Narobiłem apetytu? Obok najdroższej wersji będzie można kupić też tańszy model, za ok. 10 tys. dol., ale ma się on tak do wersji Ultimate jak bar mleczny do restauracji Amber Room znanej z hucznych kolacji członków poprzedniej ekipy rządzącej.



PIJ I NIE PŁAĆ. ZBYT DUŻO

Gdyby w kategorii gadżetów przyznawano Nagrodę Nobla, twórca DrnkPay miałby spore szanse, a na pewno mógłby liczyć na uznanie tej części Polaków, którzy hasło: „Zastaw się, a postaw się” podnieśli do rangi prawdziwej sztuki. Żarty żartami, a jednak niezaprzeczalne jest to, że po kilku kolejkach postawionych przez kolegów, zwłaszcza gdy w towarzystwie są piękne kobiety, nierzadko zbyt ochotczo i zbyt łatwo sięga się do portfela („cała sala pije z nami”), cierpiąc dzień później nie tylko na kaca, lecz także na totalny brak gotówki. Gadżet ma nas przed tym chronić. Jak? Przenośny alkomacik podłączamy do telefonu (niestety, trzeba w niego dmuchać), a specjalna aplikacja powiązana z naszą kartą płatniczą i systemem internetowych płatności zablokuje możliwość płacenia za kolejną kolejkę po przekroczeniu pewnego (ustawionego wcześniej) stężenia alkoholu oraz limitu wydanych pieniędzy. Oczywiście wcześniej trzeba apkę skonfigurować, ustawiając liczbę drinków, które chcemy dziennie wypić na własny koszt, oraz kwotę, jaką jesteśmy w stanie na to wydać. Producent na razie dopracowuje gadżet, docelowo ma też pojawić się opcja blokowania zakupów w sklepach z ciuchami po zbyt dużej dawce alkoholu, a alkomat z opcją dmuchania ma zastąpić bransoletka. Gadżet nowojorskiego producenta na rynek wejdzie za rok. ©

Wojciech Wybrowski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KATARZYNA PINKOSZ: Pierwsze lata życia spędził pan w jakucji, dokąd w 1941 r. deportowano pańskich rodziców. Te doświadczenia wpłynęły na pana życie?

VYTENIS ANDRIUKAITIS: Życie na Syberii było ciężkie, ale byłem dzieckiem i nie zdawałem sobie sprawy z trudności, jakie przeżywała rodzina. Niedawno oglądałem zdjęcia i o wiele lepiej pojąłem cierpienia moich rodziców: dojmujące zimno, ból, głód i ekstremalna nędza bardzo ich zmieniły pod względem fizycznym. Dopiero jako siedmiolatek odkryłem, że istnieją jabłka. Myślę, że te przeżycia ugruntowały mój sprzeciw wobec niesprawiedliwości, pragnienie walki o prawa człowieka. Doceniam też to, co mamy dziś. Dlatego od lat angażuję się w walkę z marnotrawstwem żywności. Tracimy 20 proc. żywności produkowanej w UE, a tymczasem 55 mln osób nie stać na porządny posiłek co drugi dzień. Uważam to za nieetyczne.

Jest pan lekarzem, ale też politykiem. Dlaczego zdecydował się pan objąć stanowisko komisarza KE?

Rzeczywiście przez ponad 20 lat praktykowałem jako kardiochirurg. Wykształcenie medyczne bardzo pomaga mi na obecnym stanowisku. Czy można lepiej zrozumieć obawy pacjentów i oczekiwania pracowników służby zdrowia niż wtedy, gdy ma się doświadczenie pracy lekarza? Czy można lepiej zorientować się w działaniu systemów służby zdrowia, niż mając za sobą karierę w jednym z nich? Wykształcenie lekarskie bardzo pomaga w podejmowaniu decyzji dotyczących bezpieczeństwa żywności. Przyznaję jednak, że w tym zakresie moich obowiązków nadal się uczę.

Na czym polega pańska praca jako komisarza ds. zdrowia i bezpieczeństwa żywności KE?

Powierzono mi zadanie modernizacji i uproszczenia polityki bezpieczeństwa żywności UE przy zachowaniu dotychczasowego wysokiego poziomu bezpieczeństwa. Moim obowiązkiem jest też dbanie o to, by Komisja mogła wspierać UE w sytuacjach kryzysowych związanych z bezpieczeństwem żywności czy pandemiami.

Minęła właśnie połowa mojej kadencji. Przed jej zakończeniem chciałbym jeszcze wiele osiągnąć. Będę nadal wspierać kraje UE w skutecznym radzeniu sobie z presją wywieraną na systemy służby zdrowia, a także z poważnymi zagrożeniami zdrowotnymi, jak np. odporność na środki przeciwdrobnoustrojowe. Poza tym decyzji polityczni potrzebują wia-



Z Vytenisem Andriukaitisem, komisarzem ds. zdrowia i bezpieczeństwa żywności Komisji Europejskiej rozmawia Katarzyna Pinkosz

Unijne środki na polskie zdrowie

rygodnych informacji, aby móc tworzyć skuteczną politykę zdrowotną. Dlatego pracujemy nad inicjatywą „Stan Zdrowia w UE” na lata 2016–2017. Pomoże ona państwom UE w identyfikacji najważniejszych wyzwań w dziedzinie zdrowia oraz w prowadzeniu polityki zdrowotnej.

Ponadto, ponieważ wszystkie kraje UE starają się osiągać więcej mniejszymi środkami, chcę zintensyfikować współpracę nad oceną technologii medycznych (Health Technology Assessment, HTA) na szczeblu UE. To pomoc dla decydentów w formułowaniu skutecznej i ekonomicznej polityki zdrowotnej.

W jaki sposób środki UE przyczyniają się do poprawy stanu zdrowia?

Przykładem może być wsparcie badań nad nowotworami. Unia zainwestowała ponad 1,5 mld euro m.in. we wspólne

badania międzynarodowe, koordynację krajowych badań nad nowotworami. Od 2014 r. UE sfinansowała 272 projekty związane z badaniami nad nowotworami na kwotę 415 mln euro w ramach programu Horyzont 2020. Komisja Europejska wspiera też szeroki zakres wspólnych działań z krajami członkowskimi. Sprzyjają one wymianie wiedzy i najlepszych praktyk, by państwa członkowskie borykające się z określonymi problemami mogły skorzystać z inspiracji innych krajów.

Odwiedzi pan wkrótce Toruń, gdzie wykorzystano kredyt pomocowy Europejskiego Banku Inwestycyjnego na przebudowę i modernizację regionalnego szpitala. To pierwsza w Polsce inwestycja łącząca różne formy finansowania UE. Co to oznacza dla pacjentów w tym regionie?

Polska przeznaczyła 948 mln euro z funduszy strukturalnych na cele zdro-



FOT. ETIENNE ANSOTTE/EC

nego. Inwestycje będą służyć rozwiązaniu problemów zdrowotnych dorosłych oraz dzieci w ramach podstawowej opieki zdrowotnej, powinny przyczynić się też do rozwoju skoordynowanej opieki oraz zintegrowanych form opieki społecznej.

Co można zrobić, by polscy i litewscy pacjenci mieli taki sam dostęp do nowoczesnych terapii jak obywatele bogatszych krajów UE?

Dostęp do usług zdrowotnych wymaga poprawy w całej Europie. Z ubiegłorocznego raportu wynika, że 27 proc. pacjentów trafia na izbę przyjęć na skutek niedostępności podstawowej opieki zdrowotnej, a ok. 15 proc. wydatków na ochronę zdrowia pochodzi bezpośrednio od pacjentów. Polityka państw członkowskich powinna koncentrować się na obniżaniu barier finansowych w służbie zdrowia, zwiększaniu dostępu do podstawowej opieki zdrowotnej oraz skracaniu nadmiernego czasu oczekiwania na leczenie.

Z jakimi wyzwaniami będą musiały się zmierzyć systemy służby zdrowia w państwach członkowskich UE, szczególnie te o niższym PKB?

Wiele wyzwań jest wspólnych dla wszystkich systemów służby zdrowia. Jednym z nich jest starzenie się społeczeństwa. Równolegle wzrasta obciążenie związane z chorobami przewlekłymi. W krajach UE 32 mln osób w wieku 20–79 lat ma cukrzycę, a w związku ze wzrostem otyłości liczba ta prawdopodobnie jeszcze wzrośnie. Choroby przewlekłe nie tylko powodują cierpienie chorych, lecz także ogromne obciążenie dla budżetów służby zdrowia.

Najważniejszym wyzwaniem jest dobre zdrowie obywateli. Inwestując w promocję zdrowia, pomagamy zapobiegać chorobom przewlekłym lub je opóźniać. Z myślą o tym przygotowaliśmy m.in. ustawodawstwo (np. dotyczące wyrobów tytoniowych), instrumenty finansowania oraz platformy współpracy (w dziedzinie żywienia, alkoholu, otyłości itp.). W celu zmniejszenia otyłości współpracujemy m.in. z branżą spożywczą nad zmianą składu produktów, kształtujemy wytyczne dotyczące zamówień publicznych w zakresie żywności w placówkach edukacyjnych, wspieramy dystrybucję warzyw i owoców w szkołach. Im mocniej skoncentrujemy się teraz na profilaktyce, tym mniej będziemy później płacić za leczenie.

Czy sądzi pan, że dyrektywa tytoniowa może zmniejszyć liczbę palaczy?

Corocznie tytoń zabija przedwcześnie w Unii 700 tys. osób. W 2014 r. UE przyjęła dyrektywę zawierającą bardzo ambitne przepisy służące ograniczeniu palenia. Od wiosny 2017 r. w całej Unii zakazane są wszystkie atrakcyjne, kolorowe i aromatyzowane wyroby tytoniowe. Wszystkie paczki papierosów muszą być opatrzone napisami i zdjęciami ostrzegającymi przed zagrożeniami czyhającymi na palaczy. Mam nadzieję, że pomogą nastolatkom odmówić zapalenia pierwszego papierosa, który może być pierwszym krokiem do nałogu trwającego całe życie.

W Europejskim Konsumenckim Indeksie Zdrowia Polska zajęła 34. miejsce. Co wymaga natychmiastowej poprawy?

W UE funkcjonuje 28 różnych systemów służby zdrowia, każdy z nich ma swoje zalety i problemy. Myślę, że nie trzeba układać ich rankingu. Niezależnie od modeli organizacyjnych systemów służby zdrowia w UE staramy się w komisji, by wszystkie realizowały nasze wspólne wartości, takie jak powszechny, równy dostęp do dobrej jakości opieki zdrowotnej oraz solidarność.

Zdaję sobie sprawę z problemów, z jakimi boryka się Polska. Wiele potrzeb pozostaje niezaspokojonych ze względu na długie kolejki do specjalistów, małą liczbę personelu medycznego. Przewiduje się jednak znaczne zwiększenie wydatków publicznych na służbę zdrowia. Jestem przekonany, że obecnie realizowane przez Polskę reformy spowodują poprawę sytuacji.

Nie mogę nie zapytać o pana związki z Polską. Gdzie nauczył się pan mówić po polsku?

Wczesne dzieciństwo, tak jak mówiłem, spędziłem w sowieckim gułagu – wśród rodzin z Polski, Łotwy, Mołdawii i innych krajów. Poza tym Polacy to największa mniejszość narodowa na Litwie, a Polska to nasz sąsiad. Nigdy nie uczyłem się języka polskiego w szkole, tylko w ramach spotkań i rozmów z Polakami. Uczenie się czyjegoś języka to wyjście naprzeciw tej osobie. Wiąże się to z wysiłkiem, ale poznanie kultury i sposobu myślenia innych ludzi daje dużą satysfakcję. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Vytenis Andriukaitis był współautorem i sygnatariuszem aktu niepodległości Litwy, wicemarszałkiem litewskiego parlamentu, ministrem zdrowia Litwy. Od 2014 r. jest komisarzem ds. zdrowia i bezpieczeństwa żywności Komisji Europejskiej.

wotne w latach 2007–2013, a na interwencji związane ze zdrowiem w latach 2014–2020 przeznacza 2,9 mld euro. Województwu kujawsko-pomorskiemu przyznano 1,9 mld euro, w tym 117 mln euro na infrastrukturę ochrony zdrowia i ponad 21 mln euro na rozwiązania teleinformatyczne. Rozwiązania z dziedziny e-zdrowia mogą pomóc pacjentom cierpiącym na choroby przewlekłe w oddalonych miejscowościach w monitorowaniu stanu zdrowia.

Jednym z konkretnych celów do osiągnięcia za środki UE w województwie kujawsko-pomorskim jest zwiększenie dostępu do usług medycznych. Budżet EFRR zostanie wykorzystany na prace konserwacyjne i naprawcze, w tym na przystosowanie infrastruktury do potrzeb osób starszych i niepełnosprawnych, a także na zapewnienie sprzętu medycz-

„Kreta subiektywnie” – fragment książki autora „Do Rzeczy”



Piotr Gociek

W księgarniach czekają na was dziesiątki profesjonalnych przewodników po Krecie. Podpowiedzą, co koniecznie trzeba obejrzeć, którą restaurację wybrać, pokażą na zdjęciu, jak ładnie wygląda słynna plaża albo światowej klasy zabytek. Nie mam ambicji dokładania kolejnego tomu do tego pokaznego zbioru.

Nie zrozumcie mnie źle, przewodniki niesłuchanie ułatwiają życie, sam kolekcjonuję je nałogowo, także takie stare i teoretycznie bezużyteczne. W tych ostatnich znajduję to, co we wszelkich podręczach najważniejsze – kontekst. Stare przewodniki i relacje z podróży oprócz tego, że odkrywają przed nami świat, który niekiedy przestał już istnieć, pełnią także funkcję podobną do zapomnianych fotografii z rodzinnego archiwum.

Szukam w nich miejsc, które – jak ogry i cebula – mają warstwy. Oto Kreta. Minojskie pałace i miasta wydają się wrosnięte w kamienistą wyspę. Greckie i rzymskie pozostałości fascynują głównie osobników zakochanych w starożytnej historii, a część z nich pozostaje w łagodnym półzapomnieniu. Po Wenecjanach zostały nadmorskie fortece i miejskie mury, które służą głównie jako tło efektownych selfie. Do tureckiego dziedzictwa wyspa przyznaje się niechętnie. Inna sprawa, że za wiele z niego nie pozostało, a i dla imperium osmańskiego nie było to miejsce jakichś szczególnie ciekawych inwestycji. Bitwa o Kretę i niemiecka inwazja wydają się wydarzeniami nieistotnymi i odległymi jak bitwy toczone z rzymską flotą przez miejscowych piratów.

Obiegowa opinia jest prosta: Kreta to plaże, Kreta to Knossos, Kreta to Spinalonga, Kreta to wawóz Samaria, a oprócz tego greckie wino, muzyka, śpiew, no i kuchnia oczywiście. Nic złego w takim skróconym programie, ale jest tu równocześnie tak wiele innych rzeczy! I w odróżnieniu od Rzymu ich natłok nie wywołuje poczucia przyrętu. Możesz smakować powoli, możesz odkrywać po kawałku, możesz odwrócić się do tyłu plecami.

Bardzo podoba mi się pomysł wydawania przewodników subiektywnych –



Kreta, czyli wszystko

mistrzem jest dla mnie Lawrence Durrell, który pisał je, zanim jeszcze stały się modne i zanim w ogóle ukuto ten termin. Jego opowieści (niestety, te o greckich wyspach nie zostały wydane po polsku, możemy cieszyć się za to „Gorzkiemi cytrynami Cypru”) były połączeniem prywatnego dziennika podróży z gawędą o urodzie, historii i kulturze miejsc, w których mieszkał lub które odwiedzał. Mało kto dorównuje mu talentem i erudycją. Szukam podobnych do niego wrażliwców i ich książki wrzucam do plecaka, zanim wyjadę.

TURYSTYCZNY DONŻUAN

Wędrując po Krecie z kilogramami papieru na plecach, boleśnie odczuwam niedzisiejszość tego przyzwyczajenia. Popularny współczesny przewodnik to przecięt pół na pół zdjęcia i krótkie informacje, wszystko więc od razu widać: to dzwonnica, za którą powinieneś się rozglądać, ten detal ołtarza powiększyliśmy specjalnie dla

ciebie, żebyś nie musiał wysilać wzroku, a tą panoramą oszczędzimy ci wspinaczki na pobliskie wzgórce.

Do tego dochodzi nasza własna wybieczkowa nadaktywność w uwiecznianiu wszystkiego i wszędzie. Oraz przelewanie potem owoców tej nadaktywności do zbiornika bez dna, jakim jest Internet. Nieznośna lekkość bajtów – strzelamy fotki na lewo i prawo, nie troszcząc się wcale o to, ile ich zrobimy i co na nich jest. Pstrykamy na wszelki wypadek, pstrykamy po raz trzeci i piąty, bo może za drugim i czwartym razem wyszło krzywo, pstrykamy, bo to nic nie kosztuje. Kto dziś przejmuję się wydatkami na kliszę, wywołanie filmu, odbitki? Wszystko jest cyfrowe i wszystko takie przepastne: karty pamięci w aparatach i komórkach, twarde dyski w laptopach. Pstrykamy w nadmiarze, obiecując sobie, że posortujemy te fotki później. Nic z tego później zwykle nie wynika. Jednak kto by się tym przejmował?! Pstrykamy dalej.



FOT. ARCHIWUM PIOTRA GOCIEKA

ciekawości, tyle że aby to zrobić, trzeba mieć najpierw w sobie ciekawość. A z zainteresowaniami różnie bywa – jednego interesują pomidory, drugiego ogórki, a trzeciego ogrodnika córki.

Zrezygnowałem już ze zwiedzania w biegu. Odkryłem, że każda podróż zajmuje tyle, ile powinna, i nic nikomu do tego. Miałem kiedyś obsesję na punkcie perfekcyjnie przygotowanych rozkładów zajęć na wakacje, ale już mi przeszło. Szczególnie jeśli chodzi o Krete, takiego przymusu nie czuję w ogóle. Zdaje sobie jednak sprawę, że ten luz bierze się z pewnego doświadczenia – znam lokalne realia na tyle, że nie muszę się nimi martwić.

Dzisiaj zaliczanie atrakcji na czas, oszłamiający tempem kalejdoskop wrażeń, które błyskawicznie się dezawuuują, bo choć różne, okazują się bliźniaczo podobne, bo po latach nie pamiętamy, dlaczego tam byliśmy – dziś to budzi we mnie sprzeciw. Choćbyśmy nie wiem jak bardzo się starali, nie zobaczymy wszystkich muzeów świata, nie wykapiemy się we wszystkich morzach, nie sfotografujemy wszystkich dzwonnicy. Życia nie wystarczy. No i znanie zapewne termin „syndrom Don Juana”, którym określa się mężczyzn kompulsywnie poszukujących kolejnych nowych partnerek tylko po to, by odkryć, że żadna, ani 10., ani 100., ani 309., nie daje im wymarzonej satysfakcji. Czy w naszej pogoni za „the best of...” nie zamieniamy się w donżuanów turystyki? A może dać sobie czas na zakochanie albo chociaż dłuższe zauroczenie?

Jeśli znajdziesz miejsce, które z jakiegoś powodu do ciebie przemawia, to daj mu szansę. A kiedy będziesz musiał wyjechać, potem wróć, zamiast zabijać w sobie to uczucie kolejną wyprawą w całkiem inny zaulek świata. Kreta jest dla mnie takim miejscem i wcale mi nie przeszkadza, że swą afekcję muszę przeżywać w gronie wielu innych zadurzonych.

WARTO SIĘ ZADURZYĆ

Nie mówię tu o przywiązaniu do jednego miejsca jak do starych, ale wygodnych butów. Takie bowiem zjawisko bardziej przypomina pasję działkowca czy posiadacza wakacyjnej daczki (chałupy, domku – jak zwał, tak zwał). Mnie chodzi raczej o pozwolenie sobie na luksus posiadania drugiej małej ojczyzny, gdzieś z dala od codziennych kłopotów. Regionu, w którym

z jakiegoś powodu powietrze smakuje lepiej, słońce świeci jaśniej, a wino szumi w głowie w sposób dużo bardziej uroczy. Żeby w pełni docenić uroki takiego miejsca, trzeba wyrzec się obsesji zaliczania turystycznych atrakcji, kolekcjonowania w głowie slajdów. Trzeba przestać ślizgać się palcem po mapie i pozwolić sobie na nieco bliższą znajomość, romans, zauroczenie.

Sekret tkwi w powtarzalności. To tak jak z gotowaniem: żeby w pełni ocenić, czy potrawa wyszła, trzeba ją przygotować więcej niż raz, by mieć porównanie i rozeznanie: który ze składników gra jak należy, który za co odpowiada, za którym razem wyszło idealnie, a kiedy i dlaczego tak sobie. Nie zrozumcie mnie źle, uwielbiam wszelkie podróże, bliskie i dalekie, do Żyrardowa i na Teneryfę, ale w chwili, kiedy stawiam stopę na Krecie, serce zawsze bije mi mocniej. Wiem, że nie muszę się spieszyć, żeby spotkało mnie coś dobrego.

Życzę każdemu takiej drugiej małej ojczyzny, choć ta moja jest ojczyzną laika. Gdzież mi do zawodowców, którzy potrafią na pierwszy rzut oka ocenić, czy wzór na naczyniu pochodzi z okresu protopaleolowiczego czy neopaleolowiczego?! Gdzież mi do piechurów, którzy schodzili tu wszystkie górskie szlaki, nocowali w ściworze na szczycie Idy, zanurzyli stopę w każdej zatoczce?! Gdzież mi do obeznanych z greką ekspatów, którzy zarówno sprawnie wykłócają się z urzędnikiem, jak i pogawędzą z właścicielką tawerny w najbardziej zapadłej dziurze?! To wszystko dopiero przede mną i nie zamierzam się spieszyć. Powędruję sobie dalej po swojemu.

Tylko żeby wędrować po swojemu, żeby niespiesznie objąć się o stare mury, rozprawiać o wyższości musaki z okolic Sیتی nad zapiekanką kukinią z prefektury Chania (lub odwrotnie), żeby zamiast z nie-

cierpliwością (o matko, autobus z wycieczką zaraz odjeżdża!) spojrzeć na krajobraz z miłością – do tego wszystkiego trzeba czasu, który musimy sobie podarować. Nie mówię, że to właśnie w Krecie musicie się zadurzyć. Mówię, że w czymś zadurzyć się warto, a potem wracać, wracać, wracać i smakować. Inaczej będziecie jak ta niby ważna, a pusta w środku przesyłka polecona, której przekazanie dalej kwitują na kolejnych lotniskach.



PIOTR GOCIEK
„KRETA
SUBIEKTYWNIE”
PASCAL 2017

I tak nasze wakacje zamieniają się w facebookowy timeline, kolekcję kopii ujęć znanych z przewodników oraz folderów, ale gorszych, lecz zarazem lepszych, bo naszych. Świeżo przeżyte wakacje zamieniają się w przeglądankę nieposortowanych ujęć wymyślonych przez kogo innego.

Zgubny przymus kolekcjonowania wspomnień. Wszystkie te listy „must see”, „top 10”, „nie wolno pominąć” są układane rzekomo dla naszego dobra, w trosce o to, żebyśmy pogłębili wiedzę i mieli udane wakacje. Bzdura. Co przyjdzie komuś z Knossos, jeśli się nie interesuje historią czy archeologią? Co, oprócz poczucia frustracji, że tłoczno, że wydał parę euro, które wolałby wydać na rybę z grilla? Co, oprócz pewności, że będzie mógł potem błysnąć głęboką uwagą „Tak, byłem tam, och, jakie to piękne”. (Serio? Ciekawe – tak. Ważne – tak. Tajemnicze – na pewno. Z pięknem bym nie przesadzał...). Nie odmawiam nikomu prawa do zaspokajania



JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Kwaśno w gębie

Konserwowanie żywności poprzez kiszenie znane było – jak podają Hanna i Paweł Lisowie – już pradawnym Słowianom. Warzywa i inne produkty kwaszono w drewnianych beczkach, naczyniach oraz ziemnych jamach oszalowanych drewnem. Co jednak wkładano do środka? Tak jak dziś kiszono kapustę, ogórki i inne płody rolne, a także ich mieszanki – np. kapustę z dodatkiem czosnku, rzepy i cebuli; niekiedy buraki. Z późniejszych czasów z południowych regionów Słowiańszczyzny znane są kiszonki z liści dębu, wiśni i winogron. Być może – jak pokazuje archeologia eksperymentalna – kiszono również grzyby (najlepiej nadawały się do tego rydze i gąski, kurki, opieńki, maślaki, kozaki, borowiki i pieczarki – oczywiście wykorzystywano same ich kapelusze).

Kiszonki przetrwały do dziś w kuchni polskiej, rosyjskiej, ukraińskiej i czeskiej. Ciekawe jednak, że za czasów Rzeczypospolitej szlacheckiej uznawane były chyba za danie plebejskie – nie znajdujemy ich w radziwiłłowskiej książce kucharskiej z końca XVII w., a u Stanisława Czernieckiego raz tylko wstydliwie przewija się ćwikła. A przecież kiszone ogórki znano, skoro – jak podają diariusze –

rzekomo po ich zjedzeniu i popiciu miodem zmarł w 1651 r. książę Jeremi Wiśniowiecki.

Wiek XIX przynosi nowe przepisy. Poczynając od kiszonych buraków u Lucyny Ćwierczakiewiczowej, gotowanych w „miękkiej wodzie”, krojonych w plasterki i marynowanych w słoju z tartym chrzanem, kminkiem, jałowcem, cukrem, pieprzem i przestudzonym octem, którego zupełnie nie znali Słowianie. Poszerza się też lista produktów, które można kisić. Są to przede wszystkim śledzie moczone w wodzie przez 36 godzin, przekładane w słojach cebulą krajaną w plastry i zalewane octem. Przechowywano je w naczyniach z denkiem, które przyciskano, podobnie jak u dawnych Słowian, kamieniem, a potem umieszczano w zimnym miejscu na kilka tygodni, aby dojrzały. Kiszonki były podobnie jak dzisiaj powszechnym dodatkiem i składnikiem różnych potraw, wśród nich króluje oczywiście kiszona kapusta, choć bigos przygotowywano raczej ze zwykłej, młodej.

Ciekawym przepisem wydaje się wieprzowa kwaszenina, zaliczana wówczas – o dziwo – do kiszonek, która może zarówno być podawana zaraz po przygotowaniu, jak i przechowywana długo po przyrządzeniu. Sporządza się ją

z „oczyszczonej wieprzowej głowizny i goleni” gotowanych na miękko z włoszczyzną, solą, angielskim pieprzem, goździkami i bobkowymi liśćmi. Powstały na gorze tłuszcz precedzono przez sito i zlewano do formy. Kiedy zastygał w postaci galarety, kładziono na nią cytrynę, korniszony lub kwaśne ogórki, nakładano pokrajane mięso, zalewano resztą galarety i studzono, czyniąc z tego coś na podobieństwo dzisiejszych nóżek. Podawano oczywiście na kwaśno – z octem i oliwą.

Osobliwością kuchni kresowej były jabłka w kwasie przygotowywanym z razowej, żytniej mąki, zmieszanej z wodą, pozbawionej w cieple, „aż słodycz się znajdzie”, rozcieńczonej ośmioma garncami ciepłej wody i odstawionej, „aby lekko ukwaśniało”. Następnie zalewano tym jabłka i dociskano kratką z drzewa oraz kamieniem, aby nie wypływały.

Lista warzyw i grzybów przeznaczonych do kiszenia w XIX w. przekracza objętość naszej kulinarnej stroniczki. Podręczniki wymieniają jednym tchem: kapary domowe, korniszony, pikle, pieczarki, borowiki i trufle, a nawet groch i raki na kwaśno, nie wyłączając spośród tych różnaitości najlepszej chyba zakąski: „rydźów marynowanych do wódki”. ©



FOT. FOTOLIA

Kiszone grzyby

Myjemy kilogram grzybów, oddzielamy kapelusze, które obgotowujemy w osolonej wodzie przez niecałe 5 min. Odcedzamy je i odsączamy, aby wyschły. W tym czasie przygotowujemy naczynie – niekoniecznie stoik, może być też drewniana dzieża, kamionkowy lub gliniany garnek – parzymy je wrzątkiem i suszymy. Posypujemy dno naczynia solą i układamy warstwy grzybów kapeluszymi do góry – każdą z nich przesypujemy solą. Mieszmą pół szklanki przegotowanej wody z łyżeczką miodu, serwatką lub zsiadłym mlekiem i zalewamy tym kiszonkę, dociskając od góry talerzykiem lub deseczką.

Najpierw grzyby fermentują i pojawia się piana. Kiedy zniknie, dolewamy do kiszonki szklankę oleju. Naczynie wstawiamy do pomieszczenia, w którym jest temperatura ok. 4–8 st. C. Można je przechowywać nawet do kilku miesięcy.

SŁODKA CHWILA PO RODZINNYM OBIEDZIE

Gotowanie raczej nie należy do moich pasji, ale podobno wspólny stół umacnia rodzinę, a ja bardzo doceniam spotkania przy stole w gronie rodziny i przyjaciół. To jest dla mnie motywacja do gotowania, a oprócz tego, od kiedy zostałam żoną (a to już prawie 20 miesięcy), dbamy z mężem o to, by jak najczęściej jadać razem. Dlatego staram się być taką typową żoną Polką, czekającą z obiadem na ukochanego męża, ale muszę przyznać, że to on w naszym domu przygotowuje najlepsze kolacje. Nad rady „wujka Google” zdecydowanie przedkładam

przepisy mojej mamy, która jest mistrzynią w gotowaniu i pieczeniu. Gdy coś gotuję lub piekę i jestem w stałym kontakcie z mamą, mam pewność, że wyjdzie mi coś pysznego. Jednym z moich popisowych wypieków, a niestety nie ma ich dużo, jest ten podpatrzony u mojej mamy na nietuczające serowe ciasteczka z powidłami.

Ciasteczka z powidłami Składniki:

- 30 dag twarogu
- 30 dag masła
- 30 dag mąki
- pół łyżeczki proszku do pieczenia
- powidła

Przygotowanie:

Twaróg, masło i mąkę mieszamy (można użyć miksera), a następnie rozwałkowujemy. Możemy przy wałkowaniu podsypać niewielką ilością mąki. Po rozwałkowaniu ciasto kroimy na kwadraty o brzegach ok. 5 cm. Na każdy kwadrat nakładamy powidlą (polecam śliwkowe, najlepiej domowe, ale można też użyć kupionych). Następnie łąpiemy dwa przeciwległe rogi ciasta i nakładamy na siebie, „zamykając” z dwóch stron powidlą. Tak przygotowane ciasteczka wstawiamy do piekarnika rozgrzanego wcześniej do temperatury 150 st. C i pieczemy ok. 10 min z włączonym termoobiegiem. Ciasteczka można posypać cukrem pudrem, ale i bez niego są bardzo smaczne. © **oprac. raw**

Magdalena Korzekwa-Kaliszuk jest prawnikiem, psychologiem, szefową fundacji pro-life CitizenGO w Polsce, działaczką społeczną. W dzieciństwie prowadziła „Ziarno” w TVP.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Para buch!

Zeby utrzymać się na fali powodziowej książek kucharskich, nie wystarczy już podawać przepisów ani nawet dzielić się z czytelnikiem radością gotowania. Trzeba w gratisie dołożyć ideologię. Biorąc do ręki książeczkę „Para w kuchni” Karoliny i Macieja Szaciłłó, miałam nadzieję dowiedzieć się, jak po prostu ulepszyć gotowanie na parze, które sama jako stara wyga kuchenna stosuję. Dotąd w chińskich wiklinowych koszyczkach gotowałam brokuły, kartofle, fasolkę szparagową. Warzywa przygotowywane w ten sposób były na pewno zdrowsze, acz przyznaję, pozbawione smaku. Państwo Szaciłłowie podają wiele interesujących przepisów na dania na parze, nie tak elementarnych jak moje. Jednak w tej książce najgorsza jest otoczka ideologiczna. Nad autorami unoszą się opary nie tyle pary, ile wschodnich teorii na temat istoty bytu.

„Ostatnio do moich zainteresowań dołączyła spagiryka – pisze Karolina Szaciłło. – To starożytna metoda wytwarzania preparatów roślinnych, które w pozytywny i naturalny sposób oddziałują na nasze ciało i psychikę [...]. Słońce, które przejawia energię męską, świeci i doprowadza do powstania pary. Tym samym pierwiastek męski przekształca się w żeński. Powietrze, w którym unosi się para, wypełnia chłodna żeńska energia. Następnie para skrapla się i z powrotem zaczyna dominować męska siła”.

Nie może zabraknąć ajurwedy (starożytny system



KAROLINA I MACIEJ SZACIŁŁO
„PARA W KUCHNI”
ZWIERCIADŁO 2017

medycyny indyjskiej – przyp. red.), to zresztą nic nowego, ponieważ nie ma magazynu o zdrowiu/urodzie, w którym ona by nie występowała. Według ajurwedy – jak twierdzą autorzy książki – gotowanie na parze jest najlepszym sposobem obróbki termicznej, ponieważ pozwala zachować jak najwięcej prany – ulotnej energii życiowej.

Protestując przeciwko tak seksistowskiemu podejściu do tematu, przechodzę do porządku dziennego, czyli przepisów. Duża ich część, jak przystało na prezentowaną ideologię, pochodzi z kuchni wschodnich: warzywa w indyjskim sosie jogurtowym, parowane szpinak po japońsku, azjatyckie kuleczki ryżowe, fenkuł curry masala... Multi-kulti przybiera postać kuchni włoskiej: carpaccio z buraka czy z łososia, dyniowe gnocchi, makaron z marchewki z pesto. Są też akcenty rodzime: gołąbki z włoskiej kapusty, pieczarkowe pyzy.

Kto chętny zaopatrzyć się w jeden z polecanych tu garnków do gotowania na parze (wiklinowy chiński polecany jako najlepszy), ten powinien wiedzieć, że w ten sposób można przyrządzić wszystko: przystawki, dania główne, desery. Dalejże, do roboty, pierwiastku męski i żeński! Para buch! ©©



NASZ TEST: INFINITI Q50S HYBRID

To nie jest auto dla starych prezesów. W przeciwieństwie do typowych niemieckich limuzyn japoński sedan premium nie ma bowiem stonowanego wyglądu. Przeciwnie: nietuzinkowa sylwetka podkreśla sportowe geny samochodu, który od zera do pierwszej setki przyspiesza w nieco ponad 5 s. Innymi słowy: idealna zabawka na 30. lub 40. urodziny.

W KABINIE

Materiały we wnętrzu są najwyższej jakości. Uwagę zwracają dwa ekrany dotykowe, ułatwiające korzystanie z technologicznych udogodnień. Fotele zaprojektowane na podstawie



badan w sztucznie stworzonym przez NASA stanie nieważkości dobrze podpierają ciało. Nawet podróż nad morze zatłoczoną autostradą może być komfortowa. Zwłaszcza jeśli siedzimy z przodu. Osoby, którym przypadły miejsca z tyłu, mają już prawo narzekać na ciasnotę i zbyt intymny, wymuszony kontakt

z podsuftką. Również bagażnik nie jest zbyt duży: ma tylko 400 l pojemności.

JAZDA

Japoński sedan to auto, które przyjemnie wynagradza kierowcy to, że zdecydował się wydać więcej na proekologiczne rozwiązanie. W tym przypadku najważniejszym efektem połączenia napędu benzynowego (a dokładniej silnika V6 o pojemności 3,5 l) z hybrydowym jest poprawienie osiągnięć. Dzięki temu testowane Infiniti (w sumie o mocy 364 KM) od zera do pierwszej setki rozpędza się w zaledwie 5,4 s (to wersja z napędem na cztery koła). Japończycy oferują też auto z napędem tylko na tylne koła – ta wersja od 0 do 100 km/godz. rozpędza się w 5,1 s. W obu przypadkach to wystarczające osiągi, aby wywołać uśmiech na twarzy kierowcy (prędkość maksymalna wynosi 250 km/godz.).

Kabina jest świetnie wyciszona, a auto bardzo dobrze trzyma się drogi. Dla miłośników tradycyjnych sportowych samochodów problemem może się jednak okazać innowacyjny system „steer-by-wire”. Niczym w samolotach w tym modelu Infiniti Japończycy zastąpili elektroniką tradycyjne mechaniczne połączenie między kołami a kierownicą – autem sterujemy więc za pomocą impulsów elektrycznych. Dzięki temu na kierownicy nie czuć na przykład tego, że nagle wpadliśmy w dziurę.

Chociaż system komputerowy został tak zaprojektowany, aby kierowca „czuł”, co się dzieje



z kołami, to początkowo można odnieść wrażenie pewnej sztuczności i mniejszego wycucia pojazdu. Na szczęście Japończycy pozwolili kierowcom na dostosowanie ustawień układu kierowniczego (szybkości działania oraz siły wspomagania) do własnych upodobań. Można się więc przyzwyczaić.

A jak z apetytem na paliwo? Podczas testu auto spalało średnio na mieście 9,8 l/100 km, a na trasie ok. 6 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Infiniti Q50 zdobyło komplet pięciu gwiazdek. Po włączeniu wykorzystującej radar tarczy bezpieczeństwa komputer potrafi zaś ostrzec kierowcę przed przeszkodami, których kierowca nie ma jeszcze szans dostrzec. W awaryjnych sytuacjach auto potrafi także autonomicznie zmniejszyć prędkość lub nawet zahamować. Ryzyko wypadku zmniejsza także system ostrzegający przed pojazdami znajdującymi się w martwym polu lusterek, a także elektroniczny asystent alarmujący w przypadku wykrycia niezamierzonej zmiany pasa ruchu.

CENA

Za Infiniti Q50 w wersji hybrydowej z automatyczną siedmiobiegową skrzynią biegów i napędem na tylne koła trzeba zapłacić co najmniej 224,5 tys. zł. Jeśli chcemy cieszyć się napędem na wszystkie łapy, to rachunek wzrośnie o 12,5 tys. zł.

KONKURENCI

Audi A4, BMW serii 3, Lexus IS, Mercedes klasy C ©

JACEK PRZYBYLSKI





Drive@earth

NOWY ASX

POSTAW NA DOSKONAŁOŚĆ

Już od **499 zł netto/mies.***



Odkryj Mitsubishi Business Contract:

- rata niższa niż w tradycyjnym leasingu
- możliwość wymiany na nowy samochód już po 2 latach
- korzyści podatkowe - odliczenie VAT-u, raty liczone jako koszt uzyskania przychodu



100 LAT

Innowacyjności
samochodów Mitsubishi.

MMC Finanse
FINANSOWANIE DLA MITSUBISHI
MOTORS POLSKA

* Kalkulację sporządzono na samochód ASX 1.6 Invite w cenie 66 090 zł netto, w oparciu o stałą stopę procentową z dnia 09.05.2017r. Opłata wstępna 25%, okres kontraktu 60 miesięcy, przebieg całkowity 120 000 km. Niniejsza propozycja nie stanowi oferty w rozumieniu Art. 66 par. 1 Kodeksu Cywilnego i jest adresowana wyłącznie do przedsiębiorców. Przyznanie finansowania jest uzależnione od wyniku badania zdolności kredytowej ubiegającego się o finansowanie. Szczegóły u sprzedawcy. Dostawcą oferty jest Arval Service Lease Polska Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Wołoskiej 24, 02-675 Warszawa. Informacje na temat złomowania samochodów Mitsubishi oraz przydatności do odzysku i recyklingu są dostępne na www.mitsubishi.pl. Emisja CO2: 135 g/km; zużycie paliwa 5,8 l/100 km.



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Cieężki los prezydentów

MARCIN MAKOWSKI: Przeciaki, notatki, przyjazne rozmowy z Ławrowem, żalenie się na byłego szefa FBI, próby wywierania nacisku na prowadzone przez niego śledztwo. Donald Trump nie ma ostatnio dobrej passy.

MATTHEW TYRMAND: To prawda, że liczba przecieków, które wychodzą z Białego Domu do mediów, jest ostatnio przytłaczająca. Przytłacza również skala, z jaką lewicowo-liberalne telewizje, portale i gazety wałkują do znudzenia każdy cytat, który rzekomo pochodzi z pewnego źródła i ma świadczyć o tym, że prezydent USA złamał prawo. Co z kolei popiera koronną tezę środowisk demokratycznych, że Trump powinien być pozbawiony urzędu w procesie impeachmentu. Co za stek bzdur i nieznajomość konstytucji! Trump złamał prawo? Dowody na stół. Prezydent dowodzi służbami, w tym również wywiadowczymi, i może się podzielić każdą informacją z przedstawicielami obcego państwa, gdy uzna to za słuszne. Czy może przy tym postąpić lekkomyślnie? Nie ulega wątpliwości, ale właśnie w tym szkopuł, że nie wiemy, w jakim kontekście i co Donald Trump mówił Sergiejowi Ławrowowi. Tymcza-

sem ze strzępków zdań dobudować się całą teorię spiskową.

Nie obawiasz się jednak, że samo nagromadzenie podobnych historii sprawia, iż trudno normalnie rządzić?

Trudno rządzić i właśnie obserwujemy podobną sytuację. Wiele kluczowych nominacji na stanowiska rządowe się opóźnia, nadal jest sporo wakatów w służbach federalnych i Departamencie Stanu. Nie jest nawet blisko optymalnego stanu kadrowego, który powinien być uzyskany błyskawicznie po objęciu władzy przez Trumpa. Tak długo, jak faktycznie nie złamię prawa, nawet z mało wydolną administracją, lepszy taki prezydent niż skorumpowana i dla odmiany łamiąca prawo Hillary Clinton.

Teraz zrobisz efektowne przejście na drugą stronę Atlantyku i zapytam o stanowienie polskiego prawa. Od początku wyraźnie opowiadałeś się przeciw podpisaniu ustawy „Apteka dla aptekarza”. Prezydent Duda wysyłał sygnały, że się waha i może dojść do weta, a jednak dokument podpisał.

Dziwna decyzja, szczególnie że prezydent umotywował ją troską o polskich przedsiębiorców. Ograniczanie swobody handlu, sterowanie

jego rozproszeniem przez państwo i narzucanie sztywnego gorsetu zbędnych regulacji jakoś do tego tłumaczenia nie przystają. Minęły dwa lata od wygranych wyborów, Andrzej Duda miał wiele okazji, aby wykazać się samodzielnością, szczególnie w sytuacjach, co do których miał wątpliwości, i z żadnej nie skorzystał. Tym samym – co przykro mówić – upodabnia się do Adriana z korytarza przy Nowogrodzkiej w „Uchu prezesa”.

A może przypisujesz tej decyzji zbyt duże znaczenie w obszarze gospodarki? Wskaźniki ekonomiczne wyglądają obiecująco, Moody's podwyższył perspektywę ratingu Polski na stabilną, bezrobocie spada.

To oczywiście, że regulacja w jednym sektorze nie zachwieje PKB państwa, ale to również krok w złym kierunku, który może pociągnąć analogiczne i szkodliwe ograniczenia. Jeśli chodzi o Moody's, to ta agencja kolejny raz potwierdza, że ma więcej rozsądku niż S&P, która obniżyła perspektywę ratingu Polski na podstawie apokaliptycznej narracji opozycji, która opowiadała w Brukseli, że w Warszawie za chwilę dojdzie do rewolucji. Dzisiaj kurz bitewny nieco opadł, tak jak wspominałeś, podstawy gospodarcze kraju wyglądają względnie optymistycznie, dlatego nie jestem zaskoczony. Najważniejsze, że dzięki zabiegom Morawieckiego udało się chwilowo powstrzymać odpływ zagranicznego kapitału, do czego przyczyniła się m.in. decyzja o wycofaniu się z kampanijnej obietnicy przenominowania kredytów we frankach szwajcarskich na złotówki. Wiem, że wiele osób na tym ucierpiało, ale nie dało się utrzymać zaufania sektora bankowego w inny sposób, a za tym zaufaniem poszedł wzrost inwestycji. Są takie obietnice, których czasami lepiej nie realizować. ©

RYSU ANDRZEJ KRAU

Znowu zachciało ci się ponad podziałami?



Piątek 21:30

KWISY MANIPULACJI



Katarzyna Gójska-Hejke

Piotr Lisiewicz



Teraz Telewizja Republika **NA ŻYWO i ZA DARMO** on-line  www.telewizjarepublika.pl



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Humanitarni gawędziarze

Małgorzata Kidawa-Błońska: „Kiedy premier Ewa Kopacz podejmowała zobowiązanie w sprawie relokacji uchodźców, Polska była w stanie bezpiecznie przyjąć do 7 tys. uchodźców. Nasz kraj miał to przygotowane, że mógł się tymi osobami zająć”.

Nie wiem, na czym pani Kidawa-Błońska opiera tak optymistyczne stwierdzenie, gdy jeszcze w styczniu 2016 r. Komisja Europejska oceniała, że Polska ma przygotowanych... 100 miejsc dla relokowanych uchodźców, a brakujące 6,9 tys. miejsc raczej

podlegający relokacji – to swoją drogą całkiem zgrabny eufemizm na przymusowe przesiedlenie – byli taką integracją zainteresowani, skoro ani oni do nas nie chcieli, ani my – sądząc po badaniach opinii publicznej – nie bardzo ich chcemy. Jeśli integracja się nie udaje nawet w krajach dużo bardziej otwartych na przybyszów, którzy sami je sobie wybrali, to nie wiem, jak miałyby się udać u nas w przypadku obcych nam kulturowo osób przymusowo do nas przesiedlonych. Myślę, że to jeden z powodów, dla których rząd Ewy Kopacz od początku kryzysu imigracyjnego nie zrobił realnie nic, aby umożliwić przyjęcie uchodźców, ograniczając się jedynie do pustych deklaracji chęci, obliczonych bardziej na zachodniego odbiorcę.

Gdy PiS przejął władzę i uznał, że od zobowiązań poczynionych przez rząd Kopacz nie da się wykręcić, niektórzy ministrowie rządu Szydło – np. Jarosław Gowin – podtrzymywali gotowość przyjęcia kilku tysięcy uchodźców, ale wyłącznie chrześcijan lub jazydów. I może gdyby takie propozycje nie spotykały się wtedy z histerią „salonu”, porównującego pomysł selekcji uchodźców do faszystowskich Niemiec, temat

naszych zobowiązań wobec Unii Europejskiej miałoby się już zamknąć, bo przez te półtora roku spokojnie udało by się we współpracy z parafiami rozlokować te kilka tysięcy chrześcijan.

Małgorzata Kidawa-Błońska i dzisiaj widziałaby uchodźców – ale absolutnie nie wybranych według religii – w parafiach, które dla lewicy są dyżurnym argumentem za tym, że przecież mamy mnóstwo miejsca. Jednak czy to nie uczucia religijne mużulanów są dyżurnym pretekstem do systematycznego rugowania śladów chrześcijaństwa z przestrzeni publicznej? Na pewno ktoś, kogo obraża krzyżyk na szyi stewardesy czy choinka na miejskim rynku, będzie chciał zamieszkać na zakrystii? Ciekawe, jak sobie to w praktyce wyobraża pani Kidawa-Błońska.

Kto chce, ten szuka sposobów. Kto nie chce, ten szuka powodów. Jeśli podjęliśmy zobowiązanie i chcieliśmy go dotrzymać, to trzeba było iść za pomysłem Gowina, próbującego pogodzić zobowiązanie z nastrojami. Nie trzeba byłoby się dzisiaj licytować, kto bardziej obronił Polskę przed mużulanami. Kilku tysięcy chrześcijan z Syrii naprawdę nikt by nie zauważył.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Na pewno ktoś, kogo obraża krzyżyk na szyi stewardesy, będzie chciał mieszkać na zakrystii?

nie zniknęło wraz z utratą władzy przez PO. Kilkanaście ośrodków, w jakich przebywają, już jest mocno przeludnionych, brakuje kadry i infrastruktury, a rozlokowanie z dala od większych ośrodków praktycznie uniemożliwia jakąkolwiek integrację. Nie żeby uchodźcy, na mocy unijnych porozumień zawartych ponad ich głowami,

PODSŁUCHANE

Festiwal

Grzegorz... Czekaj! No czekajże! O co znowu chodzi, Rysiu? Ja naprawdę nie mam czasu na te dyrdymały. Ostatnio mnie pytałeś, czy Kościuszko walczył w wojnie peloponeskiej. Co tym razem?

Nic z historii. Słuchaj, trzeba wykorzystać to, że Tefaupe się wynosi z Opola. Ja mam taką koncepcję, żeby przejąć ten festiwal.

Rozumiesz?

Przejąć. Jasne. Jak?

Normalnie. Zrobimy własny. Weźmiemy Marylę i tę całą resztę, co się wypięła na Kurskiego. I tego, no, Hołdeckiego, bo on nas na tłyterze wspiera... Hołdysa chyba?

Nieważne, jak zwał, tak się wypisz. I dołożymy, rozumiesz, element polityczny. Jest KOD Kapeła, ja trochę śpiewam, u siebie masz zdolnych ludzi, kobitki zdolne. Kogo?

No, Muchę chociażby. Wiesz, zrobi się elegancką aranżację i niech ona zaśpiewa: „Nie pucz, kiedy odjadę”. Zrobimy przebój z tego! Fascynujące. I co jeszcze?

Możemy szeroko pójść. Biedroń w duecie z Grodzką, układy choreograficzne się robi. Ja już nawet nad tym pracowałem, popatrz: i tak, i tak, i obrót... Ożeż!

Rysiek! Rysiek, żyjesz? W łeb się wałnęła, ale oddycha. To ja już idę, bo mam bardzo ważną rozmowę międzynarodową. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nigdy w życiu tak nie żałowałem, że nie zostałem zaproszony do Opola! Mógłbym teraz tak pięknie zrezygnować...!”

MACIEJ STUHR na Facebooku

Pieć malców

Zbliżają się wakacje letnie. Salon znowu będzie kwękał, że dzieci biedoty masowo okupują bałtyckie plaże (wskutek dewastującego państwo programu 500+).

Ruchoma granica, która istnieje między głupotą a inteligencją, przesuwają się u tych półinteligentów, zawężając u nich mózgowy obszar intelektu, a powiększając płaty głupoty. Tej samej, która każe im (jako czułym obrońcom dzieci) „antyklerykalnie” odgrzewać ciągle kotlet „pedofilii wśród księży”. Rzecz prosta kiedy wrzeszczą o tym, chodzi im wyłącznie o duchownych katolickich (bo „pedofilia księży” to „Wunderwaffe” Salonu do walki ze zniechęconym Kościołem Chrystusa), natomiast dużo większą pedofilię kleru żydowskiego i muzułmańskiego nie piętnują, ten typ tak ma (typ patentowanych hipokrytów). Wybitny filolog klasyczny, prof. Tadeusz Zieliński, w pracy „Hellenizm a judaizm” (1927) opisał prastare żydowskie pedofilstwo rabinów wobec małuchów (nawet 3–letnich dziewczynek), będące wręcz uświęconym rytuałem, co chyba wciąż trwa, gdyż jak donosi żydowski korespondent z Izraela, Katarzyna Zar: „złotouści, świątobliwi rabini zwykli dalej masowo chędożyć młodocianych, powołując się bezwstydnie na rzekomą wolę bożą” (2015). Uprawiający to samo muzułmanie powołują się na Mahometa, który za żonę wziął sobie dziewczynkę 6-letnią.

Pedofilia stanowi potworność szerzącą się globalnie, choć istnieje prosty sposób jej... może nie zlikwidowania, lecz przynajmniej radykalnego ograniczenia: trzeba wieszać pedofilów (w Chinach się ich rozstrzeliwuje). Sam czyniłbym to najchętniej bez sądu, ekspresowo, co się nazywa linczem, ale ta metoda jest podobno nielegalna (cóż, o każdym systemie prawnym można rzec: „nobody’s perfect”). Zaraza pedofiliska ma celebryckie gwiazdy, jak reżyser Woody Allen (wykorzystywał swoje kilkuletnie adoptowane córki), czy frontman rebelii ‘68, europoseł Daniel Cohn-Bendit (gdy pracował w przedszkolu), czy też sławny prezydent BBC Jimmy Savile (udowodniono mu 200 aktów pedofilii). Politypoprawne lewackie media obszły się dość łagodnie z bliskimi sobie salonowcami Cohn-Benditem i Allenem (z Savilem nie mogły, bo przy okazji jego afery wyszło na jaw, że w latach 70–ych i 80–ych KGB manipulował dużą grupą brytyjskich parlamentarzystów oraz dyplomatów, posiadając dowody ich pedofilii), i tak samo chroni rabinów–pedofilów, a rozdmuchuje „występki katolickiego duchowieństwa”. Tymczasem amerykańskie i europejskie dane policyjne/sądowe od lat wskazują, że katolicy duchowni to ledwie 0,03% wszystkich przypadków seksualnego wykorzystywania nieletnich (3 księży na 10 tys. przypadków). Oczywiście nawet jeden katolicki przypadek to rzecz straszna,

ale robienie z tego specyfiki katolickiej i równoczesne zmiatanie pod dywan faktu, że wśród amerykańskich rabinów jest kilkadziesiąt razy więcej pedofilów, a także faktu, iż na całym świecie prym pośród pedofilów wiodą „geje” — to manipulacja. Karcielem ją nie tylko publicystycznie, również powieściowo (A.D. 1995 Tomasz Mazur przypominał na łamach „Tygodnika Akademickiego AUDITORIUM”: „I jak mówi stryj Hubert, jeden z bohaterów powieści Waldemara Łysiaka *«Statek»*: «Nigdy nie mogłem zrozumieć skąd się biorą pedały! Przecież wy nie możecie się rozmnażać! A jest was pełno!»”). Pełno jest też pedofilskich gangów (tylko w latach 2015–2016 zostało przez nie porwanych i kupionych 11 tys. małych uchodźców na terenie UE).

Inną makabrą nekującą małe dzieci jest bestialskie katowanie ich przez rodziców i opiekunów, co telewizje pokazują każdego dnia. To koszmarnie zjawisko ma już scen-

Poeta Zbigniew Laskowski (XIX w.):
„Ojciec nasz! Gdzieś Ty jest?...
Tam biją dzieci!”

tyczną terminologię („battered child syndrome” — zespół objawów dziecka maltretowanego) i swoje statystyki (na zachodzie Europy spośród każdego 10 tys. dzieci poniżej 4. roku życia prawie 100 jest katowanych, z czego jedna trzecia trafia do szpitali w agonialnym stanie). Znany włoski psycholog Dino Origlia tak o tym mówi: „Tragedią jest, że osobami znęcającymi się nad dziećmi, czasami śmiertelnie, są ich rodzice. Wielu rodziców kocha z furiacką pianą, biorąc sobie na bezbronnych maleństwach odwet za niepowodzenia życiowe i zawodowe. Dziecko to podręczny piorunochron”.

Wśród wielu barbarzyńskich ugrupowań tego padolu (od Boko Haram, do Państwa Islamskiego) dzieci to również podręczne „mięso armatnie”, tania soldateska. Tysiące kilkuletnich chłopców (w samej Somalii 70 tys.) są „rekrutowane” siłą, szkolone na muzułmańskich i posyłane ku stanowiskom ogniowym przeciwnika jako „fityan al-Islam” (chłopcy islamu). Znany to z własnej historii: w zaborze rosyjskim Kaczyński robił tak samo. Gdy upadło Powstanie Listopadowe, rząd rosyjski specjalnym dekretem (24–III–1832) nakazał pobór nieletnich polskich chłopców (nawet 7–latków) spośród warstw niższych i rodzin politycznie niepewnych. Owych dziecięcych „kan-



tonistów” popędzono tysiącami ku Uralowi, o głodzie i chłodzie (między Warszawą a Bobryńskiem dwie trzecie sieczonych nahajkami dzieciaków zmarło, resztę wyszkolono na żołnierzy syberyjskich). Francuzi upowszechnili wtedy ten dramat litografią „Porwanie dzieci w Warszawie roku 1831”, ukazującą Plac Zamkowy — tak sceneria, jak i data były fałszywe, lecz chodziło o symbol graficzny autentycznego zjawiska.

Krzywdą małuchów ścisła serce jak mało co. Samo pisanie o tym sprawia mi ból. Rzucam więc długopis i przechodzę od przypominania nahajki do czytania bajki, siadając na kanapie z barwną książeczką i ze słoneczkiem mojej aktualnej egzystencji, 4-letnią wnuczką Jadzią. ©©

Waldemar Łysiak



ODLICZAMY CZAS DO OTWARCIA!

14 LIPCA 2017

-25%

na rezerwacje dokonane
do 15.06.2017

340 PRZESTRONNYCH POKOI Z WIDOKIEM NA MORZE
RESTAURACJE I BARY Z MORSKĄ SCENERIĄ ZA OKNEM
BASEN Z ILUZJĄ NIESKOŃCZONOŚCI NA DACHU
AQUAPARK Z PIERWSZĄ W POLSCE SZTUCZNĄ FAŁĄ DO SURFINGU
SALA BALOWA NA 1 000 OSÓB
50 M OD PIASZCZYSTEJ PLAŻY

Radisson Blu Resort, Świnoujście

al. Baltic Park Molo 2

+ 48 91 40 40 700

reservations.swinoujscie@radissonblu.com

eprasa.pl/8730e4e843